

**Kir Bułyczow**

# **Agent FK**

**Tytuł oryginału: Agent KF,  
Przełożył Tadeusz Gosk**

Archeolog Focjusz van Kuun był szczęśliwy.

Uczucie szczęścia nie zależy od wagi powodującego je wydarzenia. Przez wiele lat wyczekiwany sukces, koniec ciężkiej pracy, finał długiej podróży może przynieść tylko zmęczenie lub nawet rozczarowanie, zaś nieoczekiwany drobny sukces jest napełnić człowieka ogromnym szczęściem.

Focjusz van Kuun szedł do hotelu ulicą Trzech Dokonań. Przez ostatnie cztery dni dokładnie poznał tę krótką i prostą drogę. Dziesięć minut niespiesznego spaceru w cieniu domów zwisających nad przechodniem jak dynie nad mrówką. Konsul generalny Olsen, malutki i krągłutki erudyta, nazywał to miasto ogrodem dla olbrzymów. „Ten typ siedziby — tłumaczył Focjuszowi van Kuunowi — wykształcił się w wyniku procesów historycznych w okresie waśni klanowych. Bardzo trudno jest szturmować jajko ustawione ostrym końcem w dół albo uniesione na palach. Dlatego też i okna umieszczone są na wysokości co najmniej pięciu metrów nad ziemią. Dynie malowano na jaskrawe kolory, najpierw w barwach zamieszkujących je klanów, a później w miastach — gdzie pojęcie klanu już nie istniało — zgodnie z obowiązującą modą”.

Hen wysoko nad głową dynie prawie przylegały do siebie obłymi bokami i dlatego niżej, na ulicy, panował chłodny cień. Kiedy van Kuun dochodził do skrzyżowania, żar słońca uderzał go jak obuchem, więc podobnie jak inni przechodnie spieszył co prędzej w cień kolejnego domu. Trafił do miasta w okresie największych upałów i po chłodnych mrokach wykopalisk na Ar-A nie mógł w żaden sposób przywyknąć do dławiącej duchoty. Szczególnie ciężko żyło się w hotelu. Hotel został zbudowany zgodnie z duchem czasu i oczekiwał na turystów z innych planet. Wyglądał zupełnie jak walizka porzucona na polu arbuzów. Klimatyzacja w nim nie działała i podczas gdy w tradycyjnych domach ich podwójne ściany zapewniały chłód latem a ciepło zimą, to zwierciadlane płaszczyzny hotelowej elewacji zamieniały budynek w baterię słoneczną skupiającą w sobie ciepło i blask Najlepszy pokój w hotelu, który zajmował archeolog, był zarazem najgorętszym miejscem w mieście.

Wracając do hotelu, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed wykładem, Focjusz van Kuun z przerażeniem wyobraził sobie, że będzie musiał wejść w amfiladę rozżarzonych do białości zalanych słonecznym światłem pokoiów, i w tym momencie zauważył sklep.

Do sklepu podobnie jak do domów mieszkalnych, trzeba było wspiać się po stromej drabinie żeby zauważyć szyld trzeba było zadrzeć głowę Nie chcąc narażać klientów na taką niewygodę kupcy wykładali próbki swoich towarów u stop drabin Rozumie się samo przez się, że nie kładli tam niczego cennego Focjusz van Kuun już nie raz przechodził obok tego sklepiku Zawsze jednak albo się spieszył albo otoczony był miejscowymi uczniami i na wyłożone towary po prostu nie zwracał uwagi.

A teraz zatrzymał się przed zrobioną z papier mâché lalką w starożytnym stroju z ptasich piór Lalka wystawała z jaskrawo pomalowanej glinianej wazy Focjusz van Kuun domyślił się że stoi przed sklepem z pamiątkami, a że był człowiekiem nie pozbawionym ciekawości wdrapał się po wąskiej drabinie, rozsunął uplecione z trzciny drzwi i znalazł się w okrągłym pomieszczeniu.

Zobaczywszy gościa, kupiec na znak szacunku włożył na głowę srebrzystą czapkę i szerokim gestem siewcy wskazał wiszącą na ścianie tablicę-tłumacza. Na prawej kolumnie ukazywały się słowa niezbyt poprawnie przełożone na lincos.

Skinąwszy głową sprzedawcy van Kuun zaczął oglądać rozłożone na półkach towary. Znalazł tam pełny wybór przedmiotów mogących zadowolić najwytrawniejszych łowców pamiątek. Lalki, naczynia i wazony, zabawki z ptasich piór, marmurowe i ametystowe kulki wróżebne, futrzane maty i dywaniki wyszywane paciorkami kule, nad którymi dobrze się jest zadumać, starożytne toporki o zatrutych ostrzach, złote jaja żółwi i hełmy z pancerzy tych stworzeń, pantofle domowe do przyjmowania gości i sandały dla biorących udział w uroczystych pożegnaniach, teczki na listy

miłosne, kryształowe „Oczy pieszczoty” ze źrenicami z nefrytu, ozdobne posochy, całe stadko wież Eiffla które nie wiadomo jak tu trafiły, wieloosobowe fajki podobne do jeżozwierz. Wiele z tych rzeczy van Kuun widział już na bazarze, na który poprzedniego dnia zaprowadził go konsul Olsen, a ponieważ miał znakomitą pamięć, udało mu się zapamiętać ich przeznaczenie.

Van Kuun szedł powoli wzdłuż półek, zdając sobie sprawę z tego, że skoro już tu zajrzał, to musi coś kupić, żeby nie obrazić sprzedawcy (Olsen powiedział mu o tym zwyczaju). Jeżeli tego nie zrobi, kupiec będzie musiał nietaktownemu klientowi dać jakiś prezent. Szukał więc czegoś niedużego, rzeczywiście niezwykłego i przy tym pożytecznego. Focjusz van Kuun był bowiem człowiekiem o umyśle racjonalnym.

I oto na dolnej półce ujrzał figurki żołnierzyków.

W tej właśnie chwili archeolog Focjusz van Kuun poczuł, że jest szczęśliwy.

Kiedy przed wieloma laty opuszczał Ziemię pozostawił tam ogromną, jedną z najciekawszych na naszym globie kolekcję żołnierzyków. Od tego czasu nie udawało mu się jakoś wpaść do domu, bo przyszło mu mieszkać w Centrum Galaktycznym i stamtąd wyruszał na swoje archeologiczne wyprawy. Ziemia leży daleko od Centrum i jeśli już ktoś wybrał zawód kosmoarcheologa, to ma szansę powrócić na nią po przejściu na emeryturę. Ale pasja kolekcjonerska nie opuściła van Kuuna. Niestety, sztuka wytwarzania ołowianych żołnierzyków jest w Galaktyce bardzo słabo rozwinięta i mieszkańcy nawet nader wysoko cywilizowanych planet nie zawsze wiedzą, że coś takiego w ogóle istnieje. Van Kuun nauczył się więc sam odlewać żołnierzyki i malować je. Spędzał wiele czasu w muzeach i na paradach wojskowych fotografując i rysując. Jeżeli w trakcie wykopalisk natrafiono na grób wojownika — nieodmiennie wzywano van Kuuna. W ciągu dwudziestu lat nowy rzut jego kolekcji osiągnął trzydzieści tysięcy egzemplarzy i gdyby połączyć owe zbiory z tym, co pozostało na Ziemi to okazałoby się ponad wszelką wątpliwość, że Focjusz van Kuun posiada największą we Wszechświecie kolekcję ołowianych żołnierzyków.

I oto, przyleciawszy na parę dni na Pe-U z wykopalisk Ar-A, planety tego samego systemu, zavalony po uszy pracą Focjusz van Kuun zagląda do sklepu z pamiątkami i widzi na półce wspaniale wykonane żołnierzyki.

Skrywając głęboko drżenie kolekcjonerskiej duszy Focjusz van Kuun podszedł do tablicy-tłumacza i przeciągnął palcem od pytania „Ile kosztuje?” do jego odpowiednika w języku miejscowym.

Kupiec odpowiedział długą tyradą, z której Focjusz van Kuun nie zrozumiał ani słowa. Pochylił się więc, wziął z półki jednego żołnierzyka i pokazał go sprzedawcy. Sprzedawca okropnie się zdziwił, jakby nigdy żaden przyjezdny nie kupował u niego ołowianych żołnierzyków i wzięwszy z półki lśniącą, migotliwą „Kulę do myślenia” podał ją van Kuunowi. Uważał widać, że kupiec lepiej wie, co się komu może przydać.

Van Kuun odszukał na tablicy słowo „Nie”.

Rozczarowany sprzedawca odłożył kulę na miejsce, podszedł do tablicy i wskazał cyfrę na lewej kolumnie. Kuun znalazł jej odpowiednik w licosie i zrozumiał, iż żołnierzyk kosztuje dużo. Osiem eli. Bardzo się zdziwił, ale potem doszedł do wniosku, że wartość przedmiotów zależy od pracy włożonej w ich wykonanie. A żołnierzyk zrobiony był bardzo starannie. Odlany z jakiegoś ciężkiego stopu był odrobinę większy od palca wskazującego. Miał na sobie zbroję z kawałeczków folii miedzianej, płaszcz z tkaniny, zaś twarz i odsłonięte ręce pokryte tatuażem bojowym, namalowanym cieniutkim pędzelkiem. Van Kuun szybko przeliczył w myślach posiadaną gotówkę i uznał, że w gruncie rzeczy te pieniądze nie są mu na nic potrzebne. Jutro powinien przylecieć „Szkwał” z Centrum Galaktycznego wiozący aparaturę i zaopatrzenie wyprawy archeologicznej. Ponury przedstawiciel Floty Kosmicznej Andrew Bruce oświadczył kategorycznie, że statek leci bez opóźnienia. „Szkwał” zabierze van Kuuna i potem kutrem wysadzi go na Ar-A. W ogóle nie

wiadomo, czy van Kuun trafi jeszcze kiedykolwiek na Pe-U. Najprawdopodobniej nigdy. A żołnierzyki przystrojone są w barwy klanów — to już historia. Już tylko w Górskich Księżtwach zachowały się takie płaszcze, a i tradycyjna broń — dmuchawki, toporki z zatrutymi ostrzami, rozdwojone kindżały powoli trafia do muzeów. Albo ginie, bo zawsze bardziej dbamy o odległą przeszłość niż o realia dnia wczorajszego.

Na półce stało sześćdziesiąt żołnierzyków. Każdy inny. Nawet wojownicy z jednego klanu różnili się uzbrojeniem i pancerzami. Jeśli weźmie wszystkie pieniądze, które ma w hotelu, to wystarczy.

Jako prawdziwy kolekcjoner nauczony by nie kusić losu, van Kuun wyciągnął portfel i wyjaśnił sprzedawcy, że ma przy sobie tylko trzydzieści trzy ele, czyli że może kupić cztery żołnierzyki.

Wybrał więc cztery w najbardziej charakterystycznych strojach, ostrożnie zaniósł je na ladę i położył obok trzydzieści dwa ele.

Nagle zauważył, że sprzedawca trzęsie się ze strachu.

O co chodzi? — zapytał. Nie miał już czasu na żadne dyskusje. Za pół godziny musiał być w Szkole Wiedzy.

Sprzedawca odpowiedział niezrozumiałą tyradą, odłożył jednego z żołnierzyków, potem zabrał osiem eli, a pozostałe pieniądze podsunął pod nos van Kuunowi.

— O, co to, to nie! — powiedział van Kuun, który był człowiekiem upartym. — To są dobre pieniądze. Żadnej reszty mi nie trzeba. Zaraz wrócę i wezmę pozostałe żołnierzyki. — I pokazał gestem, że chce kupić wszystkie figurki.

Nie wiadomo, czy kupiec go zrozumiał, ale w końcu wziął pieniądze, wyciągnął pudełko wyścielone ptasim puchem, włożył weń żołnierzyki i przykrył papierem. Spieszył się i starał się nie patrzeć na kupującego.

Van Kuun odszukał na tablicy słowo „dziękuję”, wypowiedział je i ostrożnie niosąc pudełko skierował się ku wyjściu. Obejrzał się jeszcze od trzcinowych drzwi i zobaczył, że kupiec zdjął srebrzystą czapkę i ociera nią pot z czoła.

— Zaraz wracam — oznajmił mu Focjusz van Kuun.

\* \* \*

Focjusz van Kuun był szczęśliwy.

Szczyście kolekcjonera to zupełnie specjalny rodzaj ekstazy dostępnej właściwie mało komu. Jest to uczucie w istocie swej bezinteresowne, gdyż dusza prawdziwego zbieracza tak samo upajać się będzie znaleziskiem za parę groszy, jak i czymś bezcennym — liczy się bowiem nic wartość, lecz fakt posiadania. Nie tak znów wielu ludzi w Galaktyce zdolnych byłoby do podzielenia radości van Kuuna. Tacy ludzie wprawdzie istnieli, ale dzieliły ich całe lata świetlne. Van Kuun, nie zauważając kurzu wiszącego nad rozpalonym miastem ani napotykanym przechodniów, którzy patrzyli na niego jak na jakieś egzotyczne zwierzę, spieszył do hotelu. Jeśli ktoś rozsądny powiedziałby mu, że stojące w sklepie żołnierzyki nigdzie mu nie uciekną i że doskonale może je kupić jutro lub nawet pojutrze, van Kuun nie mrugnąłby nawet okiem i nie bacząc na to, że był zupełnie normalnym, pozbawionym nadmiernej podejrzliwości człowiekiem, na wszelki wypadek przyspieszyłby kroku pełen najgorszych przeczuć, że a nuż ten życzliwy chce mu żołnierzyki podkupić...

Wyobrażając sobie z drżeniem serca, jak hipotetyczny konkurent wpada do sklepiku, żeby wykupić żołnierzyki, van Kuun przebiegł hali hotelu, pokonał dwa piętra (winda akurat nie działała), przypomniał sobie, że nie zabrał z portierni klucza, zawrócił, wspiął się ciężko dysząc na czwarte piętro, wpadł do pokoju, ostrożnie umieścił na łóżku pudełko z żołnierzykami i zaczął się

szybko rozbierać, żeby wziąć prysznic. Potem podszedł do biurka, w którym trzymał pieniądze.

Wyciągnął górną szufladę.

I mocno się zdziwił.

W szufladzie najwyraźniej ktoś grzebał.

Będąc człowiekiem skrupulatnym, Focjusz van Kuun rozkładał swoje rzeczy tak, żeby dzielące je linie były dokładnie równoległe. Powiadają, że pewnego razu w międzygwiazdnej bazie archeologicznej zemdlął na widok krzywo wiszącego obrazu umieszczonego zbyt wysoko, aby mógł do niego sięgnąć. Przez pół godziny wpatrywał się w ową reprodukcję, robił się coraz bledszy, a potem osunął się bez zmysłów na ziemię.

Wystarczył jeden rzut wprawnego oka, aby van Kuun zrozumiał: jego papiery przeglądano i rewidujący nie potrafił równoległe ułożyć kartek i teczek. W dodatku przestępca wykradł portfel z pieniędzmi i dokumentami archeologa. I, co było dla Focjusza najbardziej niemiłe, przetrząsnął i wysypał głęboko przez niego skrywane pudełeczko z lekarstwami.

W innej sytuacji Focjusz van Kuun dokładnie sprawdziłby, czy coś jeszcze nie zginęło, wezwałby kierownika hotelu, zadzwonił — używając ogromnego, przypominającego niebieską maszynę do szycia telefonu — do konsulatu generalnego, ale w tym akurat momencie Focjusza van Kuuna przyprawiła o rozpacz jedynie utrata pieniędzy, której skutkiem stać się mogło niepowodzenie „operacji żołnierzyki”. Pomyślał, że mógł zostawić portfel w kieszeni kurtki, którą miał na sobie wczoraj wieczorem. Otworzył szafę ścienną. Kurtka poniewierała się na jej dnie, a portfela w kieszeni nie było.

Irracjonalna nadzieja znalezienia pieniędzy zmusiła archeologa do stracenia jeszcze kilku dalszych minut. Pełzał pod łóżkiem, obszukał dokładnie łazienkę i przedpokój... Wszędzie natrafiał na ślady nieumiejętnie prowadzonej, niefachowej, niechlujnej, ale bardzo dokładnej rewizji.

W końcu musiał rozstać się z nadzieją na znalezienie pieniędzy. Przeklął w żywy kamień całą tę planetę, przeklął równie energicznie swoją namiętność do ołowianych żołnierzyków i w trakcie owych przekleństw dotarło do niego, że do podsumowującego jego pobyt na Pe-U wykładu końcowego w Szkole Wiedzy pozostało mu zaledwie osiem minut.

Focjusz van Kuun był człowiekiem punktualnym i nie znosił się spóźniać. W ciągu paru minut musiał zatem się przebrać (o wzięciu prysznicza nie miał nawet co marzyć), dobiec do Szkoły Wiedzy i naturalnie podskoczyć do sklepu, żeby wyjaśnić sprzedawcy, iż jutro zdobędzie pieniądze i kupi resztę żołnierzyków, więc: „niech pan będzie uprzejmy nikomu ich nie sprzedawać!”

Przebierał się w takim tempie, że nie miał czasu nad czymkolwiek solidnie się zastanowić. Co prawda doszedł do wniosku, że padł ofiarą rabusiów, których — jak słyszał — na tej planecie nie brakowało. Miejscowa cywilizacja stosunkowo niedawno wyszła z Epoki Zwaśnionych Klanów, a pierwsze fabryki, pierwsze szkoły i rząd centralny na globie powstały zaledwie przed dwustu laty. W gruncie rzeczy planeta Pe-U wleciała w erę kosmiczną zanim jeszcze zdążyła przeżyć do końca swoje społeczne dzieciństwo. Wśród gór otaczających stolicę, na oceanicznych wyspach i w niewielkich peryferyjnych państewkach jeszcze do dziś panowały barbarzyńskie obyczaje i żywioł tego społecznego prymitywizmu od czasu do czasu zalewał, niczym fala przyływu, nowy świat miast. Centrum Galaktyczne zaliczyło Pe-U do światów ograniczonego kontaktu, co znaczyło, że stosunki z planetą należało nawiązywać skrajnie ostrożnie, bez prób wtrącania się do procesów jej samodzielnego rozwoju.

W historii Centrum Galaktycznego nieraz już wprawdzie wynikały straszliwe komplikacje z owym ograniczonym kontaktem, ale przecież wszystkich kłopotów z góry przewidzieć nie sposób, a tym bardziej skutecznie im zapobiec.

Rzecz jasna, że w skomplikowanym i niespokojnym organizmie Pe-U znalazły się siły dążące do zdobycia przewagi poprzez wykorzystanie Centrum Galaktycznego z jego potężnymi możliwościami w dziedzinie nauki i technologii. Siły te życzyły sobie oczywiście jak największego udziału Centrum w życiu planety. Już stroje pierwszych kosmonautów, którzy przybyli na Pe-U, urządzenia i maszyny, którymi się posługiwali dostarczyły dość materiału do zastanowienia się i — co tu ukrywać — zawiści. Wynikały z tego nie tylko korzyści, ale również szkody. Kiedyś dawno temu Papuasi na Nowej Gwinei, żyjący jeszcze w epoce kamiennej, wymyślili dziwny obrządek. Otóż wiedząc jak wiele pożytecznych i cennych przedmiotów udawało się odzyskać z samolotów, które spadły na ziemię w czasie wojny, budowali potem samoloty z drewna i bambusu, mając w ten sposób nadzieję przywabić prawdziwy samolot.

Focjusz van Kuun znał historię, która wydarzyła się trzydzieści lat wcześniej na zupełnie innej planecie. Mieszkańcy tego globu nieoczekiwanie napadli na statek galaktyczny, wymordowali jego załogę i wybebeszyli wnętrze, sam zaś statek ustawili na cokole jako kosmiczne bóstwo.

Ale im aktywniej działali na Pe-U zwolennicy kontaktu i zapożyczeń, tym energiczniej reagowali izolacjoniści. Twierdzili oni, że obecność ludzi z Centrum Galaktycznego jest realnym zagrożeniem dla stylu życia uświęconego wielowiekową tradycją. Uważali przy tym, że jeśli uda się wypędzić intruzów, to na planetę powróci złoty wiek. Zapominali, że przed przylotem statku ów złoty wiek też był raczej nieobecny i że jeśli nawet na planecie nie pozostanie ani jeden człowiek, to i tak jej życie nie będzie już nigdy takie, jak przedtem, a ci, którzy dążą do kontaktu, wcześniej czy później muszą wygrać.

W okresie, w którym Focjusz van Kuun przybył na Pe-U, na planecie panowała równowaga, utrzymywana nie bez wpływu Centrum Galaktycznego. Był tam konsulat generalny Centrum, przedstawicielstwo Floty Kosmicznej i nawet kosmodrom. Studenci z Pe-U kształcili się na innych planetach, grupa lekarzy Centrum badała choroby epidemiczne i przygotowywała miejscowych medyków do walki z nimi... Jednym słowem „ograniczony kontakt”. W oczekiwaniu na rozwinięcie owego kontaktu, w nadziei na napływ turystów i ekspertów wybudowano olbrzymi pudełkowaty hotel. Jedynym jego mieszkańcem, nie licząc miejscowej ludności, dla której nocleg tam był czymś niesłychanie egzotycznym, był archeolog Focjusz van Kuun. Hotel miał w sobie coś z bambusowej kopii prawdziwego samolotu — woda ledwie kapiała z jego kranów, windy nie działały, przez szczeliny w ścianach wdierał się gorący wiatr i konsul generalny, przesympatyczny Olsen, ostrzegał wszystkich przybywających na planetę, że w żadnym wypadku nie należy się w nim zatrzymywać. Zwykle wszyscy go słuchali i zatrzymywali się bądź w zwyczajnym miejscowym hotelu, bądź w siedzibie konsulatu. Focjusz van Kuun był jednak gościem Szkoły Wiedzy i osobistością na tyle ważną, że mógł zamieszkać tylko w tym hotelu.

Focjusz van Kuun doskonale się orientował, że w mieście żyją nie tylko spokojni obywatele, lecz także złodzieje, bandyci i mordercy, a po nocach w przystaniach nad jeziorem i w ciemnych dzielnicach przepelnionych uciekinierami z gór, gdzie strażnicy w ogóle nie zaglądną, dochodzi do formalnych bitew między zbrojnymi bandami. Tak więc choć kradzież bardzo go zdenerwowała, to jednak nadmiernie nie zdziwiła. Jako człowiek rozsądny zastanawiał się tylko od kogo pożyczyć pieniędzy na zakup żołnierzyków — od konsula, czy od Bruce'a?

W ciągu dwóch minut zdążył zrzucić przepoconą i zakurzoną płócienną kurtkę, białe, szerokie jak spódnica szorty — moda z zeszłego dziesięciolecia, ale jakże wygodna w czasie wykopalisk na gorących terenach — i złociste sandały nabyte na bazarze w Patalipturze. Jeszcze minutę stracił na wydobyć z szafy zrzuconego z wieszaka przez grabieżców odrobinę pomiętego, ale zupełnie przyzwoitego fraka, szarych łosiowych pantalonów, matowych czarnych pantofli z lekko zadartymi czubkami i srebrzystej koszuli z pienistym żabotem, czyli lekko konserwatywnego

stroju wieczorowego. Naturalnie Focjuszowi van Kuunowi w ogóle nie przyszło do głowy wlec ze sobą na wykopaliska, a potem na Pe-U takiego sztywnego ubrania — to konsul Olsen dał mu wczoraj ten cały komplet. Konsul miał specjalny magazyn, gdzie stał długi, mieszczący około pięćdziesięciu ubrań wieszak, przez co pomieszczenie wyglądało jak wnętrze staroświeckiego sklepu. Pocziwy Olsen surowo przestrzegał etykiety, choć nie był jej szczególnym zwolennikiem. W klanowym społeczeństwie Pe-U etykieta była po prostu nader ważnym składnikiem życia, a zatem profesor z Centrum wykładający w Szkole Wiedzy musiał być odpowiednio przyodziany.

Focjusz van Kuun zdażył jeszcze zerknąć w krzywe, marnie oszlifowane lustro i skonstatować, że mimo stonowanych barw swojej odzieży wygląda w niej jak egzotyczny ptak.

Już gotów był biec, kiedy przypomniał sobie, że obiecał konsulowi, iż przypnie do klapy znaczek Służby Archeologicznej — złote litery KSA na tle srebrnego Partenonu. To zajęło mu dalsze trzydzieści sekund, poszukiwanie teczki z planami wykopalisk — leżała pod stołem — jeszcze dwadzieścia sekund. Teczka była cieńsza niż rano, ale tego Focjusz van Kuun już nie zauważył.

Bieg po schodach — trzydzieści trzy sekundy.

Poślizg na pachnącym naftą parkiecie — poślizg prawie na granicy upadku — cztery sekundy.

Skok ku drzwiom restauracji i zastanawianie się, jak się wychodzi na ulicę — dwanaście sekund.

Pomarańczowe słońce już zachodziło świeciło prosto w twarz, wyłaczając słupy kurzu.

Focjusz van Kuun uświadomił sobie, że zapomniał włożyć krótkiego płaszcza mającego jakieś symboliczne znaczenie w labiryncie etykiety, omal nie rzucił się z powrotem do hotelu, ale się opanował i pobiegł dalej. Chciał zatrzymać parzystą riksę, lecz przypomniał sobie, że nie ma przy sobie ani grosza. Załoga rikszy — mąż kręcił pedałami, a żona biegła z tyłu z wachlarzem — zwolniła i zatrzymała się, patrząc wyczekująco na dziwne stworzenie w czarnym stroju, oznaczającym w niektórych klanach gotowość do śmiertelnej zemsty. Rikszarz widocznie przypomniał sobie o tym, bo mocno nacisnął pedały, a żona popędziła za nim. W rezultacie rikszarz wprowadził swoją porcję zamieszania do sprawy, opowiadając strażnikowi, że Focjusz van Kuun był uzbrojony i wykonywał charakterystyczne dla mściciela gesty wściekłości. W pamięci rikszarza obraz człowieka w czerni uzupełniony został nie istniejącymi, ale obowiązkowymi rekwizytami krwawego rytuału. Jego żona mogłaby dokładniej opisać wygląd Focjusza van Kuuna, ale oczywiście nikt ją o nic nie pytał, gdyż zeznania prostej kobiety nie mają żadnej mocy prawnej.

Zrezygnowawszy z jazdy rikszą Focjusz van Kuun popędził przed siebie, starając się jak najprędzej dotrzeć do zbawczego cienia gigantycznych arbuzów. Było mu bardzo gorąco i duszno w nieco zbyt rzadkim jak na ziemskie przyzwyczajenia powietrzu Pe-U. Minęło sześć minut i już był spóźniony.

Zatrzymał się jeszcze na sekundę przy sklepie z pamiątkami. Jego dusza była rozdarta między poczuciem obowiązku, który wzywał go do pośpiechu, a chęcią wstąpienia do sklepu i namówienia sprzedawcy, żeby zatrzymał mu do jutra komplet żołnierzyków.

Kupiec zauważył van Kuuna przez szczelinę w trzcinowych drzwiach, ale nie zaprosił go do wnętrza, bo był przerażony już poprzednim zachowaniem. Teraz ujrawszy naszego archeologa w czarnym ubraniu, szybko cofnął się i schował za ladę.

Stąd też nie zobaczył tego, co mógłby ujrzeć pozostawszy przy drzwiach.

W owej chwili van Kuun znajdował się w głębokim cieniu pod nawisającym bokiem dyni. Ulica była pusta. Czas przed zachodem słońca był najgorętszą porą w mieście i dlatego na ulicach nie widać było żywego ducha.

Focjusz van Kuun nawet nie spostrzegł, kiedy dostał łaską w głowę. Żółtą łaską z kości, jakiej

najczęściej używają górale.

Uderzenie było silne i Focjusz van Kuun niczego nie zdążył już zrozumieć.

\* \* \*

Agencję dzieliła od kosmodromu godzina drogi. Całkiem w sumie przyzwoity kosmodrom wybudowano dwadzieścia lat temu, ale władze miejskie, w których kompetencji to leżało, nie zdołały jakoś dotąd wybudować porządnej drogi.

Po obu stronach traktu, coraz rzadsze i mniejsze ciągnęły się pasiaste domy—dynie z małutkimi trójkątnymi wycięciami okien, co wyglądało zupełnie tak, jakby ktoś sprawdzał, czy dynie już dojrzały... Z okien sterczały długie tyki z wywieszoną bielizną. Stara furgonetka Floty Kosmicznej z literami FK na bokach podskakiwała na nierównościach gruntu, rudy kurz zasłaniał okna. Handlarze siedzący wzdłuż drogi też byli osypani kurzem, a ich towary miały kolor pyłu.

Czyścioszek Petri A zamknęła okno. Zrobiło się jeszcze goręcej, a kurz i tak wpadał do środka wozu i skrzypiał w zębach.

— Obiecał pan wezwać kogoś, żeby naprawić klimatyzację w furgonetce — powiedział Andrew Bruce do swego zastępcy WosenJu. — Aż wstyd przed pasażerami.

— Niech przyślą nową furgonetkę — odpowiedział zastępca. Zdmuchnął kurz z grubej aktówki, z którą nigdy się nie rozstawał. — Nasi rzemieślnicy nie znają się na budowie ziemskich urządzeń klimatyzacyjnych. I na klimatyzacji w ogóle.

— To nieprawda — powiedział Bruce, patrząc natarczywie na WosenJu, co wedle miejscowych kryteriów nie było zbyt uprzejme. WosenJu zawsze jednak go irytował, drażnił swymi żrenicami w fioletowe cętki. — W konsulacie w tym tygodniu zainstalowano klimatyzatory.

— A nie pytałeś — wtrąciła się PetriA, chcąc zmienić temat — co w konsulacie mówią o zaginionym archeologu?

— Spotkamy konsula na kosmodromie, to go zapytamy — odpowiedział Andrew. — Chyba nic nowego się na razie nie wydarzyło.

— Wszyscy w mieście wiedzą — odezwał się WosenJu — że archeolog chciał mścić się na Klanie Zachodnich Szczytów.

— Bzdura! — wykrzyknął z przekonaniem Andrew. — Przecież 〰n tu zjawił się dopiero cztery dni temu i nic nie wiedział o żadnych klanach. Cały czas spędzał w Szkole Wiedzy. Po co mu były jakieś klany?

— Sprzedał im swoje mapy, ale mu nie zapłacili — odparł WosenJu. — I stracił w ten sposób twarz.

Wosenju dmuchnął sobie na złote skrzydełko na ramieniu. Sam wymyślił mundur Floty Kosmicznej, bo nawet w tym świecie różnorodnych jaskrawych strojów chciał się wyróżniać wyglądem. Może dlatego, że jego klan był słaby, większość mężczyzn wyginęła w walkach z Klanem Rzeki, więc klan wycofał się, zrezygnował z dalszej walki, żeby po prostu przeżyć — podobnie jak pies, który po przegranym starciu kładzie się na plecy, ukazując przeciwnikowi bezbronny brzuch. I przeciwnik odchodzi. Gdyby taki obyczaj nie istniał, to w okrutnej walce klanów obwarowanej skomplikowanym systemem kodeksów honorowych mieszkańcy planety dawno już by się nawzajem wymordowali.

Mapy archeologa zniknęły. O tym już wiadano. WaraJu, szef straży miejskiej, przekazał tę wiadomość konsulowi generalnemu od razu tego wieczoru. W pokoju Focjusza van Kuuna wszystko było przetrząśnięte, splądrowane, przewrócone do góry nogami. Należy wątpić, że zrobił to sam archeolog, bo portier zeznał, że był w swoim pokoju tylko parę minut. Zniknęła też teczka z papierami.



W pokoju znaleziono cztery figurki zemsty. Wprawdzie nie rozcięte, ale jednak były to figurki zemsty. Wrogość między klanami nigdy nie zaczyna się zniemacka. Jeśli chcesz wstąpić na ścieżkę wojenną, to wedle obyczaju musisz zaopatrzyć się najpierw w specjalną figurkę zemsty (takimi ubranymi w rozmaite stroje metalowymi żołnierzami handlowały wyspecjalizowane sklepy), potem odciąć jej głowę i wysłać lub zanieść osobiście przedstawicielowi klanu, z którym zyczysz sobie być na stopie wojennej.

Najbardziej zastanawiające w całej tej historii było to, że archeolog nie wiedzieć czemu kupił cztery figurki zemsty w barwach trzech różnych klanów. Znajdował się wśród nich żołnierz z Klanu Przystani, cieszącego się fatalną reputacją i tak przy tym silnego i pozbawionego skrupułów, że nawet górale z zachodu nie mieli odwagi z nim zaczynać. Wyglądało to tak, jakby ziemski archeolog w napadzie szału zwaśnił się naraz z trzema klanami. Rzecz nie mieściła się w głowie, była absolutnie nieprawdopodobna... Ale po co w takim razie van Kuun kupił owe figurki w strojach wojennych?

Może po prostu z ciekawości.

Niestety, temu przypuszczeniu przeczyły wszystkie pozostałe okoliczności sprawy.

Archeolog miał pół godziny czasu. Spieszył się. Musiał zabrać ze sobą plany wykopalisk i przebrać się. Nie miał czasu na włóczenie się po sklepach z pamiątkami. Zresztą w mieście nie było jeszcze sklepów tego typu, gdyż mieszkańcy do produkcji pamiątek jeszcze nie dorośli... Pamiątki to pieśń przyszłości, pamiątkom niezbędni są turyści...

PetriA nie znosiła, kiedy Andrew był w złym humorze.

Tutejsze kobiety mają tak silnie rozwiniętą intuicję, że właściwie nie jest to już intuicja, tylko niemal telepatia.

PetriA musnęła palcami dłoń Andrew.

Zgodnie ze zwyczajem panującym od niejakiego czasu w wyższych sferach PatriA mając piętnaście lat została wraz ze swoimi trzydziestoma rówieśnikami wysłana do Centrum Galaktycznego, do szkoły dla mieszkańców różnych planet, gdzie okazała się spokojną, niezbyt wybitną, lecz raczej zdolną uczennicą. Po trzech latach wróciła do domu, nauczywszy się paru języków, obejrzawszy milion filmów, przygotowała się jako tako do prowadzenia biura — obsługi dyktafonu, komputera gabinetowego — i pozostawiwszy w Centrum nieutulonego w żalu wielbiciela.

W momencie, kiedy Andrew Bruce uświadomił sobie wreszcie, że ta delikatna smukła dziewczyna go kocha, stanął przed problemem moralnym: zastanawiał się boleśnie, czy ma prawo odpłacać PetriA tym samym. Nie należy bowiem sądzić, że uczucie PetriA było miłością bez wzajemności. Gdyby wszystko to stało się pięć lat temu, to dzielny kapitan Bruce, mężczyzna nie grzeszący nadmierną skromnością, nie kryłby swych uczuć pod korcem. Sprawa jednak wygląda zdecydowanie inaczej, kiedy z człowieka pozostaje jedynie jego blady cień. Strzępek, pozostawiony z litości we Flocie Kosmicznej i to nie w kadrze pilotów, tylko na spokojnej synekurze w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc — na półdzikiej planecie Pe-U. Sam zresztą tego właśnie chciał. Im rzadziej będzie spotykał starych znajomych, im rzadziej będą mu przypominać o czasie, w którym zaważyło się jego życie, im rzadziej będą mu współczuć lub naigrawać się za jego plecami, tym łatwiej będzie mu jakoś dociągnąć do końca. Mógł naturalnie wrócić na Ziemię, na maleńki globik na peryferiach szlaków kosmicznych, ojczyznę jego dziada (Andrew, podobnie jak wielu innych galaktycznych ludzi urodził się na Ziemi 3, w centrum Galaktyki, skąd Ziemię można zaobserwować jedynie przez silny radioteleskop). Wrócić, jak powracają liczni starzy Ziemianie, którzy u schyłku lat zaczynają tęsknić za planetą przodków, wrócić, jak wraca zwierzę pragnące umrzeć w swoim lesie. Ale był jeszcze młody. Czterdziestka to nie pora na odpoczynek. Pociągu do pisania pamiętników czy malowania obrazów jakoś nie miał.

A przy tym był do końca życia zarażony Kosmosem. Praca na tej planecie dawała mu ślad nadziei, że może kiedyś znów uleci ku gwiazdom jako junga, jako trzeci nawigator, wszystko jedno jako kto...

A na razie nie wychodził na dwór po zachodzie słońca, żeby nie oglądać gwiazd.

Jeśli życie człowieka jest właściwie zawieszona, a nadzieje — całkowicie pozbawieni nadziei mogą być jedynie wisielcy — są tak mgliste, że właściwie nie można wiązać z nimi żadnych planów, to ktoś taki nie ma prawa do połamanego wozu swojego istnienia przykuwać innego człowieka.

Obraz połamanego wozu był literacki i natarczywie banalny. PetriA wyznała mu wszystko sama. Spokojnie i rozsądnie, jak przystoi panience z dobrego miejskiego klanu.

Zajmował się wówczas grupą ekspertów budowlanych, którzy projektowali w górach zapórę, aby w czasie pory deszczowej nie zalewały już miasta potoki brudnej wody. Eksperti z Fracjoli byli wysokimi, chudymi, milczącymi ludźmi o ciemnych twarzach. Wszyscy ubrani byli w identyczne błękitne togi i w czarne kapelusze ze zwisającymi jak ptasie dzioby rondami. Odróżnienie ich od siebie i rozmowa o czymkolwiek poza betonem była prawie niemożliwa. Dostarczanie rozrywek ludziom, którzy nie wykazują żadnych emocji jest bardzo trudne. Na domiar złego wskutek awarii aparatu lądującego statku odlot ekspertów opóźniał się i trzeba było spędzić wieczór na kosmodromie, konwersując uprzejmie o betonie.

Zmęczeni się tego wieczora okropnie.

I PetriA, i Andrew, bo WosenJu, rzecz jasna, urwał się zaraz po obiedzie wymówiwszy się chronicznym katarem.

Wracając z kosmodromu zajrzeli do biura, żeby zostawić dokumenty. Potem Andrew zamierzał podrzucić dziewczynę do domu.

Padał ciepły drobny deszcz. Andrew zatrzymał wóz przed bramą. Biuro dobudowane do dolnej części domu—dyni wyglądało jak purchawka na szklanej nodze.

Ściana domu tworzyła nad nim nawis, tak że przy drzwiach wejściowych było sucho.

Witryna ledwie się jarzyła. Zbędne światło na noc wyłączano, bo elektryczność na Pe-U była bardzo droga.

Andrew wyskoczył z furgonetki i podał rękę PetriA.

Na drzewach, sadowiąc się do snu, głośno wrzeszczały ptaki.

PetriA nie puściła ręki Andrew. Stała obok, mocno ściskając jego dłoń.

— Zmęczona jesteś? — zapytał.

— Kocham cię — powiedziała PetriA. — Przez cały dzień chciałam ci to powiedzieć.

— Nie mów tak! — wykrzyknął Andrew. Chciał powiedzieć: „Nie mów głupstw!”, ale w ostatnim momencie się zreflektował, że ją w ten sposób obrazi.

— Nic na to nie poradzę. Staralam się ciebie nie kochać.

Weszli do biura.

PetriA zapaliła światło.

Andrew wszedł za barierkę i otworzył drzwi do swojego gabinetu.

Zatrzasnął sejf i zatrzymał się na progu. PetriA siedziała na niskiej kanapce, podwinawszy nogi w niebieskich pantofelkach z długimi, modnie wygiętymi noskami. Nawijała na palec pasmo długich, błękitnych włosów. Tylko to zdradzało jej zdenerwowanie. Prawo do uzewnętrzniania uczuć obowiązujący obyczaj daje tu tylko mężczyznom, a kobiecie nie wypada demonstrować jakichkolwiek emocji. A PetriA była panienką z bardzo dobrego domu.

— Zostanę z tobą na noc.

— A w domu? — Andrew zrozumiał, że zrobi wszystko, czego ta dziewczyna zażąda. Bo przecież ona wszystko wie lepiej i przekonanie, że to powinno stać się właśnie tak, daje jej prawo

decydowania.

— W domu wiedzą, że zostają na kosmodromie. Nieprzyjemnie ci myśleć o tym, że wszystko przewidziałam? Aleja przecież czułam twoje wahanie. Czułam przez wiele dni.

Schody do pokoju Andrew znajdowały się za jego gabinetem. Poza nim w tej dyni nikt nie mieszkał, a on sam zajmował całe piętro.

Góra była pusta. Gnieździły się tam kłótlive ptaki, które rankami głośno tupotały nad głową, obrzucając się nawzajem najgorszymi wyzwiskami.

Ptaki obudziły ich o świcie.

— Jesteś zły? — zapytała PetriA. — Twoje myśli są lękliwe. Promień wschodzącego słońca wpadł do pokoju, rozświetlił trójkąt w ścianie, przemknął po stole i zaigrał złotymi płomykami na błękitnej peruce PetriA.

Jej prawdziwe włosy były krótkie i jedwabiste. I prawie czarne.

Dziewczyna przechwyciła spojrzenie Andrew, wyskoczyła z łóżka, podbiegła do stołu i szybko włożyła perukę.

— Jeszcze żaden mężczyzna nie widział mnie bez peruki — powiedziała. — Wiedziałeś o tym?

— Bez peruki jesteś o wiele piękniejsza.

— Kiedy będę przychodziła do ciebie, zawsze zdejmę perukę. Ale kobieta zachowuje się tak tylko wobec własnego męża.

— Zostaniesz moją żoną.

PetriA usiadła na skraju łóżka zawinawszy się w szlafrok Andrew. Błękitna peruka na jej głowie wyglądała jak świetlista aureola.

— Klan nigdy na to nie pozwoli. Zabiją mnie i ciebie.

Andrew nie powiedział, że to bzdura. Czas, który tu spędził przyzwyczaił go do myśli, że miejscowe tabu są niewzruszone.

— Zabiorę cię stąd.

— Być może. Ale sądzę, że poczciwy Olsen na to nie pozwoli. Będzie się lękał zakłócić porządek. Naszego klanu obrażać nie wolno, bo to przecież trzeci klan stolicy.

— Wiem. Ale mimo to cię zabiorę.

— Na pewno. Jeśli tylko ci się nie znudzę.

PetriA nagle uśmiechnęła się, szybko musnęła jego policzek rzesami i pobiegła się umyć. Była tak lekka i bezcielesna, że strach ją było kochać, ale zawsze chciało się ją otoczyć opieką.

Po dwóch miesiącach Andrew znów zaczął mówić na temat małżeństwa. Może pójdzie do jej ojca?

— Jeśli oni się czegoś domyśla, to nigdy mnie stąd nie zabierzesz — powiedziała twardo PetriA. — Zamkną mnie w naszej górskiej twierdzy. Tam nigdy mnie nie odnajdziesz, nawet gdyby przyleciały ci na pomoc wszystkie statki Galaktyki ze wszystkimi twymi przyjaciółmi.

— Nie mam już przyjaciół.

— A ten kapitan z „Osaki”? Był u ciebie. Długo rozmawialiście. Zapytałam go potem, czy jesteś dobrym człowiekiem. Powiedział, że jesteś człowiekiem bardzo dobrym. To chyba znaczy, że jest twoim przyjacielem?

— Nie, po prostu kiedyś razem lataliśmy. Flota Kosmiczna jest bardzo liczna.

— Wiem. Mamy wszystkie spisy.

— Nie jest mi lekko, kochanie.

— Ja też chcę być z tobą. I chcę, żebyśmy mieli dzieci. Ale umiem czekać.

Ta rozmowa odbyła się całkiem niedawno. I wtedy Andrew postanowił poprosić o przeniesienie na inną planetę albo do Centrum. Wiedział, że ta prośba mocno jego zwierzchników zdziwi, ale na pewno ją spełnią. Jeśli tylko będzie miejsce. Jednak wysłanie takiego podania oznaczało

przyznanie się do jeszcze jednej porażki, do kolejnego niewypełnienia obowiązku. A Andrew Bruce'a wychowywano na człowieka obowiązkowego.

\* \* \*

Zostawiwszy PetriA w niewielkiej salce recepcyjnej kosmodromu i wysławszy WosenJu do magazynu, żeby sprawdził czy przygotowano dość miejsca na ładunki, Andrew Bruce poszedł na górę do dyspozytorni.

W szklanym pomieszczeniu dyspozytorni było bardzo gorąco. Przez otwarte okna wpadał do jej wnętrza rudy kurz.

Obaj dyspozytorzy wstali na jego powitanie. Odkłonił się. Dobrze się znali. Starszy z dyspozytorów wrócił rok temu ze stażu na Koronie. Młodszy — opalony, w klanowym kasku Wschodnich Gór podobnym do kapelusza muchomora — wziął ze stołu kartkę papieru.

— Statek drugiej klasy serii Gr-I, „Szkwar”, port macierzysty Ziemia, znajduje się na orbicie planety — powiedział. — Łączność stabilna. Lądowanie w granicach czterdziestu minut.

»„Szkwał” — poprawił w myślach Andrew«. Tutejszy język nie zna głoski „ł”, a wszystkie „sz”, „cz”, „ż”, brzmią w nim bardzo twardo. Ale poprawiać głośno byłoby nietaktem. Szczególnie w stosunku do górala.

— Kto jest kapitanem? — zapytał.

— Jakubauskas — odpowiedział starszy dyspozytor, włączając ekran. — Czeka na połączenie.

Jego długie palce spoczęły na pulpicie i na owalnym ekranie ukazała się jakby ciosana z kamienia twarz Witasas.

— Andrew — powiedział. — Cieszę się, że cię widzę.

— Witaj! Jak lot?

— Mam najwspanialszą zabawkę naszego stulecia! Mówili mi, że tutaj jesteście i z góry cieszyłem się na nasze spotkanie.

— Za godzinę się zobaczymy.

Andrew Bruce zszedł na dół. PetriA w sali nie było. Pomieszczenie wydało mu się puste, choć kręcili się w nim ludzie. Przyłot statku jest niezmiernie ciekawym widowiskiem i zawsze zwabia stada gapiów, o wiele liczniejsze niż walki ptaków.

Niektórzy poznawali agenta Floty Kosmicznej i uprzejmie mu się kłaniali.

Dobrze, że przyleciał właśnie Jakubauskas. Wie o wszystkim, więc nie będzie o nic pytał i rozdrapywał starych ran.

— Proszę mi powiedzieć — zwrócił się do Andrew reporter jednej z dwóch gazet, które ukazywały się tu na wzór cywilizowanego świata — czy miał pan okazję latać grawilotem?

— Nie — odpowiedział Bruce bez zastanowienia. — Grawiloty pojawiły się dopiero w ostatnich latach.

— To będzie pierwszy grawilot w naszym sektorze?

— To pierwszy grawilot lądujący na Pe-U — odparł Andrew.

W cieniu budynku kłębił się tłum. Takiej masy ciekawskich Andrew jeszcze tu nie widział. Ci, dla których nie starczyło miejsca w cieniu, rozłożyli się na słońcu. Topnieli od upału, ale nie odchodzili. Można ich było zrozumieć: jeszcze nigdy na Pe-U nie lądował prawdziwy statek kosmiczny. Dotychczas do planety docierały jedynie kutry ładownicze, same w sobie interesujące, ale oczywiście w o wiele mniejszym stopniu niż liniowce, które pozostawały na orbicie, bo nie były przystosowane do wchodzenia w atmosferę. A grawilot mógł lądować wszędzie.

Kiedy Andrew jeszcze latał, o grawilotach dopiero marzono. Prowadzono intensywne badania i dość szybko zbudowano pierwszy grawilot użytkowy. Stało się to nieco ponad dziesięć lat temu.

Latali wtedy razem z Jakubauskasem na „Tytanie”. Witas był drugim, a Andrew pierwszym oficerem.

Rdzawy kurz leniwą falą pełzał nad polami. Widzowie cierpliwie czekali. Mętnie polśniewały zakurzone hełmy, kolebały się modne kapelusze–parasole. Przenikliwie krzyczeli sprzedawcy wody sodowej, pogdakiwali handlarze owoców, dym różnów gryzł w oczy. Pan Prug, następca witora Brendyjskiego, najbardziej egzotyczna postać w mieście, stał na wysokim cokole podobnym do gońca szachowego. Kiedyś, dawno temu, jego twarz wyglądała normalnie. Później rozplynęła się w tłuszczu tak obfitym, że nos, oczy i usta zniknęły w ogromnych policzkach. Jego zuchy w błękitnych narzutkach w szare grochy odsuwały gapiów, aby ktoś przypadkiem nie potrafił szacownej osoby.

Następca zauważył Andrew, gdy tylko ten stanął w drzwiach, i zabręczał bransoletami podniósłszy wysoko tłuste łapska.

— DreJu, wydaję dzisiaj kolację! Zapraszam cię na nią razem z kapitanem!

Następca tronu chciał, żeby usłyszało o tym całe miasto.

Andrew udał, że to zaproszenie sprawiło mu ogromną przyjemność. „Szlag by to trafił — pomyślał. — To miał być wieczór mój i PetriA, a ty mi to zabierasz. Ale trzeba będzie pójść, żeby Olsen się nie denerwował. Jesteśmy przecież dyplomatami. Wszystko wytrzymamy. Gdzie jest PetriA?”

Konsula Olsena znalazł za rogiem budynku, gdzie zawędrował w poszukiwaniu dziewczyny. Konsul prowadził ożywioną rozmowę z urzędnikiem w czarnej narzutce. Twarz urzędnika nie była Bruce’owi obca, ale nie potrafił zorientować się w jego randze. Za nic nie potrafił nauczyć się znaczenia kółek naszytych na piersiach. Kiedyś PetriA straciła cały wieczór tłumacząc mu to, co było oczywiste dla każdego miejscowego chłopaka. Ale na próżno.

Daleko, przy drzwiach magazynu, stała pusta platforma. Wspinali się na nią strażnicy w wysokich miedzianych hełmach, a obok nich kręcili się tragarze w żółtych szatach swojej gildii. I tam też stała PetriA. Wyczuła w jakiś sposób wzrok Andrew i uniosła smukłą, obnażoną rękę. „Szczęśliwa — pomyślał. — Nigdy jej nie jest gorąco. I skórę ma zawsze chłodną”.

— Wszystko w porządku? — zapytał rzeczowo konsul. — Rozmawiałeś ze statkiem?

— Kapitanem jest Jakubauskas — odpowiedział Bruce. — Kiedyś lataliśmy razem. — Był zdziwiony, że konsul zwraca się do niego na ty.

— Na pewno przywiezie moje odwołanie — powiedział Olsen marszcząc czoło. Miał zaczerwienione oczy, dokuczala mu alergia na kurz, w ogóle był w nienajlepszej formie i stąd pewnie to przejęzyczenie. — Helena Kazimirowna i ja bardzo na to czekamy.

— Nie chciałbym, żeby pan stąd odlatywał — uśmiechnął się Andrew. — Przyzwyczailem się do pana.

— Ja też, ja też, ale to już dwanaście lat! Mam trzy, tony notatek. Powiniennem pisać! A zajmuję się rozmowami. Na moje miejsce przyleci prawdziwy, młody, energiczny specjalista. Będzie panu z nim o wiele ciekawiej.

— Po pierwsze z panem też mi się nie nudzi — powiedział Andrew — i wątpię, czy w całej Galaktyce znajdzie się lepszy od pana specjalista. A po wtóre sam zbieram się do odlotu.

— W żadnym wypadku! Pan był tutaj tak krótko!

— Jeżeli obaj panowie odleciecie, będzie to wielka strata dla Pe–U zauważył uprzejmie urzędnik w czarnej narzutce.

— a co słyhać z archeologiem? — zapytał Andrew, kątem oka obserwując, jak platforma pełźnie do miejsca lądowania.

— WaraJu najlepiej to panu opowie — uśmiechnął się konsul.

I Andrew nagle przypomniał sobie, kim jest ten urzędnik. WaraJu był szefem Straży Miejskiej.

Jego orli profil widział we wczorajszej gazecie.

— Jeżeli to zwykły rabunek — mówił WaraJu monotonnym głosem, lekko kiwając wąską głową, jak ptak, który zamierza dziobnąć — to szybko go odnajdziemy. — Machnął ręką, odpędzając od twarzy muchy i dorzucił: — Jego zwłoki najprawdopodobniej wypłyną w jeziorze.

Ogromne płytkie jezioro rozpościerało się na zachodnich krańcach miasta. Dzielnice rybackie rozpełzały się nad jego brzegami i domami na palach, wchodziły głęboko w wodę. Między dzielnicami mieszkalnymi znajdowały się przystanie. Jezioro było brudne, zarosnięte trzcina i dopiero o kilometr od brzegu woda była na tyle głęboka, żeby w czasie silnego wiatru przebiegały po niej fale.

— Ale skąd wzięli się rabusie w środku miasta i to w biały dzień?! Czy to normalne?

— Nienormalne — zgodził się WaraJu. — Ale łatwiejsze do rozwikłania.

Pomilczał chwilę patrząc w niebo, a potem odezwał się:

— Posłałem agentów do Klanu Zachodnich We. I nad jezioro do przystani.

— Dlaczego właśnie od tego klanu? — zainteresował się Andrew.

— Nie wykluczone, że szedł szukać na nim pomsty.

— Pan w to wierzy?

— Ja nie wierzę, ja sprawdzam — powiedział WaraJu. — Dla mnie to bardzo nieprzyjemny problem. Nie chciałbym, żeby ludzie z Galaktyki przylatywali tu mieszać się do naszych spraw.

— Ale przecież ten van Kuun spędził tu tylko cztery dni i nigdy przedtem nie widział Pe-U na oczy. Cały czas przebywał w Szkole Wiedzy. — Olsen powtarzał argumenty Andrew. Było mu gorąco. Wyciągnął chusteczkę i wytarł nią twarz. Chusteczka zrobiła się ruda. Olsen złożył ją ostrożnie w ten sposób, żeby rdzawe plamy znalazły się w środku, i schował do kieszeni.

— Tak, ale on przybył z Ar-A — powiedział strażnik.

— Co to ma do rzeczy? — odezwał się Andrew.

— Znaleźli tam skarby gigantów. A to niebezpieczne.

\* \* \*

Trzecią planetę układu (Pe-U była drugą) archeologowie nazwali Atlantyda.

Fantazja ludzka jest ograniczona i jej pożywkę stanowi stosunkowo skąpy zestaw legend i odwiecznych pragnień. Wiadomości o planecie pochodziły głównie z legend zebranych przez Olsena, który też był inicjatorem wykopalisk. Planeta była pusta i dlatego zagadkowa. A jeżeli na Ziemi w swoim czasie istnieli Atlanci, którzy wyginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, to na Ar-A mieszkali giganci, którzy wymordowali się w tajemniczych wojnach.

Ar-A leży stosunkowo niedaleko od Pe-U, wchodzi na niebie nie jak gwiazda, lecz jako błękitna tarczka i jeżeli ktoś ma dobry wzrok, może w lukach między chmurami dostrzec na niej zarysy kontynentów. Oczywiście, kiedy mieszkańcy Pe-U szukali odpowiedzi na pytanie o życie swoich przodków, ich wzrok zwracał się ku niebu, ku bliźniaczej planecie, którą zasiedlili baśniowymi istotami, gigantami i czarownikami.

Na Pe-U wierzono, że mieszkańcy Ar-A w niepamiętnych czasach przylatywali tam w żelaznych statkach. Właśnie oni, istoty o świetlistych twarzach, nauczyli ludzi budować domy i liczyć dni, dali im ubranie i prawa. Nieposłusznych porażali błyskawicami.

Potem giganci pokłócili się ze sobą z winy bogini Słońca Or-O, nie znoszącej konkurencji ze strony śmiertelnych. A że byli podzieleni na klany, to rozpoczęła się straszliwa wojna, w której pozabijali się nawzajem ku zadowoleniu mściwej bogini.

W wielu legendach, pieczołowicie zbieranych przez niezmordowanego Olsena, opisywane są statki gigantów, ich wygląd zewnętrzny, a nawet język odtworzony z pradawnych zaklęć.

Być może Olsen ograniczyłby się do sporządzania notatek i co najwyżej wydałby drukiem swoje legendy, gdyby pewnego dnia nie dowiedział się, że w dolinie, za sanktuarium Jednookiej Dziewicy istnieje święte miejsce, noszące nazwę Niebiańskiego Kamienia. W Szkole Wiedzy powiedziano mu, że ten kamień to wcale nie kamień, tylko znaleziony dwadzieścia lat temu przez myśliwych głęboko zaryty w grunt statek gigantów.

Przez trzy miesiące Olsen nękał Szkołę Wiedzy, prosząc i błagając, aby ktoś wybrał się z nim do doliny, potem przez następne dwa miesiące przeczekiwał wojnę międzyklanową, która tam akurat wybuchła, wreszcie udało mu się przekonać Helenę Kazimirownę i wyrwać się do doliny.

Kiedy zobaczył tam rozbity statek kosmiczny, natychmiast uwierzył w realność cywilizacji na Ar-A i wywalczył wysłanie tam ekspedycji archeologicznej.

Archeologowie przylecieli na Ar-A pół roku temu.

Przez pewien czas nie mogli niczego odnaleźć, bowiem na planecie strefa umiarkowana i tropiki były pokryte gęstymi lasami.

Potem odkryli ruiny miasta.

A jeszcze później znaleziska posypały się jak z rogu obfitości. Jedno ważniejsze od drugiego.

Na prośbę Olsena przyleciał na Pe-U archeolog Focjusz van Kuun, żeby wygłosić w Szkole Wiedzy wykład o wykopaliskach.

Przez trzy dni rozmawiał z kolegami. Ale ostatni, szczegółowy wykład — sensacja w skali planetarnej — nie odbył się, bo archeolog zniknął.

\* \* \*

— Oczywiście — oświadczył WaraJu — nie jest wykluczone, że mamy do czynienia z fanatykami.

— Jakiego rodzaju? — zapytał Olsen, zgrabnie operując okrągłym wachlarzem ze skorupy żółwia.

— Kiedy nie istnieje wytłumaczenie oczywiste, szukam wówczas wersji mniej prawdopodobnych — uśmiechnął się strażnik. — Może wśród kapłanów kryje się sprawca tego czynu. Może któryś z nich uznał, że działalność archeologa na Ar-A była świętokradczą... Zresztą to tylko luźne przypuszczenie. Najprawdopodobniej winni są zwykli rabusie.

— Czyżby nie było żadnych śladów, poszlak? — dopytywał się Andrew.

— Rikszarz twierdzi, że widział, jak archeolog biegł po ulicy w stroju śmiertelnej zemsty...

— W czarnym fraku? — uprzejmie zapytał Olsen. — To ubiór do wystąpień publicznych przyjęty wśród znakomitych uczonych.

— Znakomity uczony nie występuje bez fioletowej narzutki — powiedział WaraJu.

— A jeżeli van Kuun bardzo się spieszył i nie zdążył jej włożyć? Albo po prostu zapomniał, nie przywiązując do tego większej wagi?

— Nie przywiązywał wagi do narzutki? — WaraJu był zdziwiony. Nawet najtrzeźwiejszy, najbardziej tolerancyjny dla cudzych dziwactw człowiek na planecie nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś zapomniał włożyć narzutki. To niemożliwe! Wyobraźcie sobie, że ktoś udając się na oficjalne spotkanie zapomniał włożyć spodni!

— Będziemy go szukać — zapewnił WaraJu, ale jego głos zabrzmiał niepewnie. — A czy on przypadkiem nie był maniakiem?

— Dlaczego pan o to pyta? — Olsen starał się ukryć zdumienie.

— Sprzedawca ze sklepu rytualnego twierdzi, że wasz archeolog pragnął nabyć figurki wszystkich klanów. Kupiec uznał, że to maniak chcący ogłosić zemstę dla wszystkich klanów gór.

— Z tego wynika — powiedział Andrew — że van Kuun sądził, iż są to pamiątki, a nie figurki

zemsty.

— Niemożliwe! — stwierdził kategorycznie WaraJu, ale najwyraźniej ta wersja, choć tak nieprawdopodobna, w jakiś sposób go ucieszyła. — Jest taki zwyczaj? — zapytał. — Kupować, ot, tak sobie?

— Jest — powiedział z przekonaniem Olsen. — Kupuje się na pamiątkę, żeby nie zapomnieć na przykład o waszej wspaniałej planecie.

\* \* \*

Na niebie, przebiwszy jasną gwiazdką pylistą mgłę, ukazał się „Szkwał”.

Andrew domyślił się tego usłyszawszy, jak zmienił się gwar tłumu.

Wszyscy patrzyli w górę.

Potężne łapska następcy tronu brendyjskiego podniosły do oczu lornetkę teatralną z masy perłowej. Skąd się ta lornetka wzięła na Pe-U, z jakiego antykwariatu przywędrowała — tego nie wiedział nikt.

Gwiazdka zmieniła się w świetlisty dysk, który zbliżając się rósł i zmniejszał szybkość.

Oczywiście Andrew mógł pójść do dyspozytorni. Ale dyspozytorzy byli teraz bardzo zajęci i nie należało im przeszkadzać. Kapitan Jakubauskas też był zajęty. Lądowanie to sprawa prestiżowa. Wizytówka kapitana. Zwłaszcza wówczas, gdy na planecie ląduje pierwszy grawilot w jej historii.

Do obowiązków agenta Floty Kosmicznej należy podpisywanie protokołów i listów przewozowych, witanie, oprowadzanie i dostarczanie rozrywek, uśmiechanie się i nic więcej. Z lotami ma tylko mocno z pośredni związek.

„Szkwał” miękko osiadł na płycie, ale w tej lekkości była taka moc, że ziemia zadrżała.

Platforma ze strażnikami i tragarzami potoczyła się ku statkowi. Andrew obserwował błękitną perukę PetriA.

Za rogu budynku wyskoczyła druga platforma, malutka i pomarańczowa. Na niej w pomarańczowej todze i żółtej koronie stał lekarz zajmujący się sprawami kwarantanny. Stanowisko było zupełnie nowe, nader zaszczytne, więc obsadzono je szalawią z rodziny ministra spraw zagranicznych.

Andrew z Olsenem podeszli do przodu, do lekkiego ogrodzenia, wzdłuż którego rozplywali się z gorąca gwardziści w pełnym rynsztunku.

Do statku było mniej niż kilometr, ale prawdziwe rozmiary „Szkwału” dały się ocenić dopiero wtedy, gdy pierwsza platforma zbliżyła się do jego boku i okazała się w porównaniu ze statkiem pełnym maleństwem.

Na spotkanie mrówkom, które zeskoczyły z platformy, rozwinęła się srebrzysta pochylnia, a nad nią rozwarł się luk, który wydał się Andrew wrotami świątyni. Do diabła! Mógłby dowodzić tym ogromem, tym potężnym, ciężkim i tak lotnym statkiem...

Tłum gapiów oswoił się już z wrażeniem, jakie wywarły rozmiary grawilotu. Znowu zadźwięczały rozmowy.

Potem nie było już nic ciekawego.

Rejs był eksperymentalny, więc żadna gwiazda video ani żaden ważny gość na pokładzie się nie znajdował.

Jednak nikt jeszcze nie odchodził. Trzeba było sobie powetować tak długie oczekiwanie. Obejrzeć, obgadać, a co najważniejsze pokazać się.

Zresztą nawet rutyna powitania, zwyczajna i opracowana w szczegółach dla każdej planety — tak przynajmniej zapewniano ludność miejscową, bo gdziekolwiek lądował statek Floty Kosmicznej wszędzie wyglądało to tak samo — była atrakcyjnym widowiskiem. I w tym właśnie



widowisku Andrew Bruce odgrywał niepoślednią rolę.

Poprawiwszy piaskowy mundur — w tym kurzu biały mundur nie miał sensu — Andrew obejrzał się. WaraJu został pod murem. Olsen podszedł do niego. W pobliżu kręcił się brat PetriA. Ten wałkoń pracował w gazecie. Ścisłej mówiąc pracował wtedy, kiedy miał na to ochotę. Teraz ta ochota go rozpierała, bo przecież patrzyło na niego kilkuset gapiów. Kain PetriU wytwornie pochylił głowę i zmarszczył czoło szkicując na białej, zawieszanej na piersiach desce zarys grawilotu. Uważał się za ilustratora.

Andrew ruszył do przodu. Jutro w obu pismach znajdują się sprawozdania: „Jak zwykle na spotkanie statku wyszedł agent Floty Kosmicznej, DreJu, znany naszym czytelnikom z dziwnego zwyczaju biegania co rano wokół swego domu. Ubrany był w uszyty przez mistrza Krirel wytworny garnitur mundurowy koloru piaskowego ze złotymi guzikami...”

Niska platforma, którą prowadził nadęty jak indyk WosenJu, zgrabnie podjechała do Andrew, który przepuścił przodem Olsena. Platforma uroczyście wytoczyła się na rozżarzony plac i popłynęła ku statkowi.

Andrew widział, jak piloci wyszli z luku i zatrzymali się u szczytu pochylni. Wydawało mu się, że przez gęste od żaru powietrze dotarły do niego słowa jednego z nich:

— Ale upał!...

\* \* \*

Wracali z kosmodromu nowym samochodem konsula.

Samochód był wygodny, czysty, na poduszce powietrznej i doskonale hermetyzowany. We wnętrzu było chłodno, a przede wszystkim nie było ani odrobiny kurzu.

Olsen rozłożył na kolanach worek z pocztą i przeglądał ją. Andrew pomyślał, że szuka zgody na swój odlot.

Witas Jakubauskas prawie się nie zmienił. Jak zawsze miał jasne, prawie białe włosy i jeśli nawet trochę posiwiiał, to nie można było tego zauważyć.

Rozmawiali o „Szkwałe”. O przelocie. O właściwościach statku. O żadnych wspomnieniach nie było mowy i na razie jeszcze być nie mogło. Witas był człowiekiem delikatnym.

Pojawienie się statków klasy „Szkwału” otwierało nową erę w lotnictwie cywilnym. Rotory grawitacyjne są o wiele prostsze od silników plazmowych. Nie potrzebują osłon przeciwpromiennych i są całkowicie bezpieczne. Jeśli liniowiec plazmowy skazany jest na rodzenie się, życie i śmierć w Kosmosie, to grawilot można zbudować wszędzie i wylądować nim w każdym terenie. W najgorszym razie przygniecie trawę.

Granice szybkości „Szkwału” określa nie moc silników, lecz właściwości konstrukcyjne samego statku. Witas mówił, że buduje się już model krzemowy. I jeżeli ludzkości sądzone jest kiedykolwiek doczekać możliwości błyskawicznego przemieszczania się w przestrzeni, to zdoła to osiągnąć jedynie za pomocą grawilotów.

W końcu Olsen złożył listy i kasety, głośno westchnął i zapytał:

— Jest pan u nas po raz pierwszy?

— Tak.

— Wobec tego jutro pojedziemy nad wodospady — powiedział konsul. Zawsze woził gości nad wodospady.

— Mamy tylko dwa dni postoju — zauważył Witas. — Obawiam się, że jutro też będę zajęty.

Wskazał ręką dynie migające za oknami:

— Z czego oni tu budują?

— Dawniej z gliny na drewnianym szkielecie lub rzadziej z kamienia. Teraz to beton. — odparł

Olsen. — I tak wiedziałem, że listu nie będzie. Ale następnym statkiem przylatuje komisja. Nie puszczę ich, dopóki nie wywalczę swego odwołania.

— Tak tu ciężko? — zapytał Witas.

Witas umiał zadawać pytania takim tonem, jakby odpowiedź szalenie go interesowała. Jego szare oczy pały ciekawością, a uszy zdawały się chłonać każde słowo rozmówcy. Andrew podejrzewał kiedyś Witasa o dwulicowość, ale kiedy do niego przywykł, zrozumiał, że Witasa cudze sprawy naprawdę interesują. Tak samo jak Bruce był samotny, zamknięty w sobie i opanowany, ale w przeciwieństwie do niego nie pozwalał sobie na żadne wybuchy, na wygadywanie głupstw i nawet na podnoszenie głosu. W skrajnych przypadkach tylko jego palce splecione na kolanach zaciskały się aż do chrzęstu.

Olsen, poruszony zainteresowaniem Witasa, rozpoczął długi monolog o trudach życia konsula na Pe-U. Andrew słuchał w roztargnieniu patrząc przez okno. Dziwne. Po co archeologowi były te figurki zemsty? Może on tu już kiedyś bywał? Trzeba zapytać Olsena... Może domyślił się zajrzeć do list podróżnych, którzy bywali tu w poprzednich latach. PetriA mówiła, że ma wolny wieczór, a tu jak na złość przyjęcie u następcy tronu. Nie wypada odmówić. Na domiar złego nie zdążył jej uprzedzić. Naturalnie będzie czekała. Nigdy nie ma o nic pretensji. I czeka. A co zrobić z Witasem? Odstawienie go do hotelu byłoby po prostu niehumanitarne.

A Olsen, zabawnie przekonany o tym, że jego rozmówca jest dokładnie wprowadzony w miejscowe układy i intrygi, w których nie zawsze orientował się nawet sam Waraju, choć bardzo lubił je organizować, próbował dowiedzieć Jakubauskasowi, że w przyszłym roku do władzy w Kitenie dojdzie z pewnością Kroń KropU, wskutek czego brat premiera straci portfel ministra Rozrywek i będzie zmuszony wejść w sojusz z Jego Potężnością.

Jakubauskas słuchał tak, jakby przez całe życie marzył wyłącznie o poznaniu kowań Kronia KropU.

Samochód przejeżdżał obok zatłoczonego bazaru. Przechodnie zamierali w bezruchu, gapiąc się na dziwny kształt wozu. Grupa rybaków z dalekich Kanałów, najwyraźniej po raz pierwszy przebywających w mieście, krzywiła się na widok pojazdu, układając twarze w rytualne maski pogardy. Pogarda rodziła się ze strachu. W stolicy już mało kto wierzył, iż przybysze to potwory, jednak im dalej od miasta, tym wspanialej kwitły najpotworniejsze plotki o ludziach z gwiazd.

W świecie, który jeszcze nie dysponuje środkami szybkiej łączności „zwykłość” przybyszów przyjmowano z najwyższym niedowierzaniem. „W końcu — myślał Andrew przysłuchując się opowieści Olsena o tym, jak to nałożnica Kronia KropU wpadła na pomysł wytrucia podczas obiadu wszystkich swoich pasierbów — niegdyś na Ziemi również sądzono, iż Niewiadome wypełnione jest potworami, których wyobrażenia składały się z fragmentów istniejących realnie zwierząt. To pająka powiększono do gigantycznych rozmiarów, to znów głowę węża przyczepiano do tułowia niedźwiedzia... Kiedy dla monstrów zabrakło już miejsca na Ziemi, bo zbadano ją na tyle, iż nie utrzymał się ani wąż morski, ani człowiek śniegu, fantazja znalazła sobie nową pożywkę — obce światy. I trudno było zrezygnować z cudów nawet wtedy, kiedy pierwsze wyprawy dotarły do gwiazd. Siedziby potworów oddalały się jedynie od Ziemi, ale nigdy całkowicie nie zniknęły. Ciągłe znajdowały się nowe legendy, nie zawsze ziemskie, bo ludność Galaktyki była równie skłonna do wymyślania potworów jak jej ziemscy kuzyni. W każdym razie fakt, że Galaktyka okazała się zamieszkała przez ten sam gatunek — homo sapiens, uwarunkował podobieństwo sposobu myślenia. W wielu rzeczach rasy galaktyczne różnią się od siebie, ale pod jednym względem są wręcz bliźniacze — w bujności fantazji.

I dokładnie tak samo, jak niezwykle w kształcie obłok tworzył w wyobraźni mieszkańca Szwajcarii czy Kazachstanu obraz latającego talerza, w fantazji rybaka z Jeziornych Kanałów lustrzana bryła samochodu galaktycznego konsula musiała kryć w sobie tajemnicze, podstępne

potwory”.

Andrew popatrzył na swoich towarzyszy. Olsen w zielonym garniturze z krawężnikiem Szkoły Jeziora na piersiach i siedzący z wyciągniętymi długimi nogami kapitan Jakubauskas w połowym mundurze lotnictwa cywilnego — zwyczajni ludzie rozmawiający zwyczajnie o całkiem niezwykłych sprawach. A za cienkimi ściankami karoserii samochodu świat dalej uporczywie toczył się szlakiem wytoczonym przez nieznaną prawą. „A my — myślał Andrew — jesteście cieniutką nitką wiążącą Galaktykę z tą planetą, z tymi górami, kupcami i rybakami, których dzieci polecą do odległych gwiazd i będą budować stacje grawitacyjne. Ten skok dokona się o wiele szybciej niż na Ziemi, która sama musiała dorastać do ery kosmicznej. Czasami nie wiadomo, co jest w tym względzie lepsze, przecież bez względu na nasze chęci czy zamiary samo istnienie owej nitki jest już nieodwracalne i brutalnie kaleczy tkankę tutejszego życia, chociażbyśmy byli nie wiem jak uczciwi, rozumni i humanitarni. Konflikt istnieje wewnątrz ludzi. I jeśli WaraJu zdołała go w sobie zwalczyć, uznać nieuniknioną przemianę i zaakceptować je, to z kolei WosenJu, który przebywał w Centrum i nauczył się nawet pilotować pojazdy międzyplanetarne, ma psychikę tak przesiąkniętą kategoriami przeszłości, zaprzęskiej potęgi, urazami spowodowanymi słabością własnego klanu, który musiał podporządkować się klanowi brendyjskiemu, że owo upokorzenie jest dla niego o wiele ważniejsze niż wszystkie statki przylatujące z nieba. WosenJu przyjdzie do domu, zrzuci papuzi mundur, dokona wieczornych ablucji i jeśli akurat przypadnie na niego kolej, obmyje nogi zgrzybiałej staruszce, głowie klanu, i zatopi się do jutrzejszego ranka w gmatwaniu praw” i obyczajów, którymi rządzi się jego małe istnienie, odrobinę wprawdzie ważniejsze od tego, jakie mu przysługuje z urodzenia, gdyż pracuje u przybyszów”.

— Gdzie pan będzie nocował? — usłyszał Andrew głos Olsena. — W naszym domu gościnnym?

— Witas zostanie u mnie — powiedział Andrew. Tym bardziej, że wieczorem idziemy razem na przyjęcie.

— Dokąd? — zdziwił się Witas.

— Do następcy witora Brendyjskiego.

— A propos, on wcale nie jest synem witora — ożywił się Olsen. — System adopcji jest tu ogromnie ciekawy...

— Wybacz pan — przerwał mu Andrew — ale do kolacji mamy tylko trzy godziny, a Witas jest zmęczony. Jeśli jutro zabierze pan załogę nad wodospady, — to Witas po spotkaniu z następcą wysłucha tych informacji z dużo większym zainteresowaniem.

— Słusznie — poddał się Olsen. — Odpoczywajcie. A ja pomogę PetriA ulokować załogę.

— Jeśli ona jeszcze tam będzie, to proszę ją uprzedzić, że poszedłem na to przyjęcie.

— Naturalnie — powiedział Olsen otwierając drzwiczki samochodu. — To wspaniała dziewczyna. I bardzo inteligentna.

Andrew i Witas wysiedli. Olsen rzucił za nimi:

— Powinien pan pomyśleć o założeniu rodziny, Bruce. Samemu żyć jest bardzo smutno. Helena Kazimirowna też tak uważa.

— Dziękuję za życzliwą radę! — uśmiechnął się Andrew.

\* \* \*

Witas umył się, przebrał i położył na kanapie krytej skórą żółtej gremy. Włożył videookulary i zabrał się do oglądania amatorskich filmów, które Andrew zrobił podczas podróży po planecie.

Andrew zadzwonił na dół do Agencji. Nikogo nie było. Wobec tego zadzwonił na kosmodrom,

gdzie mu powiedziano, że PetriA zabrała załogę grawilotu do konsulatu, a WosenJu kończy rozładunek.

Witas zdjął okulary i przymknął oczy.

— Wiesz, to jest fajne — powiedział.

— Co?

— Że okno jest otwarte, a przez nie wpada wiatr.

— Tu panują straszliwe upały — zauważył Andrew. — Tylko przy wodospadach... Tam powietrze jest prawdziwe, krystalicznie czyste. Może też się z wami zabiorę. Namówię PetriA i pojedziemy.

— Kto to jest? — zapytał Witas.

— Moja pomocnica.

— Olsen chce cię z nią ożenić?

— Olsen minął się z powołaniem, powinien być swatką — powiedział opryskliwie Andrew. — Przecież on doskonale wie, że nie mogę się z dziewczyną ożenić.

Witas nie zapytał dlaczego. Nigdy nie zadawał zbędnych pytań, a Andrew nie miał ochoty nic wyjaśniać. Witas może sobie wprawdzie pomyśleć, że ugrzązł na tej planecie, wsiąkł w to ciche, zabagnione życie, ale niech tam. Jeśli chce tak myśleć, to jego, sprawa.

— Nie wybierasz się na Ziemię? — zapytał Witas widząc, że Andrew nie chce mówić o PetriA.

— Na razie nie. Nie jesteś głodny?

— Za gorąco. Potem.

Andrew przygotował mieszaninę owoców z lodem. Witasowi bardzo ta mieszanina smakowała.

— A co tam właściwie znaleźli na Ar-A? — zapytał?

— Już coś dotarło do Centrum?

— Galaktyka nie jest duża — odparł Witas — i ostatnio nic szczególnego się w niej nie dzieje. A my, piloci, jesteśmy roznosicielami wiadomości.

— I plotek — dodał Andrew.

— Czy to prawda, że niegdyś żyła tam rasa gigantów?

— Masz ochotę na sensację?

— Mam.

— Planeta jest martwa. Patrol galaktyczny zaliczył ją do niezaludnionych.

— Pustynia?

— Nie, jest tam wszystko, łącznie z niestabilną atmosferą i silnymi zakłóceniami klimatycznymi. Uboga fauna i flora. Poza lasami.

— Rezerwa kolonizacyjna?

— Tak. Z perspektywami zaludnienia w skali systemu.

— A teraz?

— Teraz archeolodzy wykopali tam mnóstwo interesujących rzeczy. I gdyby Focjusz van Kuun nie przepadł, mielibyśmy wczoraj szansę wysłuchać wielu interesujących historii z ust faceta, który widział to wszystko na własne oczy.

— Na własne oczy?

— Przyleciał tu jeden z archeologów. Wczoraj wieczorem miał mieć wykład w Szkole Wiedzy. Sensacja numer jeden. Wyższe sfery obuły się wytwornie i oblekły w najwytworniejsze stroje. Wyobraź sobie, że na dwudziestowieczną Ziemię przylatuje archeolog z Marsa z wiadomością, że odkryto tam ślady Atlantów.

— A dlaczego wykład się nie odbył?

— Dlatego, że Focjusz van Kuun wkroczył na ścieżkę zemsty.

— Andrew, mów jaśniej!

— Sam ni diabła z tego nie rozumiem. Nikt nie rozumie. W każdym razie archeolog znikł bez śladu. W centrum miasta, dwa kroki od Szkoły Wiedzy. Tutejsze Holmesy są przekonane, że zamiast iść na wykład, wyprawił się na wojnę z jakimś miejscowym klanem.

— A tak naprawdę?

— Mogli go porwać dla okupu, mogli zabić, żeby zrabować mu pieniądze, mogła to wreszcie być jakaś akcja izolacjonistów. Dużo się tu o nich mówi, ale tak właściwie to nikt nie ma pojęcia o co im chodzi.

— Mówisz, że mogli go ograbić i zamordować. A co stało się z ciałem?

— Nie wiem. Zresztą mam nadzieję, że facet żyje, a jutro do konsulatu przyjdzie nieśmiały młody człowiek i zostawi list na patyczku.

— Jaki list?

Wedle rytuału jeśli ktoś kogoś porwie, to powinien dostarczyć krewnym porwanego czerwony patyczek z karbami, oznaczającymi wielkość okupu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wspaniale jest tu rozwinięty system bandytyzmu.

— Jesteś rozdrażniony?

— Chciałbym stąd wyjechać. Tu nic nie można! Nie można nawet ożenić się z ukochaną i kochającą dziewczyną!

No to może wróc do Centrum...

— Gdzie co druga osoba będzie się na mnie gapić i myśleć: a, to właśnie ten Bruce!

\* \* \*

O szóstej, kiedy zapadł zmrok, Andrew z Witasem pojechali do Pruga Drugiego, następcy witoru Brendyjskiego. Było to przyjęcie oficjalne i nie pójść na nie, znaczyło pogwałcić sztywną etykietę obowiązującą na planecie. Witas nie ukrywał, że kolacja bardzo go interesuje. Andrew był poirytowany, złościło go i niepokoiło, że PetriA jeszcze się nie pokazała po powrocie z kosmodromu.

Prug przybył do miasta w zeszłym roku i stanął w nie zamieszkałej dyni—domu klanu.

Wszystkie podjazdy do rezydencji następcy tronu zapchane były ekwipażami arystokracji, więc furgonetkę Floty Kosmicznej trzeba było zaparkować skromnie w zaułku za rogiem.

Dom Pruga otoczony był zielonym żywopłotem sięgającym piersi.

W żywopłocie naprzeciw domu była przerwa, której boki zdobiły kamienne kolumny z herbami Witorów Brendyjskich: tarczami z człowiekiem przebitym włócznią. Istniała legenda, iż wiele lat temu pewien brendyjski bohater przebit na wylot włócznią zdołał jednak wymordować setkę wrogów i utrzymać klanową twierdzę.

Od kolumn do schodów wejściowych ciągnęły się pięcioramienne postumenty z pochodniami. Do smoły pochodni dodano soku górskich ziół, więc ich płomienie jarzyły się złowieszczym fioletowym blaskiem. Górale w krótkich kolczugach, wysokich hełmach z włóczniami i automatami w rękach pilnowali wejścia. Następca tronu brendyjskiego miał wielu wrogów.

Szli wzdłuż żywopłotu. Było prawie ciemno. Brakowało jeszcze jakichś pięćdziesięciu metrów do oświetlonego wejścia, gdy Andrew poczuł, że coś jest nie w porządku. Życie w stolicy, gdzie nocą na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, gdzie wraz z ciemnością wracały prawa zemsty, a najemni mordercy zorganizowani byli w cechu, równie legalnym i szacownym jak cechy jubilerów i astrologów, nauczyło go ostrożności. Naturalnie jako agent Floty Kosmicznej nie należał do żadnego klanu i prawa zemsty się na niego nie rozciągały, ale w ciemności mogło dojść do nieporozumienia.

Czy to czarny cień przemknął za żywopłotem, czy też w powietrzu zawisła martwa cisza — w

każdym razie Andrew poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz.

Nieoczekiwanie dla samego siebie zrobił szybki krok do przodu, podstawił nogę Witasowi, popchnął go i upadł wraz z nim na ziemię, na twarde bruk ulicy.

Witas był młodszy i lepiej wytrenowany, ale nie zdążył zamortyzować upadku i porządnie się potłukł.

— Do diabła! — zerwał się, odtrąciwszy Andrewa. — Oszalałeś?!

— Przepraszam — mruknął Andrew, podnosząc się ciężko z ziemi. Rozbił sobie boleśnie łokieć.

Witas nic nie usłyszał, Andrew zaś tak, bo uważnie nadstawiał ucha. Chwilę przedtem za żywopłotem zabrzmiały ludzkie kroki, miękkie kocie kroki człowieka obutego w grube kapcie z wełnianej dzianiny, wizgnęła w powietrzu cienka strzałka, rozbiła się z cichym trzaskiem o szybkę samochodu i niemal bezszelestnie osunęła na bruk.

— Andrew, czy możesz mi wyjaśnić...

— Poczekaj! — powiedział Bruce.

Wyciągnął z kieszeni latarkę i poświecił w stronę samochodu. Świecenie za żywopłot nie miało sensu, bo w rozciągającym się tam głębokim mroku z pewnością już nikogo nie było.

Strzałka leżała obok samochodu. Jej ostrze rozbiło się o szybę, po której spływała strużka jadu, żółtego i gęstego jak miód. Strzałka wyglądała zupełnie nieszkodliwie — ot, cieniutki patyczek. Andrew podniósł go. Witas bacznie tę scenę obserwował. Był człowiekiem obdarzonym wyobraźnią i gdy tylko pojął, że dziwne zachowanie Andrew ma sens, natychmiast zamilkł. Cekał na wyjaśnienia.

Bruce oświetlił strzałkę. Każda strzałka ma na drzewcu znak identyfikacyjny. Taki pocisk wystrzelony z dmuchawki jest popularną bronią do załatwiania porachunków w sekretnych wojnach i przy śmiertelnej zemście. Prawa honoru stanowią, że nie wolno tego znaku usuwać. Nawet gildia najemnych morderców ma swoją cechę.

Ale na tej strzałce cecha została zatarta. To znaczy, że zamach nie miał związku z krwawą zemstą i nie dotyczył sprawy honorowej.

— Chodźmy — powiedział Andrew.

Dotarli do kolumn. Stali tam goryle Pruga i strażnik miejski, który rzecz jasna niczego nie zauważył.

Przy świetle pochodni Andrew spostrzegł, że jego mundur mocno się ubrudził. Galowy strój Witasa też ucierpiał.

— Drobiazg — powiedział. Zaraz znajdzie się na to rada.

Uniósł rękę i na ten znak natychmiast podbiegł do nich jeden ze służących, który wyciągnął z wiszącej na plecach skrzynki wilgotne szczotki. Szczotki znakomicie wchłaniały rdzawy kurz. Obok, z pomocą innego służącego, doprowadzały do porządku swe szaty dwie arystokratyczne damy.

— Nie wiem, kto strzelał szepnął Andrew do Witasa. — Nie wiem nawet, do którego z nas strzelano. I zupełnie nie pojmuję dlaczego...

— Masz znakomity refleks. Ja niczego nie zauważyłem.

Weszli do westybulu, do którego prowadziły szerokie, choć dość strome schody.

Westybul był okrągłą salą zajmującą całą pierwszą kondygnację bani. Do górnych pomieszczeń wiodły dwa ciągi kręconych schodów. Tam, mi drugim piętrze, przygotowano poczęstunek.

Pośrodku westybulu, na tronie i rzeźbionym oparciu zasiadał Prug Drugi, następca witora Brendyjskiego, szacowny banita. Jego ciężkie, gąbczaste ciało wylewało się z siedziska, zwisało na boki. Głowę następcy zdobił trzy rogi kołpak, symbolizujący trzy najwyższe góry znajdujące się we władaniu dynastii brendyjskiej, a korpus spowity był w kilka różnobarwnych płaszczy, przez co

dostojnik przypominał niemowlę obleczone w kilka koszulek. Każdy płaszcz oznaczał zwierzchność nad jakimś klanem. Podobieństwo do oseska potęgowało jeszcze to, że obnażone nogi Pruga Drugiego obute były w złociste paputki.

Za plecami następcy stało dwóch goryli z rytualnymi podwójnymi włóczniami w rękach.

Goście podchodzili do gospodarza domu i pytali o zdrowie.

Andrew z Witasem ustawili się w kolejce.

Przed nim stał minister Wiedzy ze swymi obiema żonami. Ale zanim goście nie przywitani się z gospodarzem, etykieta nie pozwalała gościom, choćby to byli najbliżsi przyjaciele, nawet rozpoznawać się nawzajem.

Andrew rozejrzał się szukając Olsena. Dojrzał go pod ścianą pogrążonego w rozmowie z WaraJu. Helena Kazimirowna na przyjęciu się nie zjawiła. Nie znosiła poddawać się dworskiej etykiecie.

Barwny tłum krążący powoli wokół centrum, którym był tron nie wypadało stać w miejscu — zasłonił rozmawiających przed wzrokiem Andrew. Andrew dotknął kieszeni, do której schował strzałkę.

— Nie oczekiwałem takiego szczęścia! — wykrzyknął z nadmierną emfazą, jak wypadało, Prug Drugi. — Władcy niebiańskich statków raczyli zaszczyścić naszą skromną chatę!

Andrew odniósł wrażenie, że tłuscioch czegoś się boi. Jego szczurze ślepka zezowały, uciekały przed spojrzeniem rozmówcy, a grube paluchy drżały. Liczne pierścienie rzucały migotliwe błyski.

— Jak drogocenne zdrowie? — zapytał Andrew.

— Pokornie zbliżam się do końca mojej żalostnej drogi odparł zgodnie z wymogami etykiety Prug Drugi.

— Żywię niepłonną nadzieję, że śmierć nie przyjdzie po Waszą Dostojność w najbliższym stuleciu — odpowiedział jak należało Andrew.

— Zaś moją jedyną nadzieją jest ujrzeć pana na moim pogrzebie — zareplikował góral.

— Nie dopuszczam do siebie takiej myśli wyznał Andrew. — Wcześniejsza śmierć jest moim najskrytszym pragnieniem.

Pochwycił wreszcie wzrok następcy tronu brendyjskiego.

Nieprzejrzyste źrenice wbiły się w jego twarz.

„To nie może być przypadek — pomyślał Andrew. — Nas nie sposób z nikim pomylić, bo nikt poza nami nie nosi tu mundurów Floty Kosmicznej. Oczekiwano tu na nas. Przed samym domem. W najodpowiedniejszym momencie”.

Naturalnie istniała druga wersja. Któryś z krewnych PetriA domyślił się, zauważył, przekalkulował. I stara się ratować zagrożony honor rodziny. Ale nawet brat-walkoń nie upadłby tak nisko, żeby usuwać cechę ze strzałki. „A może. Andrew, dorobiłeś się wroga — powiedział sobie agent Floty Kosmicznej — wcale się tego nie domyślając?”

W tym czasie Witas odpowiadał na liczne pytania. Z szacunku dla rzadkiego gościa Prug Drugi mówił w lincosie. Następcy tronu brendyjskiego nikt nie mógłby odmówić rzadkich w tym świecie talentów i wyjątkowego wykształcenia. Chociaż, jak Andrew dobrze wiedział, tłuscioch nigdy nie opuszczał Pe-U.

Doczekawszy się, aż Witas będzie wolny, Andrew poprowadził go wokół sali tak, żeby dotrzeć do Olsena i WaraJu. WaraJu, jedyny w tym papuzim tłumie, pozwolił sobie przyjść w codziennym mundurze. Gdyby zrobiłby to ktoś inny, uznano by to za śmiertelną obrazę dla domu. Ale WaraJu dawał w ten sposób do zrozumienia, że cały czas jest na służbie i że jeśli nawet obraża w ten sposób gospodarza domu, to jednak nie daje mu do tego formalnego powodu. Arystokratyczne damy szeptały, salonowe lwy marszczyły czoła z dezaprobatą, ale władza tego szczupłego, cichego

i bardzo spokojnego człowieka, choć nie rzucała się w oczy, była jednak tak silna, że wokół niego tworzyła się zawsze pusta przestrzeń. Andrew wiedział, że WaraJu nie pochodzi ze szlacheckiego rodu i że tylko dzięki swemu uporowi potrafił zamienić straż miejską w realną, tylko jemu posłuszną siłę.

Kłaniając się z daleka Olsenowi i policjantowi piloci podeszli do nich. Byli ośrodkiem zainteresowania całej sali.

— Są nowe informacje — powiedział WaraJu. — Nasz donosiciel rozmawiał z włóczęgą, który widział, jak wczoraj wieczorem przy Dalekiej Przystani zatrzymała się platforma. Wyciągnięto z niej ciało zawinięte w tkaninę i rzucono je z pirsu do wody. Tam jest głęboko, a na dnie leży mnóstwo pni drzew. Teraz penetrują je moi nurkowie.

— Dlaczego pan sądzi, że to ma jakiś związek z archeologiem? zapytał Olsen.

— Obecnie nie toczy się żadna wojna między klanowa, a rabusie nie używają samochodu do przewozu ciał i nie posługują się strzałkami

— Czym?

— Zatrutymi strzałkami. To nie jest broń rabsiów. A w dodatku strzałka, którą znaleźliśmy na pirsie, była dziwna...

— Wycięto z niej cechę — powiedział nieoczekiwanie Andrew.

WaraJu zatrzymał się. Wpadł na niego kuzyn premiera. W tłumie zaszumiało. Prug Brendyjski gwałtownie się obrócił.

— Proszę mi wybaczyć — zwrócił się do kuzyna premiera WaraJu. — Niedopuszczalnie się zamyśliłem.

Przez chwilę szli dalej w milczeniu. Może po minucie policjant zapytał cichym, pełnym napięcia głosem:

— Dlaczego mówił pan o strzałce z zatartą cechą?

— Dlatego, że taka sama anonimowa strzałka leży teraz w mojej kieszeni. Strzelano do nas. Tutaj, obok domu następcy.

Ostrożnie, ukrywając swój ruch przed wzrokiem ciekawych wyjął z kieszeni strzałkę i wsunął ją do wyciągniętej dłoni szefa straży. Strzałka znikła. Nawet Olsen niczego nie zauważył.

— Dlaczego nie trafili? — zapytał WaraJu w zadumie.

Jego pytanie było uzasadnione. Wojownicy strzelali z dmuchawek bez pudła. Uczyli się przecież tej sztuki od dziecka.

— Coś poczułem — powiedział Andrew — i upadłem.

WaraJu skinął głową. Wierzył w intuicję.

\* \* \*

Prug podniósł się z tronu. Miętko, ale dźwięcznie klasnął w dłonie.

— Moi słudzy i żony — oświadczył — przygotowali niegodny tak znakomitych gości poczęstunek. Szkodzi mi nadmierne jedzenie, więc błagam, abyście ulitowali się nade mną i podzielili moją kolację.

W sali od razu zaszumiało. Wielu przyszło tu tylko z łakomstwa, Dom następcy tronu brendyjskiego słynął z egzotycznych potraw.

Goście rozstąpili się, przepuszczając pana domu.

Prug uczynił gwałtowny ruch i spod licznych płaszczy błysnęła kolczuga. Nieprawdopodobne — gospodarz przyjęcia w kolczudze! Andrew zerknął na WaraJu. Policjant patrzył na następcę i też musiał zauważyć błysk.

Pojawienie się znakomitego emigranta sprawiło straży miejskiej wiele kłopotów. Przybysze z



górz przynieśli do miasta gorączkę klanowych waśni, od których przez ostatnie lata zdołano się w stolicy już niemal odzwyczaić.

W dodatku Pruga nie sposób było izolować. Należał do jednej z najbardziej znanych rodzin planety, pochodził z rasy gigantów, którzy w niepamiętnych czasach przylecieli z Ar–A. Był krewnym naczelnego kapłana bogini UrO. Trzeba go było znosić i czekać, aż padnie ofiarą kolejnego spisku lub zawładnie tronem i ruszy wojować w górskie doliny.

Goście wstępowali na schody, które wijąc się wzdłuż ścian prowadziły na górne piętro, gdzie czekał na nich niski stół w kształcie pierścienia.

Na spotkanie gości wyruszył tłum służących, którzy prowadzili ich na miejsce.

Andrew widział jak Prug szybkimi gestami dyrygenta popędzał służących.

Posadzono go z dala od innych Ziemian. Z jakiegoś względu musiało to być dla następcy tronu wygodne. Witas także znalazł się w otoczeniu obcych ludzi.

Wewnątrz kręgu stołu ulokowali się muzycy i tancerze. Tancerze przebierali się, muzycy stroili instrumenty.

Jedna z tancerek podeszła do stołu i wzięła błękitnawe szerszeńskie jabłko. To była bardzo znana artystka, Andrew widział ją na dziesiątkach przyjęć. Uśmiechnęła się do niego.

Chrupiąc jabłko, tancerka zapytała Andrew, kim jest ten przystojny oficer. Miała na myśli Witasa. Andrew powiedział jej, że ten przystojny oficer za dwa dni odlatuje. Tancerka uświadomiła go, że dwa dni wystarczą dla miłości.

Prug siedział naprzeciw Andrew. Jego krzesło było wyższe od reszty i dlatego następca tronu brendyjskiego wydawał się gigantem. W oczekiwaniu na ostateczne rozlokowanie gości czyścił sobie paznokcie srebrnym sztylcikiem. Lekko przechylił głowę, bo tancerka zasłaniała mu agenta Floty Kosmicznej. Uśmiechał się do Andrew, kiwając głową jak porcelanowa figurka Chińczyka. „Ciekawe — myślał Andrew — kto chciał mnie zamordować?” Nie bał się, postanowił tylko na przyszłość bardziej na siebie uważać. „Może to izolacjoniści ruszyli do działania? Ale co usunięcie takiego pionka może zmienić? Jeden agent Floty Kosmicznej mniej, jeden więcej... Dla życia Galaktyki nie ma to żadnego znaczenia. Nie można uciec od własnej przyszłości, ale można spróbować ją przewidzieć. Strzałka z usuniętą cechą wskazywała na jedną z wersji — politykę. Polityka doskonale obchodzi się bez klanów. Na pewnym poziomie polityka jest amoralna. Usunięcie cechy jest amoralne, a zatem strzałka jest orężem walki politycznej. Szkoda, że obok nie ma WaraJu. On potrafiłby docenić ten sylogizm”.

Słudzy wnieśli zawieszoną polewkę z dziczyzny. Wszyscy przecież wiedzieli, że najlepszą polewkę z dziczyzny można zjeść tylko w domu następcy tronu brendyjskiego.

Na stole pojawiły się kadzielnice z wonnymi ziołami. Niektórzy goście zaczęli się do nich przysuwać. Głosy zabrzmiały donośniej.

Polewka była — jak zawsze! — wspaniała, ale od zapachu kadzidła Andrew mdliło. Miał dziwne uczucie chwiejności, a chwiejności organicznie nie znosił.

Tancerka zaczęła powoli wirować w rytm bębenków.

Wirowała coraz szybciej i szybciej.

WaraJu siedział z kamienną twarzą. Widać było, że czeka, aż będzie mógł odejść. Jego ludzie przeszukują teraz jezioro. W świetle lamp naftowych woda jest czarna i tłusta.

Tancerka zakończyła popis i zatrzymała się, rozkładając ręce. Przeguby rąk drżały, dźwięczały dzwoneczki bransolet, coraz ciszej dudniły bębny.

Prug patrzył na Olsena i WaraJu, którzy wstali ze swoich miejsc. To było pogwałcenie dobrych obyczajów. Nikt nie miał prawa wstać od stołu przed gospodarzem, ale Prug zignorował nietakt ponieważ uznał, że obaj są na służbie i dlatego etykieta ich nie obowiązuje. W ten sposób ratował twarz. Zresztą trudno dowódcę straży miejskiej uznać za zwykłego śmiertelnika...

Olsen domjślił się, o co chodzi i okrążywszy stoi zbliżył się do gospodarza, w najbardziej wyszukanych słowach błagając o wybaczenie i tłumacząc się nagłym atakiem bólów żołądka... Wszystko zatem odbyło się jak należy i Prug uśmiechnął się szeroko, życząc konsulowi szybkiego powrotu do zdrowia. Nie zapomniał przy tym, zgodnie z etykietą, zaprosić go na własny pogrzeb. Potem wziął ze stołu kawałek pieroga i podał Olsenowi. Jeżeli gościowi w czasie uczy przytrafi się jakieś nieszczęście i musi opuścić przyjęcie, obowiązkiem gospodarza jest zaopatrzyć go w symboliczną żywność na drogę.

Andrew natychmiast zrozumiał, że jedyną przyczyną, która mogła zmusić Olsena do wstania od stołu, była sprawa archeologa. To znaczy, że go odnaleźli. Albo znaleźli jego ciało.

Oczywiście w owej chwili ani on, ani Olsen nie wiedzieli, że kiedy w świetle pochodni konsul pochylił się nad ciałem człowieka ubranego w czarny frak i złote buty, ujrzy nie doczesne szczątki Focjusza van Kuuna, lecz zupełnie mu nie znanego mieszkańca Pe-U.

Do tego momentu upłyne jednak wiele czasu, bo po drodze zepsuje się samochód WaraJu, a potem ulica wiodąca od przystani okaże się zatarasowana wielkim wozem wyładowanym workami ziarna... Kiedy Olsen wróci wreszcie głęboką nocą, będzie już za późno.

Służący roznosili półmiski ze słodkimi owocami, Andrew zaś myślał o tym, że archeologa zabito taką samą strzałką, jaka była przeznaczona dla niego. Nagle poczuł czyjś wzrok. Jakby go ktoś postukał palcem w plecy. To była właśnie intuicja.

Obejrzał się.

Za nim stał jeden z wojowników Pruga, potężny żółtowołosy mężczyzna o wąskich, przenikliwych oczach. Na koleczku miał narzuconą tunikę w kolorach Związku Brendyjskiego, za jego szerokim pasem tkwiły trzy noże. Bez słowa wpatrywał się w Andrew.

— Jakie jest twoje imię, mężny wojowniku? — zapytał Andrew. Znał skądś tę twarz.

— DrokU, panie — odparł wojownik. Co pan rozkaże, szlachetny panie z gwiazd?

— Już cię gdzieś widziałem.

— Stoję zawsze po prawicy wielkiego władcy Pruga. — Wojownik nie odrywał od niego wzroku.

Andrew zmuszał się do przetykania słodkich owoców.

Przed gośćmi popisywali się teraz żonglerzy z pomalowanymi w kolorowe pasy twarzami. Tancerka siedziała pośrodku kręgu wdychając kadzidło.

Witas nie jadł, przypatrywał się żonglerom. Był napięty.

Następca tronu brendyjskiego podniósł się ze swego miejsca i poprosił gości, żeby jedli, pili i rozkoszowali się życiem, po czym udał się na górne piętro domu. Takie postępowanie było dopuszczalne i można je było przewidzieć. Gospodarz po prostu dawał gościom czas na to, aby mogli poplotkować bez obawy, że go obrażą. Nastąpiły Minuty Złych Języków.

Sługa dotknął ramienia Andrew:

— Telefon do pana, gościu z gwiazd!

Andrew natychmiast podniósł się z za stołu. Kto tu mógł dzwonić? Wątpliwe, aby PetriA... Najprawdopodobniej Olsen.

Służący szedł przodem. Zeszli po schodach do wystybulu, a potem następne schody zaprowadziły ich do podstawy dyni, do suterenu.

Panował tam półmrok. Bogato inkrustowana słuchawka leżała na stole obok aparatu telefonicznego przypominającego maszynę do szycia. Andrew uniósł ją do ucha.

W słuchawce grał świerszczyk — linia była rozłączona.

— Nie doczekali się? — zainteresował się służący.

— Skąd był telefon? — zapytał Andrew.

— Nie wiem, władco nieba.

Andrew nie wiedział, co robić. Czekać, aż jeszcze raz zadzwonią, czy iść na górę? W mózgu coraz głośniejszy dźwięczał sygnał alarmowy: uwaga, Andrew, niebezpieczeństwo!

Błyskawicznie się odwrócił.

W suterenie kłębiło się mnóstwo ludzi, ale trudno ich było rozróżnić w półmroku. Ktoś spał na podłodze, inni rozsiedli się wzdłuż półokrągłej ściany, inni wreszcie łazili bez celu. W każdym patriarchalnym domu zawsze jest cała masa służby, krewnych, klientów. Andrew znalazł się w centrum zainteresowania. Dobrze, że nie jestem tu sam, chociaż świadkowie i tak by się nie znaleźli.

Szybko wyciągnął z kieszeni złotą kulkę. Wyglądało na to, że służący nie był góralem. Pewnie wypożyczyli go z restauracji. Tak się robi, gdy w domu ma być wielu gości, a osobiści poddani uważają posługiwanie przy stole za rzecz poniżej własnej godności.

— Kto dzwonił? — wyszeptał Andrew tak cicho, że nikt poza sługą nie mógł go usłyszeć.

Sługa przesunął ręką po jego dłoni i moneta znikła.

— Kobieta — powiedział samymi wargami. — Młoda kobieta. Była bardzo zdenerwowana.

Odwrócił się i odszedł.

Andrew zdjął słuchawkę i zaczął kręcić korbką.

Miękka, wypielegnowana, ale ciężka dłoń oparła się o widełki.

— W chwilach radości — powiedział następca witoru Brendyjskiego — nie wolno się niczym zajmować! Proszę nie zapominać o dobrych obyczajach.

Uśmiechnął się, ale oczy miał mętne i szalone. Nawdychał się kadzidła, jego kaftaniki porozpinały się, ukazując połyskującą w półmroku kolczugę.

— Musisz zostać z nami do końca — powiedział Prug Drugi. — Tancerki czekają na ciebie na górnym piętrze, władco nieba.

— Gość honorowego domu może nie obawiać się pogroźek odparł Andrew.

Prug zasłonił sobą telefon.

— Andrew, jesteś tu? — na schodach stał Witas Jakubauskas. Flota Kosmiczna nie opuszcza przyjaciół w potrzebie.

— Wychodzimy — powiedział Andrew. — Na nas już czas, bo w domu czekają chorzy.

— Nie możemy was wypuścić, goście — oznajmił Prug. — Święto się jeszcze nie skończyło.

Andrew zrozumiał, że teraz może już zlekceważyć etykietę i nieoczekiwanie dla Pruga rzucił się ku schodom. Był przekonany, że Prug zrobi wszystko, żeby nie wyszli z domu. Był przy tym prawie pewien, że dzwoniła PetriA.

Zdążył przebiec połowę schodów, nim następca tronu brendyjskiego krzyknął:

— Zatrzymać go!

Ludzie podpierający ściany ruszyli. Ktoś podbiegł do schodów. Płacząc się w kaftanach, Prug zaczął wyciągać nóż do rzucania.

— Z drogi! — ryczał.

Ale Andrew i Witas byli już w rzęście oświetlonym i pełnym gości westybulu.

\* \* \*

Przebiegli między kamiennymi kolumnami. Dalej panowała ciemność. Zanurkowali w nią jak w wodę i Andrew pociągnął Witasa w bok, jak najdalej od żywoplotu.

Po dwóch minutach byli już przy furgonetce.

Nikt ich nie gonił. W cichym nocnym powietrzu niosły się tylko ożywione głosy podchmielonych gości.

Furgonetka stała lekko przechylona. Andrew zapalił latarkę.

Prawe przednie koło było zerwane z osi. Żelazny łom, którym posłużył się nieznany sprawca leżał na jezdni. Komuś bardzo zależało na tym, żeby Andrew nie odjechał.

Natychmiast wyłączył latarkę, która mogła zwabić groźne nocne ćmy i cofnął się w ciemność.

Prowadził Witasa okrężną drogą przez wąskie, nieoświetlone zaułki, bo zasadzka musiała być na najkrótszej trasie. Dobrze mu się odplaciło zamiłowanie do samotnych spacerów. Przez ostatnie miesiące dokładnie zwiedził centrum miasta i wąskie uliczki płaskowyzu, na którym rozsiadła się spokojna dzielnica mieszkaniowa.

Po jakichś dziesięciu minutach zatrzymali się, żeby odpocząć. Stali na oświetlonym rogu ulicy Pomyślnych Rządów. Naprzeciwko ciepłym światłem lśniła witryna niewielkiej palarni. Tam na pewno był telefon.

W palarni było pusto, tylko na kanapkach w głębi drzemali zapóźnieni klienci. Andrew podszedł do kontuaru, a Witas pozostał przy drzwiach. Bruce położył monetę na drewnianej tacy między niezapalonymi kadzielnicami i poprosił właściciela o zgodę na skorzystanie z telefonu.

Gospodarz długo oglądał monetę, jakby powątpiewał w jej autentyczność, a potem zapytał, skąd goście przybyli i jak się czują. Andrew zrozumiał, że swoim pośpiechem pogwałcił etykietę i że należy przywrócić poprawne stosunki.

— Proszę wybaczyć — powiedział — ale moja córka jest chora i tylko dlatego pozwoliłem sobie na taki gruby nietakt.

— Rozumiem i współczuję — westchnął z ulgą gospodarz. Zdjął skórzany fartuch i wprowadził Andrew za kontuar, gdzie stał telefon.

Andrew zadzwonił do Agencji. Telefon długo brzęczał. Nikt nie podnosił słuchawki. Może to fałszywy, alarm? Może PetriA telefonowała z domu? Rzucił słuchawkę.

— Dziękuję.

Pobiegł do wyjścia.

Następnego dnia właściciel palarni długo będzie opowiadał znajomym jakimi okropnymi narwańcami są ci przybysze z gwiazd!

\* \* \*

W Agencji paliło się światło, którego odbłask padał na krągłe boki dyni, przez co dom wyglądał jak grzyb na świetlistej nóżce. W witrynie na cieniutkich żyłkach wisiał model liniowca na tle planszy wyobrażającej gwieździste niebo.

Andrew szarpnął drzwi. Były otwarte.

W sali dla klientów było pusto.

— PetriA! — zawołał. Zawołał cicho, jakby się bał przestraszyć dziewczynę.

— Poszła — powiedział, jakby chciał sam siebie uspokoić. Wiedział już, że musi zrobić dwa kroki i wejść za wysoką barierkę, gdzie stało jego biurko z telefonem.

Witas zrozumiał, że lęk nie pozwala Andrew na zrobienie tych dwóch ostatnich kroków, podszedł więc sam do przepierzenia, otworzył wąskie drewniane drzwiczki i ruszył do przodu. Andrew widział, jak pochylił się, zobaczywszy coś na podłodze.

Wiedział, że jest tchórzem. I rozumiał, że każdy człowiek we Flocie Kosmicznej doskonale wie, że jest tchórzem. Za to właśnie skreślono go z listy personelu latającego.

Głowa Witasa zniknęła za wysoką barierką. Andrew słyszał, jak Jakubauskas odsuwa fotel.

— Chodź tu — powiedział Witas.

Andrew posłusznie wszedł za przepierzenie.

PetriA leżała na podłodze obok biurka, zwinięta w kłębek jak dziecko, które nie wiadomo czemu postanowiło przespać się w tak niewygodnym miejscu.

Witas ostrożnie uniósł jej głowę. Błękitna peruka zsunęła się z czarnych włosów, jakby nie chciała już służyć swojej martwej właścicielce.

Andrew stał z opuszczonymi rękami, patrzył na ciemną plamę na piersi dziewczyny i błagał w duchu Witasa, żeby powiedział, iż PetriA żyje, że tylko straciła przytomność.

— Umarła — powiedział Witas.

— Nie! — Andrew doskonale wiedział, że umarła, wiedział już to od momentu, gdy pchnął otwarte drzwi Agencji. — Telefonowała, prosiła, żebyśmy przyjechali. Tyle czasu minęło, a my nie przyjeżdżaliśmy...

Witas delikatnie, jakby obawiał się zbudzić dziewczynę, położył jej głowę na podłodze. Miękkie włosy rozsypały się po płytkach posadzki. Witas wstał, podszedł do biurka, sięgnął do maszyny do pisania.

Jego ruch zdziwił Andrew. Patrzył tępo, jak Witas usiłuje wyciągnąć z maszyny dolną część kartki, niechlujnie oderwaną od reszty.

Na poszarpanym brzegu widniało słowo „Szkwał?”.

— Popatrz. Pisała, kiedy przyszli — powiedział Witas.

— Przyszli?

— Kogo trzeba zawiadomić? Jest tu jakaś policja?

— Nie, straż. Ale nie możemy jej zawiadomić. Do tego mają prawo jedynie członkowie rodziny. Inaczej to dyshonor.

— Ty wiesz lepiej.

Zadzwoń do jej brata. To malarz — dodał niepotrzebnie.

Witas nic nie odpowiedział. Przykucnął za biurkiem, gdzie leżał przewrócony fotel. Powoli przesuwając się wzdłuż ściany badając podłogę.

Andrew podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z domem PetriA.

Do telefonu podszedł jej ojciec. Andrew przeprosił, że niepokoi go o tak późnej porze i powiedział, że musi porozmawiać z bratem dziewczyny. Bał się powiedzieć starcowi, co się stało. Starszy pan zdziwił się i zapytał, co tak długo zatrzymuje jego córkę. „Proszę wybaczyć — powiedział Andrew — co było bardzo niegrzeczne — ale spieszę się”. Stary poszedł po syna. Andrew czekał, aż ten podejdzie do telefonu i patrzył na PetriA. Miała takie miękkie włosy. Zawsze były ciepłe i pachniały górskimi ziołami. Myła je w naparze z ziół...

Głos Kam PetriU był senny i rozdrażniony. Z całej tej arystokratycznej rodziny krzywo patrzącej na to, że bogata następczyni zajmuje się tak nieodpowiednimi dla panienki z dobrego domu sprawami, on był wobec Andrew najlojalniejszy. Sam chciał polecieć do Centrum Galaktycznego.

— Witaj — powiedział Andrew. — PetriA przydarzyło się nieszczęście. Nie powiedziałem o tym twojemu ojcu. Czy możesz zaraz przyjechać do Agencji?

— Już jadę — PetriU na szczęście nie zadawał żadnych pytań. Odłożywszy słuchawkę Andrew ukląkł obok PetriA i wziął ją za rękę.

Usiłował wyczuć puls.

— A tam co jest? — usłyszał głos Witasa, który stał przed zamkniętymi drzwiami.

— Mój gabinet. Zamknięty.

Witas pchnął drzwi. Otworzyły się.

— Wyłamany zamek — powiedział.

Wewnątrz paliło się światło. Andrew nie podnosząc się z klęczek zobaczył, że szafa stojąca naprzeciw drzwi jest otwarta i pusta. Nie od razu uświadomił sobie, co w niej trzymał. Potem przypomniał sobie i zdziwił się: w szafie wisiał jego codzienny mundur.

— Co było w szafie? — zapytał! Witas.

— Nic ciekawego. Mundur.

— Kogoś jednak musiał zainteresować. Zawartość wyłamanej szuflady biurka też. Co było w biurku?

— Nic ciekawego — powtórzył Andrew obojętnie. To wszystko nie mogło mieć z nim żadnego związku. Z PetriA też nie.

Drzwi wejściowe otworzyły się i wbiegł brat PetriA.

Wpadł piersią na barierkę, jak na płotek, który zamierzał przeskoczyć, ale w ostatnim momencie zrezygnował. Wspiął się na palce i zobaczył PetriA.

— Kto to zrobił? Ty?!

— Nie wiem — Andrew ostrożnie opuścił rękę dziewczyny i wstał. Nie wiedział co ma PetriU powiedzieć.

— Dlaczego ona tu leży? Dlaczego?

Wbiegł za przepierzenie, choć Witas usiłował go zatrzymać.

— Nie wolno niczego ruszać — powiedział. — Przyjedzie policja i znajdzie tego, kto to zrobił.

— Nas tu nie było — odezwał się Andrew.

Kam PetriU wziął siostrę na ręce i zaniósł do gabinetu. Położył ją na kanapie.

I od razu się uspokoił.

„Trup nie powinien leżeć na ziemi — przypomniał sobie Andrew — bo wówczas wchodzą w niego złe duchy”.

— My nie mamy honorowych wrogów — oświadczył brat dziewczyny. — Nikt nie mógł chcieć jej krwi oprócz twoich wrogów! — zakończył groźnie.

— Ja nie mogę mieć honorowych wrogów — powiedział Andrew. — Wiesz o tym. Jestem tu obcy i nie mam nawet własnego klanu.

Krótką tunikę Kam PetriU była ściągnięta szerokim pasem, za którym tkwił podwójny nóż. Rozmawiając, brat zamordowanej ścisnął jego rękę. Był niezłym chłopakiem, tyle że leniem i szalapatem. Rysował obrazki do gazety, udawał, że jest cholernie nowoczesny i gotów był bodaj jutro lecieć do Centrum Galaktycznego, gdzie wreszcie docenią jego talenty. Nieszkodliwy smarkacz. Ale teraz nie myślał o Centrum . Galaktycznym i pewnie nawet zapomniał o jego istnieniu. Nie tyle był wstrząśnięty śmiercią siostry, ile jej okolicznościami. W jego świecie gwałtowna śmierć nie była niczym nadzwyczajnym, ale zawsze musiała mieć jakieś przyczyny.

— Dlaczego napisała „Szkwał”? — zapytał Witas.

— Nie wiem.

— Możesz zadzwonić do dyspozytorni?

Andrew zdjął słuchawkę telefonu. Milczała.

— DreJu — powiedział Kam PetriU. — Moją siostrę zabili. Nożem w plecy. Jak ślimaki, które żądlą nocą. Jej krew jest moją krwią! — lzy ciekły mu po policzkach. Na Pe-U mężczyźni nie ukrywają swoich uczuć. Powściągliwość jest obowiązkiem kobiety.

— Jej krew jest moją krwią! — powtórzył jak echo Andrew, unosząc prawą rękę z dłonią skierowaną do przodu w geście śmiertelnej przysięgi, po czym ruszył do gabinetu, odsuwając młodzieńca z drogi. Ten pokornie się cofnął.

Andrew stanął przy kanapie. PetriA leżała z głową lekko przechyloną na ramię. Jej ręka zwisała bezwładnie, dotykając smukłymi palcami podłogi.

Nie miało sensu tak stać. Trzeba było coś zrobić. Napisała „Szkwał”... Trzeba zatem jechać na kosmodrom.

Andrew był zupełnie sam. Znowu zupełnie sam. Jak człowiek, który leci w ciemną pustkę Kosmosu, aby w czasie tego lotu nie zobaczyć niczego oprócz pustki.

Usłyszał własny głos i zdumiał się, że jest taki ochryply.

— Twoja krew jest moją krwią! — powiedział uroczystym tonem. To było bardzo stare zaklęcie. Wygłaszając je, brał zemstę na siebie jako człowiek najbliższy. Jako człowiek, który ma prawo do monopolu zemsty.

Człowiek bardzo ucywilizowany i spokojny, reprezentant galaktycznego lotnictwa cywilnego na Pe-U oświadczył swoją wolę zemsty. To było niesłychane. Gdyby Andrew usłyszał coś takiego jeszcze wczoraj, po prostu by się roześmiał.

— Kam PetriU, wezwij strażników i wszystko im opowiedz. My jedziemy na kosmodrom. Naszemu statkowi może grozić niebezpieczeństwo. Weźmiemy twój samochód. Powiedział to jak człowiek, który ma prawo decydować.

— Zrobię wszystko, co trzeba — odparł Kam PetnU.

Witas nie zrozumiał ani słowa z tej rozmowy prowadzonej w języku Pe-U. Nie zrozumiał też niczego ze sceny, która się uprzednio przed nim rozegrała, bo przecież nie miał najmniejszego pojęcia o prawie zemsty.

Andrew pochylił się i pocałował PetriA w skroń. Skóra zachowała jeszcze ślady ciepła.

\* \* \*

Samochodzik Kam PetriU toczył się powoli. Jego silnik parowy wzdychał, sapał i parskał, coś w nim zgrzytało i trzaskało, i Witas, który nie wiedział, że takie toczydełko jest wcale solidne obawiał się, że nie dotrą nim na miejsce. Dziwne, ale przez całą drogę rozmawiali wyłącznie o takich pojazdach. Być może dlatego, że Andrew łatwiej było mówić o kotłach parowych niż o tym, co się stało.

Należało zadzwonić do Olsena, który znał Petri A i przyjaźnił się z nią, ale konsul przecież pojechał gdzieś z WaraJu.

Andrew czuł, że istnieje związek między zamachem pod domem Pruga i śmiercią PetriA, choć naturalnie nie miał żadnych podstaw do łączenia tych wydarzeń. Po prostu zbieżność w czasie i nic więcej...

— W takim tempie nie dojedziemy na kosmodrom do rana — zauważył Witas.

Z ciemności wypływały coraz rzadsze dynie domów. Omiotane światłami samochodu pojawiały się i zaraz znikwały w czerni nocy.

Samochód wpadł w kolejny wybój i wznicił tumany pyłu. Kiedy wydostali się z żółtej, oświetlonej reflektorami kurzawy, zabłysły przed nimi światła kosmodromu. Mdłe płomyki lamp awaryjnych i rozjarzona szklana klatka dyspozytorni na wieży...

Zewnętrzna brama kosmodromu była otwarta na oścież, strażnicy gdzieś znikli.

Andrew zahamował pod wieżą.

Wokół panowała głucha cisza. Hen, gdzieś daleko wyły lisy. Stado latających szczurów przemknęło nad głowami i skóra pokryła się gęsią skórką od ich niemal ultradźwiękowego pisku.

Witas o nic nie pytał i bez słowa szedł za Andrew.

Wbiegli po schodach.

Dyspozytornia była rześście oświetlona.

Dyżurny dyspozytor osunął się w fotelu na bok, głowę wsparł na pulpicie. Leżał nieruchomo.

Andrew uniósł mu powiekę, odszukał puls.

— Żyje.

Ranny cicho jęknął.

Witas podszedł do ekranu i włączył go.

Pojawił się obraz statku. Był ciemny i cichy. Witas powiększył obraz.

Luk statku był otwarty. Pochylnia opuszczona.

— Gdzie łączność? — zapytał zduszonym głosem.

Andrew wywołał statek. Bez skutku.

— Na mostku nie ma nikogo — powiedział.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Witas.

Andrew odwrócił się. W otwartej bramie kosmodromu błysnęły światła reflektorów.

Na plac wtoczył się wielki wóz bojowy. Z krótkich rur wydechowych waliła słupami para. Stalowy krągły łeb lśnił w świetle latarni. Wóz popęzł w kierunku statku.

— Ki diabeł?!

Andrew rzucił się do wyjścia. Witas za nim.

Wsiedli do samochodu. Kocioł parowy był rozgrzany, więc maszyna z miejsca ruszyła.

Zobaczyli, że wóz bojowy hamuje.

Na szczycie pochylni pojawiła się ludzka figurka.

— Kto to jest?! — wrzasnął Andrew, przekrzykując wycie pracującego na pełnych obrotach silnika.

Człowiek oświetlony reflektorem miał na sobie jasny mundur i okrągłą czapkę z lakierowanym daszkiem.

— Ty! — odkrzyknął Witas.

Człowiek rzadko kiedy ma okazję ujrzeć samego siebie z daleka, a w dodatku Andrew nie spodziewał się zobaczyć agenta Floty Kosmicznej witającego wóz bojowy. Ale Witas miał rację. Mężczyzna stojący w otwartym luku miał na sobie piaskowy mundur Andrew. Mundur, który znikł z gabinetu.

Włazy wozu bojowego otworzyły się. Wskoczyli z niego wojownicy w krótkich tunikach narzuconych na kolczugi. Uzbrojeni byli przeważnie we włócznie, ale niektórzy z nich mieli automaty...

Potem wyszedł tęgi mężczyzna również zakuty w zbroję.

Andrew rozpoznał w nim Pruga, delfina Brendyjskiego.

Prug obejrzał się, usłyszawszy stukot obcego silnika.

Krzyknął coś do wojowników i szybko pobiegł w stronę otwartego luku. Mężczyzna w mundurze Andrew Bruce'a pospieszył za nim. Wojownicy odskoczyli do tyłu, kryjąc się za wozem.

Krótkie działko dało ognia w stronę samochodziku. Nie biło zbyt celnie, ale z odległości pięćdziesięciu metrów musiało za którymś razem trafić. Andrew zrozumiał, że za parę minut zostanie z nich mokra plama. Widział na manewrach efekt wybuchu granatu wystrzelonego z takiego działka. Rzucił ostro samochodzik w bok, żeby wydostać się ze snopu światła rzucanego przez reflektory pancerni. Zawracając zauważył, jak z jej wjazdu skierowanego ku „Szkwałowi” wojownicy wywlekają jakiegoś człowieka, nagiego i bezwładnego.

Działko wystrzeliło. Kartacz buchnął płomieniem i świąteczny fajerwerk rozświetlił niebo.

Trzeba było ukryć się za gawilotem. To był jedyny ratunek. Wieżyczka wozu bojowego obracała się i Andrew wręcz namacalnie wyczuł, jak prowadzi ich szeroka gardziel lufy. Niezgrabny parowczyk też widać wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo, bo natychmiast usłyszał hamulca. Witas uderzył głową w przednią szybę.

— Przepraszam — powiedział Andrew.

Struga świetlistych iskier przeleciała przed samą maską samochodu.

Pół minuty na załadowanie działka.

Zrobiło się jasno jak w dzień. Światło padało z tyłu i nagle zniknęło, jakby zmiecione eksplozją. Andrew zrozumiał, że to wybuchła dyspozytornia.

Strzałki osuwały się po szybach samochodu, zostawiając na nich żółte ślady trucizny.



Reflektor wozu bojowego szperał po placu.

Pełną mocą rozjarzył się reflektor „Szkwału”. Ładowisko zrobiło się ciasne i maleńkie, ale zbawcza ściana grawilotu była tuż–tuż.

Nie zdążyli jej dopaść. Trafił ich ostatni strzał.

Uderzając w bok samochodu, granat wybuchł jasno i wesoło. Andrew wydało się, że oślepl. Zadźwięczało rozbite szkło. Zapiękła oparzona ręka. Andrew wczepił się w kierownicę, starając się utrzymać samochód, ale podmuch zarzucił ich i popchnął.

Potem nastąpiła nieoczekiwana cisza.

Andrew poczuł, że nie włada własnym ciałem. Minęła sekunda, zanim wygasły iskry w oczach i zanim zrozumiał, że zwałiło się na niego ciało Witas.

Parowczyk stał.

— Witas! — krzyknął Andrew. — Żyjesz?

Ani słowa. Trudno było oddychać. Granat podpalił karoserię samochodu.

Andrew udało się otworzyć drzwi. Wiedział, że dzieje się coś nierealnego, niemożliwego. Przecież jest agentem FK, zajmuje się przylotami, podejmowaniem gości, siedzi na cichej planecie, spokojnie pracuje... Nie ma wrogów. Zaraz wróci do domu i opowie swój obłądny sen PetriA, która czeka nań siedząc na kanapie w kącie pokoju.

Rozumiał również to, że Witas znalazł się na linii strzału. Wypadł z samochodu i pociągnął za sobą Witas. Miał mocno poparzoną rękę i na moment stracił przytomność z bólu, ale Witas nie porzucił, włókł go za sobą, wczepiwszy się w niego jak buldog. Znowu szarpnięcie bólu, kiedy ręka uderzyła o beton, a z góry zwałiło się na niego bezwładny Witas.

Dym był okropny i nic nie było widać poza płomieniami, które chciwie pożerały samochodzik. Andrew pełzał, a właściwie wydawało mu się, że pełźnie, żeby jak najszybciej ukryć się w zbawczym cieniu statku, gdzie nikt ich nie odnajdzie...

\* \* \*

Ocknął się na statku. W kabinie.

To było dziwne przebudzenie.

Wrażenie cudownego, dziecięcego szczęścia. Takiego szczęścia, kiedy człowiek nie ma żadnych trosk, pragnie jedynie jeszcze trochę poleżeć, a cały świat jest taki ciekawy. Budzi się, ale jeszcze nie czuje rzeczywistości świata. Andrew zrozumiał, że wrócił na swój statek. Zaraz brzęczy k wezwie go na wachtę...

Poruszył się, żeby odrzucić koc, ale już sam początek tego ruchu przywołał świadomość tego, co się stało i przegnał wszystkie słodkie iluzje...

Ręka, zabandażowana i ciężka, zupełnie go nie słuchała, a dzwonek alarmowy w mózgu zaczął bezlitośnie budzić komórkę za komórką. Obudziwszy się całkowicie Andrew zamarł, uświadamiając sobie skalę zagrożenia i ogrom własnego nieszczęścia.

Nie było dzieciństwa ani wachty. Była śmierć PetriA. Kosmodrom w nocy. Błyski granatów. Oślepiający wybuch parowczyka.

Spróbował podnieść się. Znieruchomiał. Starannie i prawie beznamiętnie przeglądał w mózgu taśmy z zapisem wydarzeń dnia wczorajszego, a może dawniejszymi... Ile czasu spędził bez przytomności? Gdzie jest? Na statku?

Statek leciał.

Żaden ruch, żaden dźwięk nie zdradzał tego, ale Andrew — przydaje się człowiekowi kosmiczne doświadczenie! — był pewien, że statek leci. Powiedziały mu o tym mikroskopijne wibracje i nieuchwytnie szумы niezauważalne dla laika, ale dla fachowca jednoznaczne.

To był statek grawitacyjny, na jakim jeszcze nigdy nie był. Na pewno grawitacyjny, bo nie słysząc było głębokiego, niemal bezdźwięcznego dudnienia silników plazmowych.

Znalazł się zatem na „Szkwałowi”.

Teraz są dwie możliwości. „Szkwałowi” udało się uciec, zaś ciężko rannego Andrew zabrano na pokład, aby jak najszybciej dostarczyć do Centrum. Albo Prug porwał statek i teraz Andrew jest jego jeńcem. Ktoś mu zabandażował rękę, a więc na pokładzie jest lekarz.

Następny krok musi być starannie przemyślany. Najpierw należy sprawdzić, jak dalece poważne są rany. Boli poparzona ręka... A co jeszcze.

Poruszył nogami.” W porządku.

Teraz prawa ręka. Prawa ręka odrzuciła koc i uniosła się. Popatrzył na nią jak na żywą istotę, zupełnie z nim nie związaną.

Usiadł na łóżku. Zakręciło mu się w głowie. Nogi wykonały nawykowy ruch — robiły tak przez wiele lat — żeby wsunąć się w kaptcie. Pięty uderzyły o podłogę. Andrew policzył w duchu do dwudziestu. Zawroty głowy minęły. Wstał. Ręka owinięta bandażem elastycznym opadła wzdłuż boku. Bolało. Ciekawe jak skończy się ta historia z napadem?... A Witas?

Właśnie lęk o Witasa zmusił go do pozbierania myśli.

Doczłapał do guzika otwierającego drzwi. Drzwi powinny natychmiast odsunąć się w bok, ale nawet nie drgnęły. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że mogą być zamknięte. Przez wiele lat latania statkami kosmicznymi nigdy nie spotkał się z podobną sytuacją. Drzwi po prostu nigdy nie były ryglowane. Poza jednym wyjątkiem: przy dehermetyzacji statku.

Cofnął się spod drzwi, usiadł na łóżku i wcisnął przycisk interkomu.

Interkom dzięki Bogu działał. Ekran dość niechętnie ożył, zafalował zielonymi pasmami. Andrew wywołał sterówkę.

Na ekranie pojawił się WosenJu.

WosenJu? Nie poznałby go na pierwszy rzut oka w tym zbyt obszernym stroju.

Jasne, że zbyt obszernym! Andrew był przecież od niego wyższy i szerszy w ramionach.

Czyli, że WosenJu zależało na tym, by wzięto go za Andrew. Po co? Żeby łatwiej było porwać statek.

I nagle, zanim jeszcze zauważył krzywy uśmiešek WosenJu, Andrew wszystko zrozumiał.

„To znaczy — pomyślał zimno Andrew, czując zalewającą go nienawiść — to znaczy mój skromny pomocnik, że dla zdobycia mojego munduru zabiłeś PetriA. Przeszkadzała ci, więc ją zabiłeś”

— Jej krew jest moją krwią! — powiedział Andrew patrząc mu prosto w twarz.

— Co? — WosenJu oczekiwał wszystkiego, tylko nie tych słów wypowiedzianych w Języku Miasta. Ale był bardzo bystry i miał dobry refleks. — To nieprawda — powiedział niemal bez zajknięcia. — Ja jej nie zabiłem. Nie zabiłem nikogo. Klnę się na boginię Or–O.

— Gdzie jest Witas Jakubauskas? — zapytał Andrew. Był zupełnie spokojny.

— Choruje.

— Kto tu jest najważniejszy?

— Prowadzi nas Prug Brendyjski.

— Połącz mnie z nim.

— Nie wiem, czy będzie chciał z tobą rozmawiać.

Na ekranie pojawił się Prug Drugi. Widocznie nie potrafił sam włączyć innego ekranu, bo po prostu odepchnął na bok WosenJu.

Delfin Brendyjski ubrany był w strój bojowy. Na głowie miał wysoki hełm. Pasy barw wojennych przecinały mu nalane policzki, zaniebieszczone wąsy zaplecione miał w warkoczyki. I ostrożny, czujny błysk w czarnych oczach.

— Chciałeś ze mną rozmawiać? zapytał. — Mów.

— Co tu się stało?

— Sam przyszedłeś do nas. Nie prosiliśmy cię.

Śmiał się. Drobne zmarszczki wachlarzykiem rozbiegły się od kącików oczu, mocne żółte zęby ukazały się zza fioletowych warg.

— Chciałbym... — głos zabrzmiał niepewnie, więc Andrew nie dokończył zdania.

— Zrozumiałeś? — zapyta! Prug. — Nie wolno ci nic żądać, wolno tylko prosić i dziękować. Nie jesteś nam do niczego potrzebny, daję słowo. Ale nie porzuciliśmy cię. Zabraliśmy, z litości opatrzyli...

— Na pewno z litości?

— Przeprowadźcie go do mnie — rozkazał Prug.

Sytuacja była niezwykła, groziła nowymi niebezpieczeństwami. Statek znalazł się w rękach ludzi, którzy nie umieli go prowadzić i mknął w nieznanym kierunku ku nieznanemu celowi. Cel ten jednak dla porywaczy musiał być niesłychanie ważny, skoro zdecydowali się na zagarnięcie „Szkwału”. Ich napad nie był akcją zorganizowaną ad hoc, pod wpływem nagłego impulsu, ale starannie zaplanowanym działaniem. Delfin Brendyjski postanowił sam wyruszyć w Kosmos i to z pewnością nie do Centrum Galaktycznego...

Andrew czekał.

Drzwi odsunęły się w bok.

WosenJu stanął w progu napięty, gotów w każdej chwili odskoczyć do tyłu. Ale nie byłoby to łatwe, bo za jego plecami stali dwaj górale w kolczugach, z nożami w rękach...

Andrew zrozumiał, że WosenJu się go boi, boi się nawet rannego. I dlatego jeszcze śmieszniej wygląda w wiszącym na nim jak na kołku kradzionym mundurze.

Zrozumiał też, że tak przyzwyczał się do stałej obecności swego zastępcy, że nigdy mu się właściwie dokładnie nie przyjrzał. A teraz nagle zobaczył chudego człowieczka, jeszcze niestarego i niskiego, że starannie przylizanym przedziałkiem, umieszczonym dokładnie na przedłużeniu ostrego nosa... Reszta była nieważna.

Andrew ruszył do przodu, nie spuszczać wzroku ze źrenic WosenJu.

WosenJu odskoczył i oparł się plecami o wojowników, którzy nawet nie drgnęli. Byli bardzo do siebie podobni, choć jeden sprawiał wrażenie starszego. Pewnie bracia, na co wskazywał również identyczny tatuaż klanowy na policzkach.

Andrew zapytał: — Dokąd mam iść?

— Na prawo — odparł WosenJu z wyraźną ulgą i pierwszy wślizgnął się na korytarz przechylając na bok głowę, żeby nie stracić Bruce'a z pola widzenia.

„Zabiję cię! — powtarzał Andrew patrząc w jego plecy. — Zabiję cię, ty draniu...”

Prug Brendyjski czekał już na niego w mesie oficerskiej. Zajmował prawie połowę kanapy.

— Ręka nie boli? — zapytał.

— Chcę się zobaczyć z kapitanem Jakubauskasem — powiedział Andrew.

— Myślałem — odezwał się Prug zdejmując perukę i ukazując zupełnie łysą czaszkę — że będziesz pytał o ważniejsze rzeczy!

Nie ukrywał, że jest w znakomitym nastroju.

Ręka rwała, jakby ktoś wwiercał w nią rozżarzony gwóźdź. Ból był tak silny, że przyprawiał o zawroty głowy.

„Jeszcze tego brakowało, żebym tu przed nim zemdlał — pomyślał Andrew”.

Usiadł na fotelu naprzeciw Pruga. Ten uniósł krzaczaste brwi. Goryl, jeden z dwóch konwojentów, chciał zareagować na to pogwałcenie etykiety, ale Prug machnął ręką:

— Niech siedzi. Jest słaby. Ludzie z gwiazd są potężni, gdy otaczają ich aparaty i wszystkie

inne ich sztuczki. Kiedy są nadzy, ucieka z nich cała moc.

— Gdzie jest Witas? — zapytał Andrew z uporem. Nie zamierzał dyskutować teraz z górskim królewiatkiem, w którego łapy dostał się najnowocześniejszy statek Galaktyki.

— Odpowiem ci. Twój Witas żyje i nie jest mi do niczego potrzebny, podobnie jak ty nie jesteś mi do niczego potrzebny. Ale żyje. Gdzie doktor?

— Zaraz tu będzie — odparł WosenJu.

Starając się ominąć Andrew jak największym łukiem, podszedł do ekranu przy fortepianie. Bo w mesie stał fortepian. Na statku Andrewa fortepianu nigdy nie było. Za instrumentem stał nieruchomo jak posąg DrokU, żółtowołosy wojownik, którego Andrew widział w domu Pruga. Przedział medyczny, słucham! Głos rozległ się nieco wcześniej niż pojawił się obraz lekarza. Ciekawe, ilu Ziemian pozostało na „Szkwale”?

— Opowiedz mi o kapitanie — rozkazał Prug w lincosie.

Lekarz patrzył na Andrew.

— Jak ręka? zapytał. Chciałbym, żeby pan wpadł do mnie. Trzeba zmienić opatrunek i zrobić następne znieczulenie.

— Zadałem ci pytanie odezwał się Prug — a na moje pytanie należy odpowiadać natychmiast.

Doktor wzruszył ramionami. Był niemłody, chudy, przygarbiony i wyraźnie zastraszone, chociaż starał się to ukryć.

— Proszę mi nie grozić — powiedział. Już od dawna nie bawię się w policjantów i złodziei. Stan kapitana Jakubauskasa jest ciężki. Umieściłem go w komorze izolacyjnej. Śpi. Jego życiu nie zagraża już bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale potrzebuje spokoju i długiej kuracji.

Andrew zacisnął powieki. Było mu słabo z bólu.

— Dlaczego o nic nie pytasz? — uśmiechnął się Delfin Brendyjski. — Masz do tego prawo, jesteś moim gościem w tym wielkim domu.

— Czemu pan to zrobił? — zapytał Andrew. Nie rozumie pan, że niechybnie was złapią?

— Mogę odpowiedzieć na twoje niezadane pytanie, bo to już przestało być tajemnicą. Lecimy na Ar-A.

— Po co? — Andrew był zdziwiony, ale nie wstrząśnięty. To wyjaśnienie miało przynajmniej jakiś sens.

— Lecimy do ojczyzny naszych przodków — oświadczył Prug. — Do ojczyzny gigantów.

— Odwiedzić ukochane groby? — nie wytrzymał Andrew. Jego ironia była w pełni zrozumiała dla tych, którzy znali miejscowe obyczaje. Odwiedzanie ukochanych grobów było niegdyś uroczystym obrzędem, długą pielgrzymką do legendarnego cmentarzyska na Płaskowyżu Ukochanych. Wiadomo było, że leżą tam doczesne szczątki herosów, którzy padli w Bitwie na Skraju Pustyni. Z czasem te długie pielgrzymki, kończące się zazwyczaj szalonymi orgiami i krwawymi bójkami, w których niejeden z pielgrzymów stracił życie — zostały zabronione, co wcale nie znaczy, że zaniechane.

Nie na darmo przeżyłeś u nas tyle czasu, DreJu — uśmiechnął się znów Prug. — Ale nie masz racji. Nie należę do ludzi, którzy marnują życie na uczty i zabawy. Chcę, żebyś to zrozumiał i zapamiętał. Jestem prostym człowiekiem. Pragnę władzy i sławy jak każdy szlachetny wojownik. Władzy, której zdradziecko mnie pozbawiono i zmuszono do życia wśród nędznych ślimaków w śmierdzącym mieście. Wielu zastanawiało się, czemu to wielki i szlachetny wódz żyje tak pusto jako człowiek odmawiający walki. Ja jednak już od dawna myślałem o tym, żeby powrócić jako zwycięzca. I to zwycięzca niezwykajny, jako wielki zwycięzca, o jakim od stuleci marzył mój lud i wszystkie inne ludy.

Prug Brendyjski przestał się uśmiechać. Nawet jego tłuste policzki stały się mniej obwisłe.

Ty jesteś obcy — kontynuował i niczego nie pojmujesz. A jeśli nawet pojmujesz, to myślisz

prosto. Wszyscy ludzie myślą tak, jak ich nauczono. A ja myślę jaśniej niż wy, zwykli ludzie. Myślę o tym jak ocalić honor. Lecę na Ar-A! Moje pobudki są szlachetne, cel sprawiedliwy i nie chcę nikogo skrzywdzić. Dlatego żyjesz ty i twój kapitan. I wszyscy ci, którzy byli na statku. Nie potrzebuję krwi i zemsty. Potrzebna mi sprawiedliwość.

— A PetriA? — zapytał Andrew. — Dlaczego zginęła?

— PetriA z klanu Kain Petri? Jak to zginęła? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

— Zapytaj swojego kompana! — warknął Andrew.

— WosenJu, co tu przede mną ukryto?

— Ktoś zamordował PetriA — wykrztusi! WosenJu. — Kiedy byłem w Agencji, żeby zabrać papiery lotu i jego mundur, widziałem jej ciało. Najprawdopodobniej zrobił do DreJu. Coś ich łączyło i bał się, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

— Jeśli masz rację, WosenJu — powiedział Prug — to będziemy zmuszeni surowo ukarać DreJu. Albowiem nikt nie ma prawa podnosić ręki na dziewczęta z naszych znakomitych klanów. Kto wziął na siebie zemstę?

— Jej krew jest moją krwią! — powiedział Andrew.

— Nie możesz tego uczynić, jesteś obcy. I chory. Zaprowadźcie go do lekarza. Nie lubię dręczyć ludzi, a nasz gość DreJu jest ranny i poparzony. Nim wkroczy na ścieżkę zemsty, musi się wzmocnić — zarechotał Prug.

\* \* \*

Wojownik pchnął Andrew tak mocno, że omal go nie przewrócił. Drzwi zasunęły się. Goryle zostali w korytarzu.

Przedział medyczny był jaskrawo oświetlony.

Zwyczajny przedział medyczny. Ambulatorium i białe drzwi do izby chorych.

Lekarz wstał na powitanie.

— Proszę — powiedział. — Nazywam się Michel Gheza. Znam już pana trochę. W końcu od wczorajszej nocy jest pan moim pacjentem.

— Witas śpi?

— Śpi. Proszę się położyć. Zaraz się panem zajmę. Niestety, uszkodzili mój komputer... — Doktor uśmiechnął się z zażenowaniem. Kiedy tu wpadli, trochę się z nimi przemówiłem...

Wskazał ręką w kąt. Leżała tam sterta szkła i malutkich detali, zupełnie jakby ktoś wybebeszył parę „żywych lalek”. Parę lat temu takie lalki były bardzo modne. Potrafiły niemal wszystko: chodziły, mówiły, w nocy spały, kaprysiły, chciały na nocniczek... A dzieci te lalki rozbijały, zawsze rozbijały. I pozostawały po nich kupki malutkich detali, którymi lalki były literalnie nafaszerowane.

— Przepraszam za ten bałagan — powiedział lekarz. Nie miałem kiedy sprzątnąć. Ręka boli?

Szybko oczyścił ranę. Ból zmuszał do zaciskania zębów, a potem nagle ustał.

— Proszę mi powiedzieć, co tu się właściwie stało? — poprosił Andrew.

— Myślałem, że pan wie więcej ode mnie.

— Należy zatem przyjąć, że obaj wiemy niewiele.

— Nie pojechałem do miasta — zaczął opowiadać lekarz. — Niech pan jeszcze chwilę poleży, zaraz przejdzie... Nie pojechałem, bo czułem się trochę przeziębiony. Pomyślałem, że pojedę następnego dnia. Zostało nas na statku dwóch, Ja i drugi pilot, Visconti. Robiliśmy swoje, potem zjedliśmy kolację. Visconti dyżurował na mostku. Wieczorem włączył się i powiedział, że przyjechał agent Floty Kosmicznej, bo coś się stało. Niczego nie podejrzewaliśmy, ale kiedy Visconti poszedł do luku, ruszyłem za nim. Zacząłem się czegoś obawiać. Pomyślałem, że miał

miejsce jakiś wypadek i mogę być potrzebny. Było ciemno. Zobaczyłem platformę, na której stał pan.

— Jak pan mnie rozpoznał?

— Po mundurze przedstawiciela Floty Kosmicznej.

— To był mój tutejszy pomocnik, WosenJu.

— Tam był ktoś jeszcze, kierowca. Pan podniósł rękę. Visconti otworzył luk. Weszli ci dwaj i kazali nam się położyć. Visconti zareagował pierwszy. Był na wachcie, miał broń. Próbował wyciągnąć pistolet...

— I co?

Zabili go. Proszę zrozumieć, nie byliśmy na coś takiego przygotowani! Cywilizowana planeta...

— Nikt pana nie oskarża!

— Mnie zupełnie zatkało. Visconti nagle upadł, a mnie pierwszy z napastników przewrócił. Reszta na pewno ukrywała się wokół statku. Leżałem na platformie. Słyszałem kroki, głosy. Wdarli się na statek. Mnie zawlekli do mesy. Było tam kilku ludzi. Powiedzieli mi, że statek przechodzi pod komendę jakiegoś Brendyjczyka. Człowiek w pańskim mundurze dobrze znał lincos.

— Tak — powiedział Andrew. Ma dyplom nawigatora, ale wolał pracować u mnie w Agencji.

— Powiedział mi, że mam wykonywać rozkazy, bo inaczej zabiją mnie jak Viscontiego. Zrozumiałem, że to nie żarty.

Lekarz podszedł do biurka i zaczął przekładać na nim jakieś papierki. Ręce mu drżały.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — Do tej pory nie mogę tego...

— Też bym się przestraszył — pocieszył go Andrew.

— Nic pan nie rozumie! Nie mogę przeżyć upokorzenia... To takie poniżające. Wstrętne. Na moich oczach zabijają człowieka. Patrzą na ich twarze, są zupełnie spokojne... Nie mogę powiedzieć, że nad niczym się nie zastanawiałem. Myślałem, że na statek napadli rabusie i że jeśli się na nich rzucę, to bez skrupułów mnie zamordują. Może nawet wygodniej będzie im mnie zamordować. Miałem nadzieję, że za parę minut podniesie się alarm i wszystko się skończy. Nie straciłem jej nawet wówczas, kiedy ten WosenJu powiedział mi, że „Szkwał” przygotowuje się do odlotu. Omal się nie roześmiałem. Przypomniałem sobie o dawnych czasach z ery samolotów. Może pan pamięta z historii, że byli kiedyś terroryści, którzy porywali samoloty w powietrzu...

— Wiem. Czytałem o tym.

— Starłem się rozmawiać z nimi spokojnie, jak z wariatami. Mówiłem, że powinni się opamiętać. WosenJu tylko się śmiał, a potem mnie uderzył. Po prostu uderzył mnie w twarz. Wyobraża pan sobie?

— Tak.

— Resztę pan zna. A ja nie wiem nic. Przecież gdzieś lecimy! Dokąd? I w dodatku nie ma co jeść. Jak pan myśli, nakarmią nas?

— Nie wiem — odparł Andrew. — Mówią, że lecą na Ar-A.

— Przepraszam, ale nie mam pojęcia, co to jest.

— Planeta w tym systemie..

— Ale po co? Planeta jest zamieszkała?

— Nie. Pracuje tam tylko nasza ekspedycja archeologiczna. Rozmawiając z lekarzem, Andrew wyobraził sobie, jak wyglądała napaść na statek. Wydarzenia, które jeszcze niedawno wydawały mu się zupełnie ze sobą nie powiązane, przypadkowe i wręcz tajemnicze, teraz znalazły proste wytłumaczenie. Kto i dlaczego napadł na niego i Witasa? Komu przeszkadzali? Przeszkadzali naturalnie Prugowi, stali mu na drodze, bo mając swobodę ruchów mogli zapobiec porwaniu

statku. Jasne było i to dlaczego po pierwszym niepowodzeniu Brendyjczyk nie nastawał zbyt na ich życie. Działał po prostu w zgodzie ze starym przysłowiem: „Lepszy żywy wróg niż ten, kto będzie mścił się za martwego”. I dlatego Witas i Andrew żyją. Prug obawiał się, że zabicie kapitana i agenta Floty Kosmicznej zmusi Centrum Galaktyczne do wkroczenia na drogę śmiertelnej zemsty. Lepiej było jego zdaniem takiej ewentualności uniknąć. Zamachu w ślepej uliczce przy pomocy strzałki z zatartym znakiem Prug mógł się w każdej chwili wyprzeć, ale na statku rzecz przedstawiała się inaczej.

Jednak podróż do ojczyzny przodków, próba podwiązania się do legendarnej potęgi gigantów... Niezbyt wiarygodne pobudki dla tak nowoczesnego i cwane polityka jak Prug...

Odpowiedź na ten problem zmaterializowała się w kształcie wysokiej, chudej, półnagiej postaci, która wpadła nagle przez otwarte drzwi.

— Focjusz van Kuun — przedstawiła się postać, wykonując przy tym ceremonialny ukłon. — Potwornie boli mnie ząb.

— Archeolog? To pan wczoraj przepadł?

— Nigdzie nie przepadłem. Porwali mnie. Gdzie pan ma środki przeciwbólowe?

— Spokojnie— powiedział lekarz. — Niech pan siada, zajrzemy, co się z pańskimi zębami dzieje.

— Tylko proszę bez „spokojnie” i „niech pan siada”! Nasłuchałem się tego dosyć w waszej bandyckiej melinie! — oświadczył Focjusz van Kuun. — Nie mam zamiaru rozmawiać z kimkolwiek z waszej szajki i w ogóle możecie sobie pójść do diabła. Znam wasze zamiary i wasze machinacje. Ja wam jeszcze pokażę!

W czasie owej pospiesznej tyrady Andrew zdążył się dokładnie przyjrzeć archeologowi. Focjusz van Kuun w normalnych warunkach był człowiekiem, którego trudno byłoby zauważyć w tłumie. Teraz jednak jego rzadkie włosy stały dęba, twarz była brudna, a z ubrania pozostały mu jedynie strzępy spodniej bielizny. Jak to często zdarza się rudzielcom. Focjusz van Kuun miał białą, upstrzoną piegami twarz. Zielone oczy błyszczały mu dziko.

— Jestem przekonany, że popełnia pan pomyłkę — powiedział doktor. — Nie mamy nic wspólnego z ludźmi, których nazywa pan bandytami.

— Nie mam żadnych podstaw, żeby panu wierzyć — odparł archeolog. — Już próbowano mnie tu okłamać.

— Proszę usiąść i otworzyć usta.

— Nic z tych rzeczy! Pan nie ma pojęcia o mojej chorobie, a ja wiem, że się po prostu przeziębilem. Cholernie mnie przewiało, a u mnie przeziębienie zawsze rzuca się na zęby. Gdyby pana też potrzymani w przeciągu, to by tak spokojnie pan tu nie siedział.

— Panie doktorze — odezwał się Andrew. — Sądzę, że powinniśmy się zgodzić. Proszę mu dać środek przeciwbólowy, a zbada go pan innym razem.

— Wreszcie ktoś z głową! Przypominam sobie! Pan jest agentem Floty Kosmicznej, widziałem pana u konsula! Czyli najprawdopodobniej nie jest pan bandytą!...

Focjusz van Kuun podszedł do szafki, wyjął z niej tubkę proszku znieczulającego, posypał nim sobie szczękę, roztarł i zabrał się do wyjmowania innych leków, usiłując upchnąć je w nieistniejących kieszeniach. Lekarstwa posypały się na podłogę.

— To grabież! — zauważył lekarz.

— Żadna grabież! Przy moim stanie zdrowia w ogóle nie ruszam się bez podręcznej apteczki, a przecież teraz nie wiadomo, kiedy będę mógł ją uzupełnić. Niech mi pan da jakieś pudełko!

Lekarz zerknął niepewnie na Andrew. Ten wzruszył ramionami, wobec czego doktor wyjął z szuflady biurka plastikowe pudełko.

Focjusz van Kuun ze złością wsypał do niego zrabowane medykamenty. Najwidoczniej

pogodził się już jednak z lekarzem i Andrew.

— Panów też porwali? — zapytał.

— Tak.

— Po co?

— Nie mamy pojęcia — odpowiedział lekarz.

— Bzdura! — oznajmił Focjusz van Kuun. — Wiecie doskonale. Jesteście im potrzebni, bo potrzebny jest im statek. Żeby dostać się do skarbów Ar-A. To jasne jak słońce.

— Skarby Ar-A? — zainteresował się Andrew. — To coś nowego. I prawdopodobnie wyjaśnienie całej sprawy. Co pan ma na myśli?

— Mógłbym pokazać panu tezy mojego wykładu... — Focjusz van Kuun potarł ręką czoło. — Ale zabrali mi wszystkie notatki i wykresy. Wszystko zabrali.

— Mamy chyba prawo dowiedzieć się o wszystkim z pańskich ust — uśmiechnął się Andrew. — Już raz pozbawiono nas możliwości wysłuchania pańskiego wykładu.

— Prace nie zostały jeszcze zakończone, mamy na razie jedynie wstępne wyniki... Tam jest wiele rzeczy interesujących dla archeologa, ale dla bandytów raczej nie! Tak, są tam różne działa i armaty, ale przerdzewiały!

Drzwi otworzyły się i WosenJu, nie ryzykując wejścia do środka, powiedział:

— Szanowny Focjusz van Kuun! Prosił pan o kolację. Kolacja jest gotowa.

— Wypchajcie się ze swoją kolacją! I bez waszej kolacji mam niezły żołądek!

I z tymi słowami skierował się do wyjścia. Drzwi zamknęły się za nim.

— Jeszcze jeden kawałek mozaiki — powiedział Andrew. — Może zajrzałbym do Witas?

— Niech pan zajrzy — zgodził się lekarz. — Dziwny facet z tego van Kuuna...

— Porwali go na dzień przed porwaniem statku. Wszyscy myśleli, że został zabity, bo zainscenizowali rabunek i nawet zdolali przekonać miejscową policję, że utopili jego ciało w jeziorze.

Lekarz otworzył drzwi izolatki, gdzie w wannie z roztworem fizjologicznym leżał nagi Witas.

Andrew pomyślał, jak bardzo zmienia się człowiek, gdy tylko straci przytomność... To ma być Witas Jakubauskas? Ta lalka, atrapa z mięśniami twarzy zwiotczającymi tak, jak nie wiotczą nawet w najgłębszym śnie?...

— Trzeba im przyznać — powiedział — że przeprowadzili tę operację bez potknięć.

— Co mamy teraz zrobić?, — zapytał lekarz podchodząc do Witas, jakby to jego właśnie prosił o radę.

\* \* \*

Delfin Brendyjski, w najbliższym czasie władca planety Ar-A i potomek gigantów, zaprosił na obiad Andrew Bruce'a, agenta Floty Kosmicznej.

Mesę przemeblowano. Przewidujący następcę tronu brendyjskiego zatroszczył się o zabranie swoich ulubionych sprzętów.

Na przykład fotela. Może akurat nie tego, który stał w jego domu, ale wystarczająco solidnego, by mógł utrzymać potężne cielsko delfina.

Stół nakryty był obrusem o barwach klanu. Żaden szanujący się władca nie będzie biesiadował na byle jakiej szmacie.

Dwaj wojownicy w paradnych tunikach i hełmach stali po obu stronach fotela. W warkoczyki włosów mieli wplecione kolorowe wstążeczki, w rękach trzymali połyskliwe klingi.

Podoba mi się tutaj — powiedział Prug. — Siadaj, będziemy razem pili. Nie uważaj się za mojego krwawego wroga. Mylisz się sądząc, że to myśmy zabili szanowną PetriA. Bolejemy nad



jej śmiercią, daję ci słowo górala! — zamilkł, a potem się roześmiał: — Goszczę cię drugi dzień pod rządem! Tego zaszczytu pozazdrościłby mi każdy minister. Siadaj więc i nie odrzucaj mego skromnego poczęstunku. Siadaj! Jesteśmy wodzami dwóch klanów. Twój klan został pokonany, ale w uczciwej walce.

Wojownicy wnieśli półmiski z prawdziwymi górskimi potrawami. Prug pamiętał i o tym.

— Lekarz jest głodny — zauważył Andrew.

— Wydałem już rozkazy. Zaniesiono mu jedzenie.

Andrew nie mógł oprzeć się wrażeniu, że naprzeciw niego za stołem siedzi podstępny dziki kot. Teraz wszystko zależało od tego, czego zdoła się dowiedzieć o zamiarach wroga. Dziwne, pomyślał, przez całe moje spaprane życie nie spotkałem człowieka, którego mógłbym nazwać wrogiem. A to jest wróg.

Nie uważam cię za wroga — powiedział Prug, przechylając się przez stół i nakładając jakąś potrawę na miskę Andrew. — Nic od ciebie nie potrzebuję. Zdobyłem to, co chciałem. Dziki góral porwał statek kosmiczny. Dlaczego? Bo jesteście ludźmi zniewieściami. Broni was nie wasza moc, lecz strach innych przed waszą potęgą. I to jest wasza słabość. Potęga rodzi zadufanie w sobie. Rezultat? Lecimy teraz tam, dokąd ja chcę, a wy mi pomagacie i będziecie nadal pomagać.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To bardzo proste. Góral, człowiek dziki, słaby wobec natury i panów, nigdy nie zasiadłby przy jednym stole z mordercą. A pan, taki potężny, nie uważa za dyshonor zjeść ze mną obiadu. Na twoim miejscu góral wolałby umrzeć z głodu, rzucić się na nóż... Myślisz, że mnie przechytrzysz? — ciągnął pogardliwie. — Człowiek nie przechytrzy hieny, choć jest mądrzejszy i silniejszy od niej, bo hiena to istota prymitywna. Ja też jestem istotą prymitywną, tak samo jak twój niewierny pomocnik WosenJu. Nauczyciście go latać w Kosmos, korzystać z komputera, pokazaliście jak mieszkanie i wzbudziliście w ten sposób jego zawiść i złość na was. Czy był kiedyś w jego domu? Wiesz, z jakim uporem i poświęceniem wypełnia wszystkie rytuały dawnego życia? Sprawdziłem to od razu, kiedy tylko zacząłem planować swoje wielkie dzieło. Wiedziałem, że muszę wykorzystać waszą słabość — waszą potęgę. Zacząłem śledzić WosenJu i zrozumiałem, że wewnątrz pozostał prymitywny, zacząłem go wabić. Wabiłem i straszylem.

Prug Brendyjski wydobyl tłustymi palcami kawał mięsa z dna swojej miski i potrzymał go przez chwilę w powietrzu, jakby zamierzał położyć na misce Andrew. Potem jednak widać uznał, że byłby to dla agenta zbyt wielki zaszczyt i wepchnął mięso do ust. Andrew pomyślał, że właśnie usta Pruga sprawiają, że jego twarz jest taka dziwnie nieprawidłowa. Miały wąskie wargi i były małe, jakby wzięte z innej, dziecięcej twarzy.

— Przyznaj, że w moich słowach jest prawda.

— Jest — zgodził się Andrew. — Byliśmy zbyt łatwowierni. W rezultacie zginęła PetriA, zginął pilot Visconti, ciężko ranny został kapitan statku. I obawiam się, że to nie są jeszcze wszystkie ofiary.

— Nie jestem żądny krwi — powiedział Prug Brendyjski. — Nie traktuj mnie jak mordercy. A propos, zapomniałeś o sobie. Przecież też jesteś ranny. Zapomniałeś też o nieznanym człowieku, którego trzeba było zabić zamiast archeologa. Rozumiem, że nie lubisz śmierci i unikasz jej wyszczerzonego pyska. Ale gdybyś zaczął moim ludziom opowiadać o łagodności, nie pojęliby cię. Nie znasz wojen, a my żyjemy wojną. Walczymy z wami i nagrodziłem tych moich żołnierzy, którzy zabili wrogów. Uratowali w ten sposób mnie i honor klanu.

Przyniesiono ciasto z jagodami, świeżymi jagodami pachnącymi ostro lasem i żywicą. Prug odłamał kawałek i położył przed nakryciem Andrew.

— Nigdy nie byliśmy waszymi wrogami — powiedział Andrew. Zresztą nawet wedle waszych zasad nie wolno napadać, nie uprzedziwszy o tym przeciwnika. Uważacie to za podłość.

— Nie ucz mnie, co dobre a co podle. Jesteś tu obcy. Świat stał się podły. Nie znam innego. Stare zasady zmurszały. Kiedy zacznę działać jak przystoi szlachetnemu wodzowi, władza wyrzuci mnie z miasta albo urzędzi tak, że zginę tajemniczą śmiercią. Czy można pogodzić zasady szlachetności ze strażą miejską wyposażoną w walkie-talkie? Staram się zachować szlachetność w sprawach zasadniczych. Muszę wrócić na górski tron. To będzie dobrodziejstwo dla moich poddanych. Dla tego dobrodziejstwa gotów jestem poświęcić niektóre przestarzałe reguły honorowe... Stanęliście na drodze do mojego wielkiego celu, więc chcąc nie chcąc staliście się moimi wrogami.

Wszedł DrokU. Niósł srebrną miednicę z wodą do umycia rąk. Prosty wojownik nie może dostąpić takiego zaszczytu.

— Nie zgadzam się z panem.

— Twoja zgoda nie jest mi wcale potrzebna. Zaprosiłem cię nie po to, żeby się przed tobą usprawiedliwiać.

— A po co?

— Żeby wyjaśnić ci to, czego nie pojmujesz. To, że mnie nie należy się sprzeciwiać. Nie próbuj wymyślać jakichś sztuczek! Sztuczki spowodują twoją śmierć...

DrokU postawił miednicę na podłodze i klasnął w dłonie. Służący sprzątnęli ze stołu i przynieśli kadzielnice.

— Mógłbym chwycić się podstępu — powiedział Andrew wstając. — Mógłbym udać, że jestem posłuszny i po cichu planować, jak się pana pozbyć. Ale moje własne poczucie honoru mi na to nie pozwala. Ma pan rację mówiąc, że drogie jest nam każde życie. Morderstwo i honor są nie do pogodzenia. Będę z tobą walczył, Prugu Brendyjski, dopóki cię nie unieszkodliwię.

— Będziesz więc musiał mnie zabić, a przecież nie chcesz zabijać. Jesteś bezsilny, władco nieba. Cały twój galaktyczny klan też jest bezsilny. Idź i myśl, nie boję się ciebie. Nie potrafisz nawet zemścić się za śmierć twojej kobiety. Pluję na ciebie z pogardą. Odejdź!

Po mesie przetoczył się głośny, przesadny śmiech Pruga.

— Czy mam go odprowadzić? — zapytał DrokU.

— Nie, muszę z tobą porozmawiać. Niech się nim zajmie KrajJu.

Stary jednooki góral z siwymi warkoczykami wąsów, zwisającymi na piersi wyprowadził Andrew na korytarz.

\* \* \*

Andrew zrozumiał, że prowadzą go do kajuty. Zupełnie mu to nie odpowiadało. Byłby całkowicie odizolowany.

Skrzywił się i chwycił za rękę. Przyłgął do ściany, pozorując atak obezwładniającego bólu. KrajJu popchnął go i Andrew głośno jęknął.

— Boli... Lekarza...

— Ślimak! — zauważył pogardliwie góral. To była wielka obraza. Andrew stał pod ścianą z przymkniętymi oczami. KrajJu splunął, potem podszedł do niszy, w której krył się ekran interkomu i nacisnął guzik. Popatrywał przy tym na Andrew nie bez dumy. Andrew zrozumiał to spojrzenie. „Ciekawe — pomyślał jak wojownicy Pruga czują się na statku. Może gdyby byli mniej prymitywni, statek przeraziłby ich i oszołomił, ale oni potraktowali grawilot jak zdobytą twierdzę. Koncepcja Kosmosu, próżni międzyplanetarnej, przestrzeni była dla nich zbyt abstrakcyjna. A że po naciśnięciu guzika w szybie pojawia się czyjaś twarz? Widocznie tak musi być”.

Prug Brendyjski siedział za biurkiem, rozłożywszy przed sobą jakieś papiery. Obok stał DrokU. Kiedy rozległ się sygnał wywołania, następca tronu zakrył papiery ciężkimi łapskami. Czego

chcesz? — zapytał.

— Pan nieba mówi, że go boli. Chce do lekarza.

— Niech idzie — odparł Prug. — Tylko uważaj na niego. Jak tylko doktor da mu jakiś lek, odprowadź go do jego kabiny. Pamiętaj, że powinni siedzieć osobno!

„No cóż, w przeciwieństwie do nas trudno posądzić go o lekkomyślność, pomyślał Andrew”.

\* \* \*

Nie wiedział, jak pozbyć się KrajJu, ale ten nie chciał wejść do gabinetu. Przedział medyczny nie był przyjemnym miejscem. Każdy lekarz to groźny czarownik, a obcy lekarz — to czarownik szczególnie niebezpieczny.

— Mam mało czasu — powiedział Andrew. — Rozmawiałem z Prugiem i uważam, że to bardzo silny przeciwnik.

— Wpadłem na to! — warknął lekarz.

Stała między nimi miska z niedojedzoną polewką.

— Nawracanie go na zasady humanitaryzmu jest raczej bezcelowe...

W tym momencie ekran zabuczał i włączył się. Na ekranie pojawił się Prug. Jego zwisające wąsiska wiły się jak węże.

— DreJu? — powiedział. Aha, jesteś. Chciałem sprawdzić, czy mnie nie oszukałeś. Jesteś sprytny i dlatego niebezpieczny.

— Tylko po to pan zadzwonił?

— Nie, chciałem ci jeszcze powiedzieć, żebyś uważał na WosenJu. To mały człowieczek, a ty go wystraszyłeś. Twoje życie nie jest mu potrzebne, rozumiesz? Zupełnie niepotrzebne. Tacy ludzikowie często bywają bardzo groźni, więc uważaj. Zrozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem.

— Więc się kuruj. Ręka może ci się bardzo przydać.

Zarechotał i nie przestając się śmiać wyłączył ekran.

— To prawdziwe dziwadło — odezwał się doktor.

— Dziecko swojego czasu, swojej epoki... Niestety, nie jest głupi. Gdyby używał swoich zdolności w inny sposób, byłby dla Centrum bezcennym nabytkiem.

— To nielogiczne, co pan mówi — burknął doktor. Jeżeli jest dziecięciem swego czasu, to nie mógłby inaczej używać swoich zdolności.

\* \* \*

Jeżeli „Szkwał” istotnie leci na Ar–A, to podróż potrwa niedługo. Sądząc z możliwości statku — około dwóch dni. Dwa dni to niedużo, jeśli nawet doliczyć czas hamowania... W tym czasie i takimi siłami nie da się odbić statku... Zresztą archeologowie wiedzą już, co się stało, mają przecież łączność z Pe–U. To znaczy, że przedsięwzięmą odpowiednie kroki.

Andrew próbował sobie wyobrazić, jak wiadomość o maleńkiej wojence rozprzestrzenia się po Galaktyce. Jego wyobrażenia były niedalekie od rzeczywistości.

Archeologowie na Ar–A, czekając na przylot „Szkwału” i powrót Focjusza van Kuuna, spróbowali rano połączyć się z Pe–U, ale kosmodrom nie odpowiadał, bo dyspozytornia wyleciała przecież w powietrze. Doszli do wniosku, że muszą to być jakieś zakłócenia łączności i zaczęli bez przerwy wywoływać planetę.

Kiedy tego samego ranka dyżurny Centrum Galaktycznego nie zdołał połączyć się ze

„Szkwałem”, do którego miał jakąś sprawę, zawiadomił o tym Flotę Kosmiczną, uzupełniwszy swoją informację paru niezbyt pochlebnymi uwagami na temat nowych nadajników grawitacyjnych. Wiedział jednak, że „Szkwał” pomyślnie wylądował na Pe-U, więc szczególnie się jego milczeniem nie przejął i idąc na śniadanie poprosił zastępcę o wywołanie planety. W czasie posiłku powiadomiono go, że Pe-U też nie odpowiada. Nieco zaniepokojony zostawił niedopitą kawę i ruszył do centralnego obserwatorium, aby zorientować się, co mogłoby być powodem zakłóceń na linii. W obserwatorium dowiedział się, że z powodu wybuchu Nowej łączność w całym sektorze jest niestabilna.

Uznawszy, że wszystkiemu winna jest Nowa, dyżurny jednak wywołał dwa statki, które się w tym sektorze znajdowały. Łączność z „Tytanem” i „Vacjusem” była bardzo dobra.

\* \* \*

Z kabiną Andrew połączył się doktor, którego również dręczyła bezczynność.

Jest to bezczynność królika powiedział lekarz, niemal dotykając swoim smutnym, długim nosem ekranu. Zaraz otworzą się drzwi, wejdzie pański Gargantua i zaprosi na obiad, na którym będę głównym daniem.

— Wcale bym się nie zdziwił odparł Andrew, który nie był w nastroju do żartów. — Niektóre plemiona górskie jeszcze do dziś uprawiają rytualny kanibalizm. Uważam, że powinien pan porozmawiać na ten temat z naszym konsulem Olsenem. To znakomity znawca miejscowych obyczajów.

— Wolę już zachować ignorancję w tym względzie

— Jak Witas?

— Po staremu. Proszę mi dać jakieś zadanie Dlaczego ja?

— Nie potrafię tego wyjaśnić. Prawa, wedle których stado wybiera przy wódce, są czasem nieuchwytnie. Pan ma zapach lidera.

— Muszę wydostać się z kabiny.

Andrew poczuł, że stracił formę. Zawsze tkwił w nim jakiś demon ruchu. Nie potrafił zasnąć, jeśli nie przebiegł przed snem kilku kilometrów. Tutaj biegać nie mógł, więc zaczął robić pompki. Zrobił ich dwadzieścia dwie, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł doktor, który zaczął się gapić na niego z góry.

Andrew zerwał się na równe nogi Potrząsnął rękami rozluźniając palce.

— Jak udało się panu wyjść?

— Zapomnieli zamknąć drzwi.

— Proszę wracać do siebie.

— A pan?

— Zajrzę do kabiny łącznościowej.

Szybko szedł korytarzem. W zaobleniu ściany przystanął, nadstawiając ucha. Potem obejrzał się. Lekarz wciąż jeszcze za nim patrzył. Andrew machnął ręką: proszę odejść?

\* \* \*

Andrew nigdy przedtem nie był na „Szkwale”, ale pomieszczenia na wszystkich statkach rozplanowane są według takiego samego schematu, więc do kabiny łącznościowej mógłby trafić po omacku. Niezbyt lękał się tego, że kogoś spotka, bo sądził, że górale nie będą bez potrzeby włączyć się po korytarzach. Mimo wszystko statek jest dla nich podbitą twierdzą. Podbitą, ale

obcą, miejscem, gdzie mogą żyć wrogie duchy.

Drzwi do kabiny łączności były otwarte. Andrew zamknął je za sobą i zapalił światło.

Potem włączył strojenie. Nad pulpitem zapłonęły dwa zielone ogniki. Teraz musiał odnaleźć falę Centrum. Kiedyś znał ją na pamięć, ale minęło przecież parę lat i w dodatku musiały nastąpić jakieś zmiany. Uruchomił ekran kontroli. Czas płynął...

Drzwi do kabiny rozsunęły się bezszelestnie i ostrożnie. Andrew zauważył to tylko dzięki niewyczuwalnemu niemal tchnieniu powietrza.

Odwrócił się gwałtownie.

WosenJu z blasterem w ręku.

— Niebezpiecznie jest pozostawiać cię przy życiu — powiedział do Andrew.

„Uważaj na WosenJu! To mały człowieczek”.

Oczy WosenJu wyglądały jak małe czarne dziurki w białej masce, za którą nie było twarzy.

„Tacy mały ludzie często bywają groźni”.

Andrew rzucił się na podłogę, starając się sięgnąć nóg swego byłego zastępcy.

Płomień uderzył w pulpit, rozbijając ekran.

Andrew zdążył pomyśleć: teraz przed moimi oczami powinny przewinać się obrazy z mojego dzieciństwa... Gdzie są te obrazy?

WosenJu, już za progiem, znowu uniósł blaster. Ręka mu drżała.

Dureń, trzeźwo i spokojnie pomyślał Andrew, nie ustawił przełącznika na ponowne ładowanie. Wystrzelił cały ładunek, mam więc całe trzy sekundy.

Zerwał się i rzucił na WosenJu z takim impetem, aby w ciągu trzech sekund dosięgnąć go i zabić gołymi rękami. Bardzo chciał zabić tego człowieka.

WosenJu zrozumiał to i wyskoczył na korytarz zapominając o tym, że po trzech sekundach blaster znów stanie się śmiertelną bronią.

Andrew nie zdążył go dopaść. Za plecami WosenJu rysowało się już słoniowe cielsko Pruga. Za nim DrokU... a za nim lekarz. Lekarz wrzeszczał:

— Morderca!

Andrew spostrzegł, jak zwinnie i szybko unosi się do góry łapsko Pruga, a potem gwałtownie spada na potylicę WosenJu i pożałował, że nie jest na miejscu Brendyjczyka.

WosenJu jęknął i zwałił się na podłogę.

Blaster odleciał w bok i doktor spróbował go podnieść. Prug zauważył jego ruch i kopnął broń pod ścianę, DrokU pochylił się natychmiast i podniósł blaster.

— Uprzedzałem — powiedział Prug Drugi — że on jest bardzo niebezpieczny.

\* \* \*

— Uważam, że tchórz jest niebezpieczny nie tylko dla wrogów, lecz również dla przyjaciół — powiedział Prug do Andrew.

Znowu siedzieli w mesie.

— To pan jest wszystkiemu winien — odparł Andrew. — WosenJu to tylko mały pionek.

— Nie, ja za wszystko nie mogę odpowiadać. Jestem ponad drobiazgi — Prug był najwyraźniej głęboko przekonany o swojej racji. — Zresztą uprzedzałem cię, żebyś był ostrożny. WosenJu trzeba zlikwidować. Tym bardziej, że należy do tak mało ważnego klanu, że w ogóle można go uznać za bezklanowca. Jednak nie mogę na to pozwolić. To smutne, że należy ustępować w drobiazgach, żeby zwyciężać w sprawach wielkich.

— Niech pan nie będzie hipokrytą, księżu.

— W twoich oczach ja jestem zły, bo robię złe rzeczy. W moich oczach jestem wielki i

sprawiedliwy. A jeżeli moja sprawiedliwość wydaje ci się okrutna, to dlatego, że nie masz własnej sprawiedliwości.

— Na drodze do swojej sprawiedliwości zabiłeś wielu ludzi.

— Być może jeszcze wielu zabiję. Być może będę musiał zabić i ciebie. Ale potem w pieśniach mnie będą sławić, bo to ja polecałem na planetę gigantów i zdobyłem ich broń. O wielkich zwycięzcach układa się pieśni, a ja wrócę na Pe-U jako zwycięzca. To mój obowiązek.

— Niech pan zrozumie, że to wszystko zmyślenie. Nie ma żadnych przodków, nie ma żadnych arsenałów. To legenda, która przyniesie gorzkie rozczarowanie.

— Legenda? Nie wierzysz mi? To może uwierzysz komu innemu?

— Kogo pan ma na myśli?

— Wezwij rozkopywacza grobów — rozkazał Prug wojownikowi.

Do chwili powrotu wojownika Prug siedział prawie bez ruchu i milczał. Wyciągnął z kabury blaster i położył go na blacie stołu. On też widocznie lubił bawić się w policjantów i złodziei. Andrew wydało się, że mesa przyzwyczajona do głosów pilotów i mechaników, jeszcze dwa dni temu czysta i przytulna, teraz nastroszyła się, zamknęła w sobie, a jej ściany i sprzęty z lękiem i niedowierzaniem patrzyły na obcych — fotel, obrus, kadzielnice i cebrzyk przywleczony z Pe-U. I na mocno niesympatycznego człowieka, tłuściocha w zbroi pod kwiecistą, błękitno-rudą tuniką, którego słoniowate cielsko wylewało się z fotela, a palce nerwowo postukiwały po rękojęści blastera.

Archeolog Focjusz van Kuun zadziwił Andrew.

Andrew przywykł już do jego agresywności, do głośnego buntu sztubaka, któremu stale dokuczają koledzy z klasy.

Archeolog wszedł powoli i kulejąc zatrzymał się przy progu kabiny.

Ochroniarz popchnął go.

— Przepraszam powiedział archeolog.

Obrobili go tak, że to było ponad siły nawet mniej cywilizowanego człowieka, pomyślał Andrew. A archeolog był bardzo cywilizowany i niezbyt odporny na ból.

— Przyszedłeś? Wielkie dzięki — powiedział dobrodusznie Prug Brendyjski. — Siadaj, nie krępuj się.

Jego lincos był miękki, nawet przyjemny dla ucha. Ale mówił jak księżę. Seans hipnotyczny, któremu musiał poddać się w celu nauki języka, nie zdołał wytrzebić w nim tego tonu.

Krwawy zaciek na policzku, podbite oko, naderwane ucho... Ręka przytulona do boku... Prawdopodobnie bito archeologa po nerkach.

Focjusz van Kuun przycupnął ostrożnie na brzeżku fotela. Siadanie było dla niego bolesne, ale nie śmiał odmówić.

— Jak się czujesz, nic nie boli?

— Wszystko w porządku, dziękuję.

— Nieprzyjemna sprawa — powiedział Prug z uśmiechem. — Pański przyjaciel nie zdołał dojść do porozumienia z jednym z moich górali. Obaj byli uparci... Po góralach można wszystkiego się spodziewać, ale żeby taki kulturalny, wykształcony człowiek tak się zachowywał? Wstyd, szanowny panie van Kuun!

— Proszę przestać... Proszę!...

— Ten tu władca nieba, agent DreJu, mój wielki przyjaciel, interesuje się na co liczymy, lecąc na Ar-A. Wyjaśnij mu, coście znaleźli. Nie spiesz się, nikt cię nie będzie popędzał...

— Niech pan sam opowiada swojemu przyjacielowi — zjeżył się po staremu Focjusz van Kuun. — Ja potrzebuję lekarza.

Andrew nie zauważył, skąd Prug wyciągnął bicz. Wiedział, że istnieją takie bicze

sprawiedliwości, ale nigdy nie zdarzyło mu się ich widzieć. Bicz był cienki, z ogona ryby morskiej i miał na końcu kolczastą kulkę.

Wystrzelił gdzieś zza fotela i świsnął w powietrzu.

Archeolog skulił się.

Bicz, opisawszy koło, zniknął. Prug powstrzymał gestem zrywającego się z fotela Andrew.

— Nie trzeba — powiedział. — Ja tylko upominam. Pan van Kuun nie godzien jest twojej troski. Za bardzo się boi.

Focjusz van Kuun gapił się w podłogę.

„Niesamowita sytuacja. Zapomina się o tym, że przeszłość ma szpony i bice, że byłe jest bezlitosne i za grosz nie ceni ludzkiego życia. Takie zapomnienie można jednak zrozumieć, bo gdzie i kiedy ostatnio człowiek zetknął się z takim Prugiem? Andrew wyobraził sobie oburzenie, irytację i ból archeologa, kiedy Prug wraz ze swymi chłopcami postanowili pogawędzić z nim w swoim języku. I choć przestudiował tysiące dzieł historycznych, wiedział wszystko o Dżyngis–chanie, Hitlerze i Idi Aminie, ta wiedza pozostawała dla niego w sferze teorii, poza własnym doświadczeniem. Nic dziwnego! Człowiek nie może przewidzieć, że pewnego dnia spotka się z brontozaurem, skoro brontozaury dawno i bezapelacyjnie wymarły... Albo że stanie oko w oko ze wściekłym psem. Wie przecież, że jeśli już gdzieś pojawi się taki wściekły pies, to zajmą się nim specjaliści, którzy umieją zwierzę odłowić i wyizolować, żeby nie pokąsało kogoś i nie zrobiło mu krzywdy. Co więcej, człowiek jest przekonany, że owi specjaliści wykażą się humanitaryzmem i postarają się wściekłego psa wyleczyć. Biedaczysko... Na pewno w dzieciństwie nikt go nie bił, a i on sam nigdy nie rwał się do bitki...”

— Niech się pan weźmie w garść, van Kuun — powiedział Andrew. — To wszystko niedługo się skończy. Wsadzimy ich do klatki...

Prug zrozumiał. Prugowi się to nie spodobało. Prug przestał się uśmiechać. Prug postanowił coś przedsięwziąć.

Andrew był na to prawie przygotowany. Psychika Delfina Brendyjskiego, jeśli człowiek spędził z nim trochę czasu, stawała się dość jasna. Andrew zerwał się z fotela w momencie, kiedy bicz świsnął rozcinając powietrze. Oczywiście wsparł się na rannej ręce. Ból był okropny. „Widzisz — powiedział sobie ze złością — co to znaczy zaniedbać formę! Przedtem zdążyłbyś odskoczyć”.

Na szczęście złość na samego siebie wzmogła refleks. Zdołał drugą ręką chwycić koniec bicia i wyrwać go Prugowi. Natychmiast go wypuścił, bo kolczasta kulka rozorała mu dłoń. Tego jeszcze brakowało! Prug jednak również nie wyszedł z tego starcia bez szwanku: stracił równowagę i ciężko runął z fotela na podłogę.

Wojownik wyszarpnął nóż zza pasa.

Andrew zamarł.

Ale i Prug potrafił szybko reagować.

Odepchnął wojownika, sam wciągnął się potężnymi łapskami na fotel i oświadczył:

— Zuch!

Ale patrzył przy tym na archeologa. Ten wbił wzrok w podłogę. „Wydaje mu się pewnie — pomyślał Andrew — że to tylko koszmarny sen. Fakt, że nieźle byłoby się obudzić.”

— Jeżeli pan jeszcze raz podniesie bicz na równego, to będzie pan musiał mnie zabić — oznajmił Andrew. — Honor nie znosi zbydlęcenia.

— No dobrze, dobrze — powiedział pojednawczo Prug. — Zażartowałem, nie ma w tym żadnej obrazy, Knutem się nie żartuje.

Andrew mówił w języku Pe–U. Wiedział, że Prug przekroczył granicę dozwoloną w stosunkach między ludźmi wolnymi. Przekroczył ją umyślnie. Sukces z archeologiem, którego udało mu się złamać, pozwalał mu przypuszczać, że tak samo powiedzie mu się z Andrew. Tyle, że archeolog

był człowiekiem obcym, Andrew zaś, którego podejmował w swoim domu — kimś szlachetnym. Wobec tego teraz Prug musiał się wycofać z tej próby, gdyż inaczej straciłby twarz, bo okazałoby się, że gościł przy swoim stole niewolnika, którego można bezkarnie wychłostać.

— Poniosło mnie, wybacz — powiedział więc.

Andrew wyciągnął ranną ręką chusteczkę do nosa i przycisnął ją do pokaleczonej dłoni. Nie chciał za żadne skarby pokazać, że cierpi.

— Leci panu krew — powiedział archeolog z takim obrzydzeniem, jakby Andrew sam się skaleczył mu na złość.

— Drobiazg — zaśmiał się Prug. Postanowił zapomnieć o tym maleńkim nieporozumieniu. — Powtórz lepiej to, coś mi opowiadał o planecie Ar–A. O jej arsenale. Opowiadaj swojemu DreJu, bo ja już wszystko wiem. Tylko nie łżyj.

— Relacjonowałem już sens odkryć na Ar–A w Szkole Wiedzy — powiedział cicho archeolog. Móg się pan z tym zapoznać. Ma pan moje papiery.

— Właśnie! — ucieszył się Prug. — W Szkole Wiedzy był DrokU. Od dawna czekaliśmy na twój przyjazd. Bardzo czekaliśmy.

Andrew chciał jakoś archeologa rozruszać. Umyślnie rozgniewał Pruga, aby pokazać van Kuunowi, że nie jest tu samotny. Ale była to próżna demonstracja.

— A co to za historia z figurkami zemsty? — zapytał Andrew.

— Z czym? Jakiej zemsty?

— Przed samym porwaniem kupił pan w sklepie rytualnym cztery figurki wojowników. Pamięta pan?

— Żołnierzyki? — van Kuun nieoczekiwanie się ożywił. — Kupilem. Tylko cztery, bo reszty nie zdążyłem.

— Tak jest — powiedział Prug. — Pytałem go, ale nie zrozumiałem jego odpowiedzi. Sądziłem, że w jego postępowaniu jest jakiś sens, ale on opowiadał mi same brednie.

— To były żołnierzyki! — upierał się archeolog. — Czyż nie potrafi pan tego zrozumieć, zrozumieć takiej prostej rzeczy? Zbieram żołnierzyki. We wszystkich krajach. Mam kolekcję! Rozumie pan? Kolekcję!

— Pojmujesz coś z tego? — zapytał Prug.

— Niektórzy ludzie zbierają wiele takich samych rzeczy, bo to ich interesuje. Jakie to czasem bywa proste. Kolekcja. Jasna sprawa! Znaczkki, pocztówki, żołnierzyki...

— W porządku — machnął ręką Prug. — Mów o arsenalach.

— Tam była wojna. — opowiadał archeolog. — Praktycznie udało się im popełnić zbiorowe samobójstwo. Wypuścili dziny z butelki.

— Mów jaśniej! — warknął Prug.

— I tak wszystko jest jasne i oczywiste — Van Kuun patrzył na Andrew zmęczonym, zaszczutym wzrokiem. — Osiągnęli wiele. Wyszli nawet w Kosmos, ale udało im się dotrzeć tylko do Pe–U. Słowem cywilizacja technologiczna. Bardzo wojownicza. Zabijali się nawzajem. Walczyli długo i rozpaczliwie. Jak dotąd możemy tylko snuć przypuszczenia na temat przebiegu ich ostatniej wojny. Mieli broń bakteriologiczną, która uszkadzała kod genetyczny, ale nie mieli na nią antidotum. Widocznie opracowali ją już w warunkach wojennych i wydawała się im czymś ostatecznym, jak bomba atomowa: jedno uderzenie i koniec z wrogiem. O sobie nie pomyśleli.

— Jasne — powiedział Andrew — I nikt nie ocalał?

— Gorzej. Kiedy zrozumieli, że giną, poukrywali się w podziemiach i gorączkowo szukali odtrutki. Wojny ustały i cywilizacja usiłowała się jeszcze jakoś ratować. Niektórzy przeżyli, ale na innym poziomie. Miałem przy sobie materiały, ale ci tutaj je ukradli.

— Mów! — rozkazał Prug — Opowiedz o arsenalach



— Nieścisle określenie. Umowne. To coś więcej niż arsenały. Ukrywali wszystko. Wymierali już, siedzieli w norach i bali się. Może gdyby się połączyli, to udaloby się im wyżyć.

— Nie filozofuj — burknął Prug. — Mów, coście znaleźli.

— Dzikusy nie uczą się na historycznych błędach. Zamierzałem o tym dokładnie opowiedzieć w waszej Szkole Wiedzy. Myślałem, że to będzie przestroga. A tymczasem już swoją niepełną informacją wodziłem ich na pokuszenie. Chcą zacząć wszystko od początku. Mało im jednej zmarnowanej planety!

— Wszystko zrozumieliśmy, mój drogi. Szkoda, że byłeś taki uparty i trzeba cię było ukarać. Kiedy ludzie przyjaźnią się ze sobą i pomagają sobie nawzajem to nie ma mowy o karze.

— Nie należało mnie bić — głos archeologa był cichy i bezbarwny.

— Stałeś na drodze wielkiej sprawy wyzwolenia mego kraju spod władzy interesownych i obmierzłych stworów. Stałeś na drodze sił wolności. Stałeś na mojej drodze i dlatego zostałeś ukarany. Jak każdy, kto ośmieli się mi przeszkadzać!

— Jemu potrzebny jest lekarz — odezwał się Andrew.

— Co? — Prug nie od razu potrafił wrócić do spraw powszednich i nieważnych. — Lekarz? To zaprowadź go do lekarza Niech go kuruje. I niechaj leczy ciebie. Ręka bardzo boli, co? — roześmiał się. — W dzieciństwie także złapałem za koniec bicz. Chcieli mnie ukarać. A ja byłem dumny i chwyciłem za bicz. Powiedz doktorowi, że od kulki robią się wrzody i to bardzo boli. Nie patrz tak na mnie, DreJu. Nie pozwolę się zabić. To ja ciebie zabiję. Nie teraz, ale kiedy przyjdzie pora.

Andrew podniósł się i powiedział do archeologa:

— Idziemy do lekarza, van Kuun.

„Umiejętność zabijania — myślał. — Nigdy nie zabiłem człowieka, nie musiałem zabijać, ale on o tym nie wie. A przecież nawet doprowadzony do szału królik potrafi zabić...”

\* \* \*

Nie wyobrażacie sobie mówił archeolog, kiedy lekarz przygotowywał środki kojące — co to za bestie. Bicie sprawia im rozkosz. Z początku tego nie rozumiałem i zacząłem się stawiać. Powiedzcie, czy każdego człowieka można zbić tak że przestaje być człowiekiem?

Na Ar-A zostali jacyś ludzie? — zapytał Andrew żeby zmienić temat.

— Ludzie? Mówiłem już, że ich broń zmieniała kod genetyczny. Zabijała nie tylko dorosłych, ale również tych, którzy się jeszcze nie narodzili. A nawet gorzej niż zabijała. Wiecie, zabrali mi lekarstwa, które od pana dostałem. Byli ludzie, a teraz są amlaki.

— Proszę się rozebrać — powiedział doktor Gheza. — Ale najpierw niech pan to wypije.

— Już, już — Archeolog zaczął skwapliwie zrzucać z siebie ubranie jakby się obawiał, że za opieszalność zostanie ukarany. Lekarz popatrzył na Andrew.

Focjusz van Kuun jednym haustem wypił lekarstwo i odchrząknął. Zmarszczył czoło jakby chciał coś powiedzieć ale zamilczał.

Rozebrany był bardzo chudy, cały poznaczony siniakami i krwawymi wybroczynami.

— Ależ pana obrobili — westchnął lekarz. — Trzeba będzie trochę nad panem popracować.

Archeolog leżał na kozetce. Powieki mu opadły. Drzemał. Widać lekarz naszpikował go trankwilizatorami.

Z ręką Andrew doktor Gheza walczył długo. Okazała się dosłownie nafaszerowana maleńkimi igielkami. Andrew cieszył się, że van Kuun zasnął i nie słyszał jego jęków.

\* \* \*

W owym czasie w Centrum wiedziano już że planeta Pe-U nie odpowiada.

Wiedziano również, że i Szkwał uparcie milczy.

Nikt już nie wątpił, że wydarzyło się jakieś nieszczęście.

W pobliskim sektorze Flota Kosmiczna dysponowała dwoma statkami: „Tytanem” i „Vacjusem”. Oba miały silniki plazmowe, oba musiały gwałtownie zmienić kurs, żeby w ciągu paru dni dotrzeć do systemu.

Po krótkiej naradzie w dowództwie FK zdecydowano, że na Pe-U poleci „Vacjus”.

Tego samego wieczoru z orbity Syriusza w kierunku Pe-U wystartował krążownik patrolowy „Grom”. Miał silniki grawitacyjne i wielką prędkość marszową, ale też olbrzymią odległość do pokonania. „Vacjus” powinien go wyprzedzić.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy Andrew kładł się spać.

\* \* \*

Kapitan „Vacjusa”, szanowny Inbuke, prawie dwumetrowy, lekko przygarbiony olbrzym z Kriony przyjrzał się maleńkimi oczkami w oprawie gęstych białych rzęs pasażerom i członkom załogi zebranych w salonie.

— Mam dla państwa ważną wiadomość i dlatego proszę wszystkich, aby zechcieli jej uważnie i w milczeniu wysłuchać.

W salonie zebrało się sześćdziesiąt osób. Najwięcej było rodaków kapitana, bo cała załoga pochodziła z Kriony. Rejs do kilku systemów gwiazdnych powinien zająć jakieś pół roku. W tym sektorze gwiazdy leżą blisko siebie, o wiele bliżej niż na skraju tej gałęzi Galaktyki, gdzie znajduje się Układ Słoneczny. Podróże kosmiczne są tu więc czymś zwyczajnym i powszednim.

Kapitan poprawił mundur Floty Kosmicznej, niezbyt dla niego wygodny, bo jak wszyscy Krionijczycy wolał odzież luźną i miękką.

— Grawilot „Szkwał” w rejsie na planetę Pe-U nie odpowiada na wezwania Centrum Galaktycznego — powiedział.

— Szanowny kapitanie — odezwał się drugi nawigator, podnosząc się z fotela. — A co mówi stacja planety Pe-U?

— Z planetą Pe-U nie mamy łączności — powiedział kapitan, lekko skłoniwszy się drugiemu nawigatorowi.

— Ośmielam się nie zrozumieć waszej miłości — powiedział drugi nawigator. Mówił to, co chcieli powiedzieć również pozostali członkowie załogi, którzy jednak nie mieli do tego prawa, ponieważ tylko drugi nawigator, zresztą syn kapitana, mógł zadawać pytania dowódcy. — Jak może przerwać się łączność z planetą i statkiem, jeżeli znajdują się na nich całkowicie autonomiczne i niezniszczalne galaktyczne stacje komunikacyjne?

— Nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie — odparł kapitan. — Przekazałem wszystkie informacje, jakimi dysponuję.

— Jednak coś takiego nie może się zdarzyć!

Kapitan Inbuke zanotował w pamięci, że drugi nawigator winien zostać ukarany za publiczne powątpiewanie w słuszność słów dowódcy, ale nie powiedział tego głośno, żeby nie skompromitować swojego oficera.

— Jeżeli jakiś statek Floty Kosmicznej wpadł w tarapaty, a trudno przypuścić, żeby dwie stacje komunikacyjne na raz zamilkły w wyniku przypadku, obowiązkiem wszystkich jednostek Floty

znajdujących się w danym sektorze jest natychmiastowe ruszenie mu na pomoc. Najbliższej planety Pe-U znajdujemy się my.

W salonie zaszumiało.

— Jakże to da odchylenie od naszego kursu? — zapytał jeden z pasażerów. Był Ziemianinem i nie wiedział, że nie przystoi mu zadawać pytań. Kapitan jednak, zdając sobie sprawę z tego, że sytuacja jest dość delikatna, odpowiedział:

— Zaraz zmieniamy kurs i ruszamy z maksymalną prędkością, która dla niektórych pasażerów może być zbyt wielka. Dlatego proponujemy, aby wszyscy pasażerowie przesiedli się na lądowik planetarny. Będzie tam dość ciasno i niezbyt wygodnie. Kuter będzie dryfował w tym rejonie. Po zakończeniu naszej misji wrócimy na dotychczasowy kurs i zabierzemy lądowik na pokład. Całkowite przedłużenie lotu potrwa dwadzieścia galaktycznych dni i nocy. W wypadku zmiany sytuacji termin ten może się zmienić.

Niektórzy z pasażerów zaczęli protestować. Mieli do załatwienia pilne sprawy i w ogóle... Kapitan nawet nie usiłował się z nimi spierać.

— Więc co pan ostatecznie proponuje? — zapytał z uporem drugi nawigator.

— Nic nie proponuję — odparł kapitan. — Chcę jedynie dodać, że planeta Pe-U należy do klasy światów rozwijających się, nie przygotowanych jeszcze do galaktycznego braterstwa. Warunki socjalne są tam niestabilne.

Ponieważ Kriona należała do światów nader ucywilizowanych, dumnych ze swego współczestnictwa w tworzeniu Ligi Galaktycznej, kapitan nie potrafił mówić o innych planetach bez leciutkiego lekceważenia w głosie.

— Statek i stacja mogły zginąć? — ciągnął swoje drugi nawigator.

Kapitan westchnął. Niemal zniecierliwiał swojego oficera, który zachowywał się jak nierozumny pasażer.

— Ale dlaczego my? — zapytał jakiś Ziemianin. — Przecież są specjalne krążowniki patrolowe. To sprawa ich, a nie lotnictwa cywilnego!

— Flota Kosmiczna nigdy nie porzuca swych towarzyszy w potrzebie — powiedział kapitan, patrząc na drugiego nawigatora. — Będziemy na miejscu o trzy dni wcześniej niż krążownik patrolowy.

— Przecież nie jesteśmy uzbrojeni!

— Dlatego rozkazuję, aby wszyscy pasażerowie opuścili pokład. Mogą to również uczynić ci członkowie załogi, którzy uznają, że dalsze przebywanie na statku może ich narazić na niebezpieczeństwo.

Pierwszy uśmiechnął się drugi nawigator, a zaraz za nim pozostali członkowie załogi, ludzie należący do starej, dumnej i szlachetnej rasy mieszkańców Kriony.

\* \* \*

Konsul Olsen i dowódca Straży Miejskiej WaraJu przybyli na kosmodrom. Sam budynek portowy prawie nie ucierpiał. Wybuch, który zniszczył dyspozytornię, wybił tylko okna i zerwał kilka płyt z dachu.

W cieniu budynku, ledwie widoczni zza kłębow rudego kurzu i sami tym kurzem przysypani siedzieli trzech chmurni inżynierowie z załogi „Szkwału”.

Olsen przywitał się z nimi. Inżynierowie wstali. Znali już konsula, który poprzedniego dnia się nimi opiekował.

— Czy już coś wiadomo? — zapytał jako pierwszy inżynier Salandn. Przeciągnął ręką po gęstej kędzierzawej czuprynie i w rudej dotychczas czapie włosów ukazało się czarne pasmo.

— Nie — odpowiedział ze smutkiem Olsen.

— Dziwne. — Salandri był uparty i nie zamierzał godzić się ze złymi wiadomościami. Ostatni z całej załogi uwierzył w to, że dwudziestu inżynierów i pilotów najnowocześniejszego grawilotu pozostało bez zajęcia na dalekiej, obcej planecie nie wiedząc nawet co się stało z ich statkiem i jego kapitanem.

Kosmonauci znali też WaraJu, dowódcę Straży Miejskiej. Wczoraj WaraJu usiłował wyjaśnić, czy na pokładzie „Szkwału” nie było jakiegoś maniaka, który mógłby porwać statek. Być może sam w tę wersję nie wierzył, ale trzymał się jej przez parę godzin. Wiadomo już było, że zniknął Prug Brendyjski, że PetriA została zamordowana, że Andrew Bruce z kapitanem pojechali nocą na kosmodrom. Znalaziono nawet parowy samochodzik, którym tam dotarli, jak również ślady gaśnic wozu bojowego. Wszystko wskazywało na to, że porwanie statku było dziełem Pruga, Delfina Brendyjskiego, ale wbrew oczywistości dowódca Straży Miejskiej nie chciał rozstać się z nadzieją, że chodzi tu o jakieś czysto galaktyczne porachunki. Ogrom przestępstwa, jego nieprawdopodobieństwo, a przede wszystkim bezsens nie mieściły mu się w głowie.

Tego pierwszego zwariowanego dnia, kiedy do miasta dotarła wiadomość o jakimś wybuchu na kosmodromie, kiedy wiele osób na własne oczy widziało wznoszący się krąg grawilotu, WaraJu starał się nie dostrzegać rzeczy jasnych jak słońce.

Był człowiekiem trzeźwym i doskonale wiedział, że nikomu na planecie statek kosmiczny nie mógł być potrzebny, i że gdyby nawet jacyś bandyci połasczyli się na jego zawartość, to nigdy nie odważyliby się wlecieć w niebo. W dodatku najbardziej nawet zatwardziały bandyta nie odważyłby się nawet zbliżyć do statku, który przecież był Wielką Tajemnicą.

Na kosmodromie Olsen zwrócił się do inżynierów, którzy usiłovali rozeznac się jakoś w szczątkach dyspozytorni:

— Jest nadzieja?

W głębi duszy liczył, że Salandri powie: wieczorem wszystko będzie w porządku. W oczach filologa Olsena inżynierowie z grawilotu mieli cudowną, nadnaturalną władzę nad maszynami.

— Nie bardzo jest na co liczyć — zmartwił go Salandri.

Poszarpane resztki radiostacji i innych urządzeń, wyciągnięte spod gruzów dyspozytorni, leżały pod ścianą obok inżynierów. Części była cała masa.

— No nic — uspokoił sam siebie Olsen. — W Centrum już wiedzą. Niebawem będzie tu krążownik patrolowy.

Popatrzył w rozżarzone, białe niebo, jakby krążownik mógł się na nim w każdej chwili pojawić.

— Daleka droga — odezwał się pierwszy oficer, którego nazwiska Olsen nie potrafił sobie przypomnieć. Trzymał na dłoni złocisty kryształ z obtłuczonym wierzchołkiem. Kryształ był żywotnie ważnym elementem radiostacji. Olsen o tym nie wiedział.

Wytarł rudą chusteczką zakurzone czoło.

Wrócił WaraJu, za którym włókł się zakurzony strażnik.

— Jedziemy do szpitala — powiedział WaraJu. — Trzeba pogadać z dyspozytorem. Jeżeli naturalnie nie jesteście zmęczeni — dodał uprzejmie.

Olsen był zmęczony do nieprzytomności, ale oczywiście nie odmówił. Tym bardziej, że jego samochód był najszybszy w mieście. Kosmonauci zostali.

Pół godziny później byli w szpitalu.

Szybko wbiegli do okrągłego westybulu.

Panowało w nim zamieszanie.

Strażnik i sanitariusz trzymali za ręce ponurego draba w zielonej lekarskiej todze.

Okazało się, że ten człowiek dziesięć minut temu dostał się do izolatki dyspozytora, który akurat odzyskał przytomność i drasnął go strzałką bez cechy.

Zostali jeszcze w mieście wierni słudzy Pruga Drugiego, Delfina Brendyjskiego.

WaraJu i Olsen tkwili w pokoju, gdzie lekarze raczej ze strachu przed szefem policji niż wierząc w skuteczność swoich poczynań starali się ożywić martwego dyspozytora. Morderca, choć strażnik i sanitariusz krzepko go trzymali, zdążył jednak połknąć truciznę.

\* \* \*

Planeta Ar–A nie była zupełnie pusta. Istniały na niej zwierzęta, a nawet potomkowie ludzi — amlaki. Właśnie potomkowie, bo nie ma tu lepszego określenia.

To były milczące stwory żyjące w niewielkich hordach, prawie bezbronne wobec drapieżników, ale w owym czasie zachowujące jeszcze resztki inteligencji, która pozwalała im przetrwać w ich okrutnym świecie.

Amlaki — nazwa wzięła się z onomatopei, bo stwory nieustannie mruczały am–lak–am–lak–am–lak — nie czuły żadnego związku z ruinami miast, ale jakiś instynkt ciągnął je czasem do skarbców. Instynkt ten był tak przemożny, że śledząc miejsca pobytu amlaków można było odszukać skarbcę.

Ludność Ar–A musiała wyginąć szybko, ale nie od razu. Proces zagłady jakiś czas jednak trwał. Ostatni rozumni mieszkańcy planety — ci, którzy znajdowali się na najmniej skażonym kontynencie — nie tylko zdążyli ukryć w pieczarach najcenniejsze wedle nich rzeczy i broń (nikt z nich do końca nie pojmował, że są ostatnimi świadkami samobójstwa całej planety), ale prowadzili także do końca notatki, zapisywali wszystkie ważne wydarzenia. Czekali, aż to wszystko się skończy i — nic w tym zresztą dziwnego — wyobrażali sobie ów koniec śmierci i nieszczęść jako ostateczne zwycięstwo nad wrogiem. Obie strony myślały tak samo, choć ofiary ponoszone przez wszystkich były tak wielkie, że ich bezowocność bardziej obrażała zdrowy rozsądek niż rodziła strach przed wszechogarniającą śmiercią.

Wszechogarniająca śmierć to coś nader abstrakcyjnego. Bardziej abstrakcyjnego niż własna śmierć. Może zginąć wielu, ale przecież nie ja, może zginąć wielu, ale nie my wszyscy. Taki już jest człowiek niezależnie od tego, w jakim miejscu Galaktyki żyje.

Środki wojny genetycznej zakładały całkowite unicestwienie wroga. Właśnie: wroga. Ale na wojnie, kiedy broń ofensywna przerośnie defensywną, żadne antidota nie mają szans. Żeby były skuteczne, potrzeba by było jeszcze kilku lat pracy. Jednak stratedzy i uczeni tak byli skorzy do zabijania, że przy okazji sami zginęli nim zdążyli wymyślić jakiś ratunek. Prawdziwe prace nad wytworzeniem antidotum zaczęły się dopiero wówczas, kiedy było już za późno. Te rozpaczliwe próby los z góry skazał na niepowodzenie choćby dlatego, że już nie było środków na eksperymenty i brakowało ludzi. Z każdym dniem walka z dżinem wypuszczonym z butelki słabła. Wtedy zaczęły spadać głowy tych, którzy lekarstwa wynaleźć nie potrafili, bowiem generałowie podejrzewali wciąż malejącą armię uczonych o niechęć do intensywnej pracy, a nawet więcej: o to, że dawno już owo antidotum wynaleźli, tylko starannie ten fakt ukrywają.

W odnalezionych przez archeologów dokumentach znalazły odbicie te ostatnie wybuchy energii — ostatnie pogromy, które tylko przyspieszyły powszechną zagładę.

Ci, którzy przeżyli, pozbawieni zostali rozumu i zamienili się w nieme, człekopodobne stwory nieświadome naturalnie tego, że kiedyś były gigantami.

Ar–A to znakomity przykład triumfu wynalazku, który przywiódł do zguby i wynalazcę, i cały system, który go stworzył. Była w tym widocznie jakaś wyższa sprawiedliwość, bo przecież wynalazek miał na celu unicestwienie istot ludzkich. Zabijanie. Zabijanie „obcych”. Ale na wojnie, jak na wojnie — nie starczyło czasu na zastanowienie i zabito wszystkich.

Szef ekspedycji archeologicznej Timothy Brown był naturalnie trochę zaniepokojony

zerwaniem łączności, ale zbyt się nie zmartwił, bowiem „Szkwał”, jak to zapowiadano wcześniej, miał przybyć na Ar-A dopiero za dwa dni. Dlatego pierwszego dnia wszyscy normalnie pracowali. Z rana zaczęli badać podziemia w martwym mieście, obiecujące wiele ciekawych odkryć. W czasie ostatniej wojny znajdował się tam sztab frontu i arsenał.

Na obiad archeologowie wrócili pod kopułę. Elsa, żona Timothy’ego zajęła się przygotowaniem posiłku, a mechanik Lwin postanowił wreszcie naprawić archeorobota Hermesa, który w czasie swego ósmego sezonu polowego zaczął się nagle rozpadać. Sam Brown wziął się do przeglądania dokumentów przyniesionych z podziemia.

Właśnie wtedy w odległości trzech kilometrów od kopuły wylądował „Szkwał”. Usiadł miękko, bezdźwięcznie, jakby się skradał. Brown odczuł drgnięcie ziemi, ale uznał to za wstrząs sejsmiczny. Nie zdziwiło go to, ponieważ wiedział, że okolica znajduje się w strefie aktywności wulkanicznej.

— Słyszałeś, Tim? — zapytała z kambuza Elsa. — Omal mi filizanka z ręki nie wypadła.

— Tu nic nam nie grozi — uspokoił ją Timothy.

\* \* \*

Prug nie miał zamiaru tracić czasu. Kiedy tylko „Szkwał” dotknął gruntu na polanie, gdzie zawsze siadały lądowiki i radary zaświadczyły, że nikt ich nie oczekuje, rozkazał wytoczyć łazika, obsadzić go dziesięcioma wojownikami i zabrać do niego Focjusza van Kuuna. Postanowił najpierw zdobyć obóz archeologów, a potem nie zwlekając ruszyć do arsenałów. Sam zdecydował się na dowodzenie wyprawą, która rokowała łatwy sukces.

I stałoby się tak, jak zamierzał Prug, gdyby nie nieoczekiwany postęp Focjusza van Kuuna.

Wyprowadzili go do otwartego luku.

Wojownicy stanęli przy wyjściu i coś tam między sobą szeptali. Panująca wokół cisza skłaniała ich do zachowania czujności myślowych, którzy znaleźli się w nieznanym lesie. Pustać porośnięta rzadką trawą schodziła w dół ku wilgotnemu lasowi, za którym wznosiły się zamglone, niebieskawe wzgórza. Dziwna cisza, brak wiatru, niskie chmury gęstniejące w oczekiwaniu deszczu — wszystko to napępniało ich lękiem.

Focjusz van Kuun stał z boku, we mgle, na odległość wyciągniętej ręki od skrajnego wojownika. On również patrzył przed siebie, ale widział zupełnie inny obraz. Widział znaną już sobie polanę, za którą będzie wzgórek porośnięty krzywymi kolczastymi drzewami, a dalej, jeśli obejdzie się górkę wąską ścieżyną, trafi się na następną polanę, gdzie oczekuje go domatorka Elsa i milkliwy Timothy Brown, gdzie Lwin śpiewa teraz niezrozumiałe dla europejskiego ucha birmańskie pieśni i jak zawsze coś majstruje nie podejrzewając, że statek, na który z taką niecierpliwością czekają, to upiór kryjący w sobie śmiertelny wirus wrogości. I że owe stwory, które teraz półgłosem rozmawiając stojąc obok niego, mogą w ciągu minuty zamienić się w okrutne monstra.

Jeden z wojowników powiedział coś nagle nieco głośniej. Reszta roześmiała się. Focjusz van Kuun zerknął na ich białe nogi. Śmiech wojowników wydał mu się złowieszczy.

Źle zrozumiał jego przyczynę.

DrokU, starszy wojownik pochodzący ze szlacheckich, złotowłosego bohatera ze starannie zaplecionymi i wysmarowanymi tłuszczem wąsami powiedział, że dobrze by było, gdyby giganci wyginęli, ale pozostawili tu swoje żony. Właśnie z tego żartu śmieli się żołnierze.

Jasne, że jeśli pisze się o przedstawicielu wielkiej i mądrej cywilizacji galaktycznej, to milej jest przedstawiać go jako człowieka, którego nie zdoła złamać bicie ani najwymyślniejsze tortury. Dać wyraz przekonaniu, że prawdziwy intelekt gardzi bólem i męczarniami. W rzeczywistości sprawy

miewają się inaczej. Focjusz van Kuun był wystraszony, upokorzenie i ból nadal żyły w jego ciele. Ale rosła też w nim nienawiść do tych, których nazywał w myślach stworzeniami, jako że od dzieciństwa przyzwyczajony był do dostrzegania określonych znaków i cech odróżniających ludzi od istot nierozumnych, a okrucieństwo było dla niego dowodem braku rozumu. Nienawiść ta była bezpłodna, żywiła się mściwymi marzeniami wychłostanego dzieciaka. Plany zemsty były potężne i nierealne. Focjusz van Kuun starał się wierzyć, że nastąpi moment, w którym władczo odezwie się do dręczycieli i mocarnym ramieniem roztrąci ich na wszystkie strony...

Zdawał sobie sprawę z tego, że trójka archeologów, to ostatni wolni ludzie na planecie. Rosła w nim niecierpliwość, nieprzeparta chęć działania. Nie wiedział jak powstrzymać piratów, ale bezczynność była nie do wytrzymania...

Zaczął mżyć drobny kapuśniaczek. Kropelki deszczu wzbijały kurz na pochylni i zaciągały mgłą las i wzgórze.

Focjusz van Kuun patrzył na samochód i dziwił się, że nikt go nie pilnuje. Przecież ktoś może podbiec do niego, porwać i pojechać do obozu! I nagle zastanowił się, kto mógłby to zrobić. Pilotów pozamykano w kabinach. I wtedy zrozumiał, że myśląc „ktoś”, myślał właściwie o sobie. Przecież to on może dopaść łazika, wskoczyć do środka przez otwarte boczne drzwiczki i pognać do obozu...

W myślach pędził już do samochodu, garbiąc się i klucząc, żeby nie mogli go trafić z dmuchawek, wskakiwał do środka i nawet zatrzaskiwał właz. Westchnął z ulgą i dopiero wtedy pojął, że w ogóle nie ruszał się z miejsca i dalej stoi za plecami wojowników.

Z tyłu, w korytarzu, rozległy się głosy. Górale spieszyli do wyjścia, żeby ruszyć do obozu ekspedycji. I ten gwar jakby uderzył Focjusza van Kuuna w plecy.

Rozpaczliwie odepchnął DrokU, omal nie zwałił z nóg innego wojownika i rzucił się po pochylni w dół.

Zapomniał przy tym, że należy się pochylić i kluczyć bo okazało się, że do łazika jest o wiele dalej niż przypuszczał. Dlatego wszystkie siły skupił wyłącznie na tym, żeby dobiec do niego.

Zaskoczeni wojownicy Pruga nie od razu zaczęli strzelać i nie od razu rzucili się w pogoń za archeologiem.

Van Kuun wdrapywał się już przez otwarty luk, kiedy jedna ze strzał trafiła go, na szczęście przecinając mu tylko rękaw. Focjuszowi van Kuunowi wydało się, że ktoś go chwycił za rękę, krzyknął więc rozpaczliwie, rozrywając mocną tkaninę bluzy i rozbijając sobie policzek.

Po paru sekundach na tyle doszedł do siebie, że zamknął i zarygłował od środka właz.

W pokrywą włazu uderzył topór bojowy DrokU.

Skurczywszy się na siedzeniu kierowcy van Kuun uruchomił silnik i ruszył do przodu. Nie przyzwyczajony do takiego brutalnego traktowania łazik podskoczył, ale to była solidna maszyna. Wyprostowała się i popelzła ostro do przodu, wrywając gąsienicami trawę i zlepiony deszczem kurz.

DrokU pobiegł kilka kroków za łazikiem, grożąc mu zaciśniętą pięścią, potem wydmuchnął za nim strzałką i wreszcie się zatrzymał. Łazik gnał ku zaroślom. Po dwóch minutach skrył się w ich gąszczu.

\* \* \*

WosenJu włączył interkom i zameldował Prugowi Brendyjskiemu o ucieczce archeologa. Mówił szybko i kilka razy powtórzył, że stało się to zanim on zdążył wyjść na zewnątrz.

— Zabiję cię! — warknął Prug. — Jak go doścignąć?

— Wyprowadzę drugi łazik.

— Sam nim pojedę!

Delfina Brendyjskiego opanowała zimna wściekłość, która jednak nie przeszkadzała mu w trzeźwej ocenie sytuacji. To, co się stało, mogło zniweczyć wszystkie jego plany i to akurat w momencie, kiedy był już tak bliski celu. Nie miał drogi odwrotu. Postawił wszystko na jedną kartę, a przegrana oznaczała śmierć i gorszą od niej utratę honoru. Wściekłość Pruga potęgował fakt, że jego zausznik okazał się człowiekiem niepewnym. Wprawdzie związał z nim swoje losy, ale należał do innego klanu. DrokU, starszy górali, też nie jest zupełnie pewny. Wprawdzie to prawdziwy góral, ale gdzie był przez wszystkie te lata? W mieście. Co w nim robił? Komu służył?...

Grodź przedziału transportowego rozsunęła się powoli.

— Wsiadaj, władco — wychrypiał WosenJu.

Jak on mnie nienawidzi, pomyślał Prug. Lepiej nie odwracać się do niego plecami.

— Wybacz mi. WosenJu — powiedział, choć nie powinien tak się zwracać do zwykłego szaraka. — Uniosłem się, ale teraz wszystko się decyduje. Jeżeli nie zdążymy, to koniec z nami. Jeżeli pojmy ich, będziemy obaj władcami całej Pe-U.

— Słucham cię, panie — odparł WosenJu otwierając włącznik łazika.

\* \* \*

Timothy wyjrawszy przez okno zauważył, jak do obozu zbliża się pędem łazik. Łazik był obcy i wziął się nie wiadomo skąd. — Lwin, Elsa — powiedział. — Mamy gości.

— Jak mogliśmy przegapić statek? — spłoszyła się Elsa. — A ja jeszcze nie przygotowałam obiadu! Focjusz na pewno jest głodny.

Wybiegli na zewnątrz akurat w momencie, kiedy włącznik łazika otworzył się i wypadł z niego Focjusz van Kuun. Był dziwnie ubrany. W poszarpanej kurtce włożonej na gołe ciało i boso.

Zrozumiał, że Focjusz jest sam. Timothy podbiegł do niego.

Za nim Lwin. Elsa, która także podbiegła do drzwiczek zobaczyła, jak obaj podnieśli van Kuuna, który zaczął szybko i niemal niezrozumiale bełkotać:

— Szybciej! Gonia mnie... Szybciej, mówię. Dajcie mi spokój!

Timothy i Lwin doprowadzili go do kopuły. Elsa podbiegła do łazika i zajrzała do wnętrza, bo wydawało się jej, że ktoś tam jeszcze jest. Ale wewnątrz pojazdu było puste.

Kiedy dogoniła mężczyzn, ci już wnieśli opadłego z sił Focjusza do wnętrza. Van Kuun był prawie niepoczytalny.

— Co ci jest? — jęknęła Elsa.

— Szybciej — mamrotał van Kuun, który dorwał się do stołu, schwycił bułeczkę z talerza i zaczął ją chciwie żuć.

— Nie dawali mi prawie jeść — powiedział. Czemu tu jeszcze sterczycie?! Oni tu zaraz będą!

— Trzeba go opatrzeć.

Focjusz poderwał się. Mówił już resztkami sił:

— Za dwie minuty tu będą! Zabierzcie mapy i schematy wykopalisk. Nic więcej! I broń! Łazikiem do lasu i dopiero tam będziemy opatrywać rany. Statek porwali bandyci. Wszyscy w niewoli.

I upewniwszy się, że to co mówi dotarło wreszcie do słuchaczy, miękko osunął się w ramiona stojących obok archeologów.

— Co on powiedział? Co on powiedział? — dopytywała się Elsa. — Czy on bredzi?

— Elsa, natychmiast zbierz schematy wykopalisk, wszystkie taśmy z danymi i do łazika! — rozkazał Timothy. Lwin, apteczkę i żywność...



Lwina już obok nie było.

A Elsa wciąż jeszcze stała jak wmurowana. Podobnie jak inni uczestnicy tej historii nie mogła uwierzyć w to, co się działo niejako poza jej doświadczeniem, poza granicami jej pojmowania.

— Co się stało? — zapytała. — Jest chory? Napadli go?

— Potem będziemy się zastanawiać. Jeśli za dwie minuty nie znajdziesz się w łaziku, odjeżdżamy bez ciebie!

Ale Elsa i teraz nie ruszyła się z miejsca. Znała swojego męża równe dwadzieścia lat, znała go w chwilach dobrych i złych, ale nigdy nie słyszała takiego tonu.

— Timothy, błagam cię!

Ale Timothy jakby przestał ją zauważać. Zaczął nieść Focjusza van Kuuna do łazika.

— Tak nie można! — krzyknęła Elsa. — Trzeba go opatrzyć! Przecież on krwawi!...

Elsa jeszcze nigdy w życiu nie znalazła się w sytuacji, której nie potrafiła zrozumieć. Była dumną kobietą. Nie potrafiła zginać karku. Ani Lwin, ani Timothy też nigdy nie zetknęli się z piractwem, ale Timothy Brown spędził kiedyś pół roku na planecie, na której nieoczekiwanie zrywały się gwałtowne burze piaskowe i widział, jak jego przyjaciel, który nie wierzył, że natychmiast musi uciekać do kryjówki — zmarudził i zginął. Lwin był alpinistą, wspinaczem, cichym, upartym i zawziętym, potrafiącym ustępować innym w imię zwycięstwa i nie traktować tego jako upokorzenia. Obaj więc mieli doświadczenie życiowe, doświadczenie płynące ze spotkania z prawdziwym niebezpieczeństwem. Uwierzyli więc Focjuszowi van Kuunowi, choć nigdy nie słyszeli o Delfinie Brendyjskim i jego roszczeniach do tronu.

Timothy wciągnął Focjusza do otwartego włazu i położył na podłodze kabiny. Niósł go sam, spieszył się, potknął o wysoki próg i van Kuun krzyknął przy tym nie odzyskując przytomności.

Timothy rzucił się z powrotem do włazu i ledwie zdążył odskoczyć, bo akurat w tym momencie Lwin wepchnął do środka kontener z medykamentami.

— Gdzie Elsa? — krzyknął Timothy.

Lwin odwrócił się i chwycił drugi pojemnik z żelaznymi racjami żywności.

— Idzie — odpowiedział.

Elsa rzeczywiście w końcu oprzytomniała i nie dała na siebie czekać. Podbiegła z naręczem taśm i notatników, całą dokumentacją ekspedycji, gubiąc po drodze luźne kartki i błony. Timothy wyskoczył jej na spotkanie.

W owej chwili gorączkowy stukot własnych serc usłyszeli szum silnika. Zbliżał się drugi łazik.

Na sekundę zamarli, a potem, pomagając sobie nawzajem, wpełźli do środka wozu, a Timothy szarpnął rozrusznik.

Silnik natychmiast zaskoczył i łazik ruszył. Trzęsło nim i rzucało. Elsa usiadła na podłodze i podtrzymywała głowę van Kuuna na kolanach. Lwin otworzył apteczkę i opatrywał zraniony policzek archeologa.

Brown skierował samochód w prawo, wjechał do płytkiej, bystrej rzeczki i pojechał z jej prądem, chociaż wiedział, że nie zatrze w ten sposób śladów gąsienic.

„Żeby to diabli wzięli — pomyślał omijając co większe kamienie kim ci bandyci mogą być? Zbuntowana załoga? Niemożliwe. Piraci kosmiczni? To pomysł rodem z powieści przygodowej. Może na Pe-U stało się coś niezwykłego? Czytałem kiedyś, że są tam jacyś izolacjoniści.”

I nagle zrozumiał, dokąd powinien samochód poprowadzić. Zresztą kierował się tam od początku — podświadomie.

Do nowego wykopu w martwym mieście.

Stare wykopy z tak zwanymi skarbcami były o wiele bliżej i można było do nich dotrzeć w ciągu dziesięciu minut, po czym skutecznie ukryć w tamtejszych labiryntach. Ale przed skierowaniem się tam powstrzymały go dwie rzeczy: po pierwsze słowa Focjusza, że trzeba zabrać

wszystkie plany i schematy wykopalisk, a po wtóre fakt, że van Kuun zabrał ze sobą wszystko, co dotyczyło wyników dotychczasowych prac. Jeżeli dokumenty te wpadły w ręce prześladowców, to znaczy, że znają oni owe labirynty nie gorzej niż sam Brown.

Dlatego po jakichś dwustu metrach skręcił z koryta rzeczki w łożysko wyschniętego kanału. Łazik od razu osiadł. Dno kanału było gdzieś wyłożone płytami, ale na całej długości pokrywała je gruba warstwa mułu. Gąsienice buksowały, boczne okienka pokryły się błotem.

Potem wydostał się na dawną ulicę. Od czasu do czasu wśród zieleni migały resztki fundamentów i mury niskich budynków. Dalej była wielka wyrwa o łagodnych zboczach, na której dnie stała woda. Na brzegu siedziały trzy amlaki. Jeden z nich na odgłos pracującego silnika uniósł głowę i odprowadził samochód obojętnym wzrokiem.

Wjazd do podziemia — byłego schronu czy też podziemnej fabryki znajdował się zaraz za szkieletem jakiejś wielkiej budowli, przypominającym skamieniałe szczątki gigantycznego dinozaura. Nie wiedzieli, jak daleko to podziemie się ciągnie. Brown doszedł do wniosku, że tam będzie się najlepiej ukryć, bo wśród masy wszelkiego żelastwa łazik będzie bezpieczniejszy niż w najpotężniejszej twierdzy.

\* \* \*

W martwym mieście Prug zgubił ślad archeologów. Ruiny, zgliszcza, poplątane kłęby przerdziałego metalu, na wpół zasypane wyrwy w ziemi... W tym chaosie najczulsze nawet indykatory były bezsilne.

Ale mimo to — uparcie i wytrwale — Prug zmuszał WosenJu do krążenia po mieście, po niekończących się ulicach. Wojownicy siedzieli w milczeniu. Takiego miasta jeszcze nigdy nie widzieli. Wydawało się im nawet, że nigdy już się z niego nie wydostaną.

W końcu łazik po raz trzeci znalazł się na placu z ogromną, zalaną wodą wyrwą pośrodku. Prug wydał rozkaz zatrzymania się.

Wygramolił się z wozu i długo stał rozglądając się dokoła.

Na wzgórzu, w które zamienił się zburzony dom, pojawiły się uspokojone ciszą amlaki. Prug znał je z opowiadań van Kuuna i wiedział, że te żałosne wyrodki, potomkowie gigantów, nie są dla nikogo groźne. Żeby wyładować kipiącą w nim złość, wystrzelił w nie cały magazynek automatu. Z wierzchołka wzgórza rozległ się pisk podobny do płaczu niemowlęcia.

Prug uśmiechnął się:

— Mimo wszystko zwyciężymy — powiedział. — Bogini Or-O nas nie opuści.

— Bogini nigdy nas nie opuści! — odpowiedzieli nierównym chórem wojownicy.

WosenJu milczał. Marzył o tym, żeby czas cofnął się o tydzień, a on znów znalazł się w spokojnej siedzibie Floty Kosmicznej. I żeby nigdy w życiu nie spotkał Pruga Brendyjskiego.

— Chodź tutaj, KraJu — rozkazał Prug.

Potężny stary wojak, najlepszy wśród jego ludzi tropiciel śladów wygramolił się z łazika.

— Zostaniesz tutaj — powiedział Prug. — Będziesz moimi oczami i uszami. Weź broń i radiostację. Zrozumiałeś? Jak tylko usłyszysz jakieś podejrzane szmery, jak tylko ich zobaczysz — natychmiast mnie zawiadom.

— Zrozumiałem, wodzu — odpowiedział stary wojownik. — Nie boisz się?

— KraJu się nie boi.

Bał się, ale gorszą od śmierci hańbą byłoby przyznanie się do tego swojemu wodzowi.

— Panie — z łazika wychyliła się głowa młodszego brata KraJu — może i ja tu zostanę?

— Nie — odparł Prug. — Będziesz mi potrzebny.

Łazik powoli potoczył się dalej.

KraJu ostrożnie wspinał się na ruiny. Czekał. Nasłuchiwał.

W drodze powrotnej na statek Prug rozkazał zatrzymać się przy starych wykopaliskach. Znał je z planów i fotografii zabranych Focjuszowi van Kuunowi. Bomba trafiła tam kiedyś w podziemne magazyny i rozbiła grube stropy. Archeologowie znaleźli pod nimi mnóstwo interesujących materiałów. W potrzaskanych skrzynkach leżały stopione od żaru pociski, skorodowane, pogięte lufy dział sterczały z ziemi, poniewierały się bezkształtne bryły metalu, które niegdyś były wozami bojowymi.

Gniew Pruga ustąpił miejsca zmęczeniu. Kiedy Focjusz van Kuun mówił mu, że broń z arsenałów Ar-A nie nadaje się do użytku, uważał to za dowód sprytu archeologa. Teraz jednak przekonał się, że ten ślimak miał rację.

— To jeszcze o niczym nie świadczy — powiedział trącając noskiem złocistego buta przeżartą rdzą lufę.

— Słucham, panie? — nie rozumiał go WosenJu.

— Tu jest zła broń. Gdzie indziej będzie dobra.

Prug wskazał ręką w stronę martwego miasta.

— Zawracamy? — zapytał WosenJu.

— Wojownicy! — wykrzyknął Prug, który życzył sobie, żeby wszyscy widzieli, że przestrzega starych obyczajów. — Jutro odnajdziemy wielkie bogactwa. A dziś możecie zabrać z tego domu wszystko, co się wam może przydać!

I szerokim gestem wskazał upadającym na duchu żołnierzom kopułę ekspedycyjną archeologów.

\* \* \*

Czego oni tu szukają? — zapytał Lwin, który stał u wejścia do podziemi i patrzył, jak krople drobnego deszczu rozpryskują się o nierówny bruk jezdni. — Po diabła tu przylecieli?

— Wierzą w arsenały Ar-A — odparł Focjusz van Kuun.

Elsa przyniosła im po kawałku kulebiaka.

— Dobrze zrobiłam, że zabrałam kulebiak. Przynajmniej zjecie jak ludzie. Mówisz, że to dzicy?

— W pewnej mierze — odpowiedział Focjusz. — Zachowują się jak barbarzyńcy... Wiecie, że na Pe-U znalazłem żołnierzyki? Obawiam się, że mi je zniszczą.

— A, żołnierzyki! — ze zrozumieniem wykrzyknął Lwin.

— Ale dlaczego my tu właściwie stoimy! — poderwał się nagle Focjusz van Kuun. Przecież ciągle wam powtarzam, że to barbarzyńcy! Oni są zdolni do wszystkiego.

Chociaż raz już był w rękach górali, teraz zapomniał o własnym upokorzeniu i bólu. A właściwie nie zapomniał, tylko postanowił się za wszystko zemścić.

— Co proponujesz? — zapytał Timothy Brown.

Starannie dojadł kawałek kulebiaka, zebrał okruszki ciasta na dłoń i wsypał je do ust.

— Ja? — van Kuun nie bardzo wiedział, co należy zrobić. — Pojechać teraz do statku. Jak tylko się ściemni. Weźmiemy go szturmem. Pokonamy strażę i uwolnimy naszych. To oczywiste.

— Statek stoi na otwartej przestrzeni — zauważył Brown. — Wejście jest tylko jedno, a bandyci są uzbrojeni.

— No więc co?! Mamy stać i czekać? Tak?! Stać i czekać? A oni ich tam pozabijają. Nic cię to nie obchodzi?! — rozszalał się van Kuun.

— Spokojnie, Focjuszu — powiedziała Elsa. — Wiesz, jaki Timothy jest rozsądny. Na pewno coś wymyśli.

Ale Brown nie potrafił nic wymyślić. Nie umiał posunąć się poza stwierdzenie, że siedzenie z

założonymi rękami istotnie nic nie da. Należałoby pojechać do bazy, zobaczyć czy tamci przypadkiem sobie nie poszli i zabrać wszystko, co może być potrzebne. Uciekali tak szybko, że o wielu rzeczach zapomnieli.

— To jedziemy! — powiedział Focjusz. Wyprowadzaj łazik i ruszamy.

— Myślę, że lepiej byłoby, gdyby Elsa tu została — zauważył Brown. — Elsa i któryś z nas.

— Chcę jechać z wami — powiedziała Elsa.

— Nie, kochanie — Brown był stanowczy, więc Elsa skinęła głową. Przywykła mu się podporządkowywać, była bowiem szczęśliwą kobietą, która od dwudziestu lat wierzyła, iż jej mąż jest najlepszym i najrozumniejszym człowiekiem w całej Galaktyce. A że czasami zdarza się jej stawać okoniem, jak dzisiaj, to przecież najpotulniejszej się przytrafi... — Kto zostanie z Elsą?

Popatrzył na Lwina.

Małeńki Birmańczyk pokręcił przecząco głową.

Nie chciałbym zostawać — powiedział. Lwin wiedział, że Timothy jest człowiekiem mądrym, ale w odróżnieniu od Elsy mógł mu się sprzeciwić.

Brown chciał powiedzieć, że jest przecież silniejszy od Lwina, że lepiej od niego prowadzi wóz i sprawniej posługuje się bronią. Były to jednak argumenty nie tylko poniżej pasa, lecz również nie w pełni odpowiadające prawdzie. Po prostu nie wyobrażał sobie, że mógł zostać tutaj i czekać nie wiedzieć na co. Ale bał się też pozostawić Elsę samą, choć wiedział, że zabranie jej ze sobą byłoby o wiele niebezpieczniejsze. Zdawał sobie przecież już sprawę z tego, że Prug i jego banda rządzą się zupełnie innymi prawami niż te, do których przywykli ludzie. Tak odmiennymi, że nie można było znaleźć żadnych punktów wspólnych. W świecie bez wojen, w świecie uporządkowanym, rządzącym się prawami humanizmu Prug stanowił wyzwanie dla wszystkich, nie tylko dla całej galaktycznej społeczności, lecz także dla systemu moralnego każdego z jej członków, z którymi zetknęło go zrzęcenie losu. Co innego funkcjonariusze Centrum Galaktycznego, którzy z racji swych obowiązków miewali do czynienia z sytuacjami i istotami o wiele niebezpieczniejszymi niż Prug i dla których jego wojownicze cele były drobiazgiem w porównaniu z prawdziwymi zagrożeniami kosmicznymi. Musiałyby zajść niezwykle zbieg niezwykle okoliczności, żeby z wróblego jaja wykluł się sęp, żeby z drobnego incydentu w skali planetarnej wyniknął wielki gigantyczny konflikt.

Ale skoro już sęp ujrzał światło dzienne, należało traktować go jak drapieżnika. I wszyscy uczestnicy tego dramatu musieli się wewnętrznie przestroić — czy tego chcieli, czy nie. Jeśli można posłużyć się nazbyt obrazowym porównaniem, to archeolodzy znaleźli się w sytuacji mieszkańców miasta zalewanego wodą ze sztucznego jeziora, na którym zawałiła się tama. Wówczas wszyscy komu życie drogie spieszą na miejsce katastrofy z workami piasku, bo przecież żywiołu nie da się przebłagać ani zastraszyć.

Właśnie powaga sytuacji skłoniła Timothy'ego Browna do pozostawienia Elsy w podziemiach, co kłóciło się z wszelkimi możliwymi instrukcjami. Wiedział jednak, że wilki nie zapuszczają się do podziemi, zaś prawdziwie niebezpieczni drapieżcy kryją się na statku.

Rozważając to wszystko Brown zrozumiał, że nie ma dostatecznej władzy nad archeologami, żeby powiedzieć któremuś z nich: „Ty zostaniesz!”

— Elso, bardzo cię proszę — Brown starał się mówić sucho i zwyczajnie — nie odchodź daleko od kryjówki...

— Może się jeszcze nad tym zastanowisz?

Elsa uśmiechnęła się żałośnie. Nie bała się pozostać sama w podziemiach, bała się jedynie o Timothy'ego.

— Przygotuję na wasz powrót dobrą kolację — powiedziała.

I wszyscy zgodzili się, że to znakomity pomysł.

\* \* \*

Długo obserwowali bazę ukryci wśród drzew, żeby przekonać się czy napastnicy nie pozostawili w niej jakiejś załogi. W końcu napięcie stało się nie do wytrzymania i Lwin zakosami dotarł do kopuły. Reszta uważnie śledziła każdy jego ruch, aby w razie czego niezwłocznie pospieszyć mu z pomocą.

Lwin ostatni odcinek dzielący go od kopuły przebiegł, a potem zajął przez okno do środka. Drzwi były w półotwarte. Wślizgnął się do środka, po minucie wyszedł na zewnątrz i krzyknął:

— Chodźcie! Nie ma się czego obawiać!

Kiedy Timothy i Focjusz zbliżyli się, Lwin powiedział:

— Nasze szczęście, że Elsa została. Umarłaby chyba z rozpaczy!

Timothy, wiedząc jakim czyścioszkiem jest jego żona, zgodził się ze zdaniem mechanika. Mało tego, że w stacji wszystko wybebeszono i wywrócono do góry nogami, to jeszcze wszystko wskazywało na to, że rabusie chcieli umyślnie dokuczyć mieszkańcom kopuły. Szczególnie dostało się kuchni. Żalodne resztki odświętnego obiadu, który z taką pomysłowością i pieczołowitością przygotowywała Elsa, rozmazane były po całym pomieszczeniu, a garnkami ktoś najwyraźniej grał w piłkę nożną...

Najgorsze jednak było to, że barbarzyńcy zdawali się nie wiedzieć, gdzie tu jest toaleta i jak się nią należy posługiwać...

Archeolodzy nie mieli tam nic do roboty. Focjusz jak oparzony wyskoczył na zewnątrz i rozwrzeszczał się, wymachując chudymi piąstkami:

— Zmusimy ich, żeby to sprzątnęli! Wylizają to! Wylizają!

— Prymitywna psychika jest jednak zaraźliwa — zauważył Lwin. — Najlepiej widać to na przykładzie naszego kolegi! — A co, nie mam racji?

— Więcej ich tu nie dopuszczę — powiedział Lwin — gdyby nawet chcieli zatrudnić się w charakterze sprzątaczek.

— No dobrze — powiedział Timothy. — Teraz pora na statek. Ściemnia się już, więc będziemy mogli podejść bliżej. Musimy być ostrożni, bo reflektorów lepiej nie zapalać, a na tej naszej taradajce lepiej się bez świateł nie tłuc.

Wrócili do łazika i ruszyli w stronę lądowiska, ale nie na wprost, lecz długim, wygiętym jak jatagan jarem, który winien doprowadzić do grawilotu z flanki. Tam mieli więcej szans na uniknięcie zasadzki.

Był ciepły wieczór. Taki baśniowy, ciepły wieczór, jakie bywają z rzadka na Ar–A pod koniec lata. Niebo, ciemnobłękitne nad głowami wędrowców, purpurowiało na zachodzie, a obłoki, podobne w tym świetle do pylistych kolumn, zieleniały, barwiąc się przy tym na skrajach głębokim, świetlistym oranżem. Rzadkie ptaki — wojna genetyczna mocno przerzedziła również ich populację — krążyły nad ostrożnie pełną łazikiem, którego gąsienice oblepiały całe masy chrząszczy i motyli.

\* \* \*

Stary KraJu, najlepszy myśliwy Klanu Brendyjskiego, który z dmuchawki trafił w ptasie oko, a górskiego niedźwiedzia potrafił wytropić po śladach pozostawionych przez zwierzę trzy dni temu, usłyszał łązik toczący się ulicą. Nie wiedział, skąd wóz przyjechał i nie zdołał po jego śladach pozostawionych na kamiennych płytach jezdni trafić do podziemi, ale dotarł bliżej nich niż

znajdowały się ruiny, w których od jakiegoś czasu tkwił. Stąd też zawiadomił statek o pojawieniu się archeologów.

— W porządku — odparł WosenJu. — Zawiadomię księcia.

— W porządku — powiedział Prug. — Idziemy coś zjeść. Kiedy będą blisko, zawiadom.

\* \* \*

Radary wykryły łazik archeologów w odległości kilometra od statku.

Wracając z nieudanego polowania na gospodarzy bazy, Prug nie mógł się nadziwić, że uprzednio udało mu się podjechać do samej pochylni „Szkwału” i nikt go nie zauważył. Dlatego rozkazał DrokU włączyć na całą noc reflektory, uruchomić czujniki radiolokacyjne i posadzić przy pulpicie sterowniczym WosenJu. A obok niego wojownika, żeby nie pozwolił mu usnąć.

Sam Delfin Brendyjski zdążył się tymczasem pożywić w towarzystwie DrokU, co wyraźnie poprawiło mu nastrój. Miał ogromną ochotę na małą drzemkę i na pewno by sobie pofolgował, gdyby nie kilka pilnych spraw do załatwienia.

Odsunąwszy kaganek i kadzielnicę, pochylił się nad mapą wykopalisk, żeby zaplanować działania na następny dzień. W tym momencie wywołał go WosenJu.

— Wodzu — powiedział. — Widzimy samochód, który powoli zbliża się do statku.

— Daleko? — zapytał Prug.

— Teraz jest w odległości jakichś dwustu kroków. Jedzie zygzakiem, starając się nie wychodzić na otwartą przestrzeń.

— Z której strony nadjeżdża?

— Z tej samej, którą ty wybrałeś, panie.

— Prawidłowo — uśmiechnął się Prug i uśmiech ten utonął w jego tłustych policzkach. — Widać, że potrafią myśleć i zachowują się jak należy. Dobrze, że pozwoliliśmy temu wariatowi uciec. Powiedział im, że jesteśmy dzikimi ludźmi, nierozumnymi jak zwierzęta. Że nie wiemy, jak kierować statkiem. Że nie umiemy patrzeć ze statku na zewnątrz. Przyjdą tu i wezmą nas we śnie! Jakie zuchy! Wyłącz lampy! Niech będzie ciemno! Otwórz drzwi i odwołaj wartowników!

Prug aż zaklaskał w dłonie z uciechy.

DrokU skinął głową:

— Dobrze czynisz, wodzu — powiedział. — Ale istnieje jedno niebezpieczeństwo...

— Mów!

— Może oni mają broń gigantów?

— To też przewidziałem — napuszył się Prug. Dlatego rozkazałem zgasić lampy. Kiedy wróg widzi, że twierdza jest gotowa do walki, nastawia się na szturm i przygotowuje katapulty. Kiedy jednak widzi, że twierdza śpi, a jej obrońcy to głupcy, śmiało wchodzi do środka. W ciemnych korytarzach nie pomoże nawet broń gigantów.

\* \* \*

Timothy dostrzegł z daleka łunę nad statkiem.

— Niedobrze — powiedział. — Czekają na nas.

— Niech sobie czekają — warknął Focjusz van Kuun. — My też poczekamy dopóki nie pójdą spać. Las podchodzi do samego grawilotu. Podczołgamy się do luku i wędzrzymy się do środka.

Lwin milczał.

— Jest nas tylko trzech — zauważył Timothy.

— Wyzwolimy jeńców — upierał się Focjusz van Kuun.

Łazik podtoczył się do skraju lasu. Timothy maksymalnie zmniejszył prędkość.

I w tym momencie reflektory zgasły.

Do tej chwili obecność statku można było stwierdzić po łańcuszkach świateł. Teraz stał się o wiele wyraźniejszy. Zarys jego potężnej soczewki czerniał nad drzwiami.

Timothy gwałtownie zahamował.

— Widzisz! — powiedział Focjusz van Kuun nie ukrywając sarkazmu. — Dzikusy poszły spać.

— Zostańcie tu — rzucił Timothy, szybko otwierając właz i wyskakując na zewnątrz.

Pochylony podbiegł do samego skraju zarośli i zatrzymał się, wbijając wzrok w ciemność. Zdażył na czas.

Oczy zdołały przywyknąć już do mroku i Timothy zauważył, jak ostrożnie otwiera się luk wejściowy, jak zapraszająco wysuwa się na zewnątrz srebrzysta pochylnia. Jakiś cień mignął w otworze luku i znikł.

Statek milczał. Czekał w napięciu na gości.

Timothy Brown wrócił do łazika i zaryglował właz.

Focjusz van Kuun patrzył nań wyczekująco.

— Czekają na nas — powiedział Timothy. — Potrzask gotowy. Można wpadać.

— Skąd mogli wiedzieć?! — zirytował się van Kuun.

— Na statku są radary — odpowiedział Lwin. — Proste.

— Wyście ich nie widzieli! — zaśmiał się nerwowo Focjusz. — To goryle! Nie mają pojęcia, jak co włączyć! Latają na bosaka!...

— Reflektory paliły się — cicho zauważył Lwin. — Reflektory zgasły.

— Otworzyli luk i spuścili pochylnię — dorzucił Timothy.

— Myślę, że pora wracać — odezwał się Lwin.

— Za nic! — wrzasnął Focjusz van Kuun. — Ja zostaję! Pójdę do nich sam! Dajcie mi pistolet!

Timothy siedział z rękami na kierownicy.

— Będzie wojna — mruknął, jakby nie słyszał krzyków van Kuuna. — Na wojnie potrzebna jest broń.

— Nie mamy broni — powiedział Lwin.

— Mamy broń. W podziemiu. Po prostu nigdy nam nie przychodziło do głowy, że to żelastwo znowu będzie zabijać.

— Ta broń nie powinna wpaść w ich łapy — powiedział Lwin.

— I tak to wszystko mamy zostawić? — zapytał van Kuun, gotów już skapitulować.

— Niczego tak nie zostawimy — odparł Brown. — Ale na razie trzeba wracać do miasta.

\* \* \*

Prug obserwował, jak zielona iskierka łazika na ekranie radaru zatrzymała się na parę minut opodal statku, a potem wolno popełzła w stronę lasu.

— Domyślili się — powiedział z rozczarowaniem w głosie. — Nie trzeba było tak nagle wyłączać lamp. Wezwij KraJu.

DrokU włączył nadajnik.

— Nie śpisz, KraJu? — zapytał.

— Nie śpię — rozległ się daleki głos.

— Ci ludzie w samochodzie wracają. Jadą powoli. Usłyszysz ich. Musisz sprawdzić, gdzie się ukryją. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— A teraz spać — powiedział Prug Brendyjski. — Wszyscy spać. Poza tobą, WosenJu. I zamknijcie wejście do statku. Jeżeli któryś z nich tu został, nie chcę, żeby nocą wlaźł do środka. Jutro będzie wielki dzień.

\* \* \*

Statek Floty Kosmicznej „Vacjus” po zmianie kursu leciał ku planecie Pe-U.

Łączności dalekosiężnej jeszcze z nią nie było, ale kapitan „Vacjusa” wiedział, że za dzień lub dwa znajdzie się w strefie łączności planetarnej. Jej nadajnik znajduje się na terenie konsulatu Centrum Galaktycznego i jeśli konsulat ocalał, to dostarczy mu niezbędnych informacji.

\* \* \*

Elsa patrzyła, jak łazik pokonuje wzgórek i znika między ruinami budowli. Nawet kiedy ostatecznie skrył się za lasem i zapanowała cisza, nadal stała przy wejściu do podziemia i patrzyła tam, gdzie widziała samochód po raz ostatni.

Nigdy jeszcze nie musiała zostawać tu sama Całkiem sama Naturalnie zdarzało się, że bywała sama w bazie, kiedy miała dyżur w kuchni lub nagromadziło się wiele pracy, którą należało wykonać w domu. Ale to było co innego. To było właśnie w domu. Mogła zaryglować drzwi i w razie potrzeby połączyć się z Timothyem przez radio. A tu nagle taka głupia sytuacja — wszyscy w strojach wypoczynkowych bez niewygodnych radiobransolet na rękach — kto się będzie męczył z czymś takim w domu? Kiedy uciekali z bazy, to po prostu o nich zapomnieli. Zresztą nie mieli czasu na zastanawianie się.

Kiedy łazik oddalił się, świat zniszczonego miasta przerażony wtargnięciem ludzi zaczął powoli ożywać. Jakby nie życzył sobie zauważać, że Elsa jednak tu została.

Na zrytej deszczami i wiatrami jezdni, wśród trawy rosnącej w szczelinach między płytami bruku przemykały się łańcuszki szarych zwierzaków. Wędrowały całymi rodzinami: duży, mniejszy, jeszcze mniejszy. Stworzenia w rodzaju dużych nietoperzy wylatywały z załomków muru. Nadszedł ich czas, zmrok. Krążyły teraz bezgłośnie nad głowa Elsy jakby przeciągając się po długim śnie. Na krawędzi rozwalonej wieży zarysowała się sylwetka wilka i Elsa drgnęła, odskoczyła w cień i ten moment przerażenia, który zresztą szybko minął, obudził w niej ostrożność, świadomość tego, że nie ma jej kto broni i że powinna być równie czujna i cicha jak pozostali mieszkańcy martwego miasta.

Najmądrzej było wziąć się do roboty, przygotowywać kolację dla mężczyzn i nie pamiętać o tym że pojechali na spotkanie z wrogiem. Właśnie wrogiem. Zapomnieć, że istnieją ludzie którzy omal nie zamęczyli sympatycznego choć narwanego Focjusza van Kuuna, ludzie którzy potrzebują jakichś tam arsenałów czy skarbców. Można całe życie spędzić na wykopaliskach odkryć setki grobów, zbadać tysiące wymarłych miast i nie zdawać sobie sprawy z tego, że odkopane przedmioty mogą mieć jakąkolwiek wartość poza wartością czysto poznawczą. Nawet widząc, że w muzealnych gablotkach w strumieniach miękkiego światła, pośród miękkich aksamitów pamięta się jedynie przyprowadzające o zawrót głowy uczucie szczęścia, kiedy z wilgotnej ziemi, z płataniny przegniłych pni drzewnych z kamiennych odłamków wyłania się nagle cudo, — a właściwie dopiero obietnica cuda — skorupka lub odłamek metalu, łagodnie wygięta szyjka amfory albo szklanego dzbana.

Po wyjściu w Kosmos archeologia musiała się nieuchronnie zmienić. Na Ziemi przedmiotem jej badań był świat prehistoryczny antyczny, w ostateczności średniowieczny, natomiast



kosmoarcheologowie zetknęli się z zupełnie odmiennymi problemami. Rozkopywali nie tylko starożytności zamieszkałych planet, choć naturalnie pozostawało to podstawą ich pracy, ale także ślady zaginionych cywilizacji, które osiągnęły wystarczająco wysoki poziom technologiczny, aby przestać istnieć, stolice państw zniszczonych wojnami, gdzie w bratnich mogiłach znajdowali armaty... Jeszcze boleśniejsze były znaleziska żalonych i majestatycznych resztek muzeów, do których kiedyś tam, wiele stuleci temu inni archeolodzy skrzętnie zwozili i pieczołowicie wystawiali w wysłanych aksamitem gablotach skarby ich starożytnego świata.

Elsa wzdygnęła się i odpędziła latające stworzenie, które przemknęło tak blisko, że powiew powietrza zburzył jej włosy. W mieście mogły kryć się nieznane, groźne zwierzęta. Archeolodzy prawie nigdy nie wychodzili z domu po zmroku i dlatego nie znali nocnego życia planety. Elsa postanowiła wrócić do podziemia, zapalić pochodnię, znaleźć się wśród bezpiecznych ścian.

Weszła do szerokiego korytarza, skręciła w prawo i minęła otwarte drzwi. Tam pod murem złożyła cały dobytek jaki udało się wynieść z bazy.

I nagle usłyszała daleki ludzki płacz.

\* \* \*

Nie było nas blisko dwie godziny — powiedział Timothy. — Ciekawe, jak sobie Elsa bez nas radzi?

Dziwne — zaczął głośno myśleć Lwin, gdy łazik był już niedaleko podziemia w martwym mieście. — W skali Galaktyki, w skali naszych czasów to, co się tutaj dzieje jest tylko malutkim epizodzikiem niewartym nawet wzmianki w lokalnym dzienniku telewizyjnym. Jakies tam książątko z dalekiej planety porwało statek, żeby zagarnąć skarby, jakimi rzekomo włada malutka ekspedycja archeologiczna. Po trzech dniach przylatuje krążownik patrolowy, zamyka książątko do klatki i po wszystkim.

— Nie masz racji — powiedział Brown. To nie jest takie banalne Zabili już kilku ludzi i szykują się do zabicia następnych. A jeśli rzeczywiście uda się im zawładnąć owa bronią, to zabiją bardzo wielu ludzi. I to już nie będzie drobne zakłócenie kosmicznej harmonii. Jesteśmy teraz jedyną zaporą między małymi przestępcami a prawdziwą zbrodnią.

— Ale przecież on musi widzieć, że to kwestia zaledwie paru dni! — wykrzyknął Lwin. — Musi sobie zdawać sprawę z tego, że nikt mu nie pozwoli...

— A jeśli do tego czasu, kiedy ktoś mu da po łapach, nas już szlag trafi? I nie tylko nas. Z boku to wygląda na drobny epizod, ale dla nas jest to sprawa życia i śmierci. Dlatego dalej musimy stawiać czoła problemom, które zawsze były dla nas obce i raczej egzotyczne.

Lwin wdusił pedał gazu. Łazik potoczył się ulicą. Zaraz dotrą do swojej kryjówki. Reflektory jaskrawo oświetlały drogę, wspomagane przez Pe-U gorejącą jasno na niebie. Wyboje wydawały się czarnymi przepaściami, z góry jak egzotyczne zasłony zwisały długie, wąskie liście.

Łazik miękko pokonywał zwały kamieni. Wreszcie stanął w szerokim, podziemnym tunelu.

Brown mrugnął reflektorami. Lwin wyłączył silnik, otworzył właz. Dokoła panowała cisza.

— Elsa! zawołał Timothy Odpowiedziało mu tylko echo.

Wyskoczył z łazika i ruszył do przodu. Lwin powiedział:

— Zobaczę, co się dzieje na zewnątrz.

— Tylko ostrożnie, tam mogą być wilki.

Po kilku krokach minęli złożone pod murem zapasy. Widać było, że Lisa grzebała w nich, zabierając się najwidoczniej do przygotowania kolacji, ale coś oderwało ją od tego zajęcia.

Brown nie zatrzymując się poszedł najciszej jak potrafił w głąb tunelu

\* \* \*

W czasie, kiedy nad martwym miastem planety Ar-A zaczynało szarzeć przed świtem niebo „Vacjus” pierwszy ze statków lotnictwa cywilnego spieszących na Pe-U zbliżył się już do niej na tyle, że jego sygnały odebrała słaba radiostacja konsulatu Centrum Galaktycznego.

Konsul Olsen właśnie zasnął u siebie w gabinecie. Nie zdjął ubrania, żeby w razie czego być natychmiast w pogotowiu.

Spali również kosmonauci, którzy do drugiej w nocy usiłowali sklecić z resztek nadajnik na kosmodromie, spał też pan WaraJu. Dowódca Straży Miejskiej. Czuwano tylko w domu PetriA. Dopóki ciało spadkobierczyni, którą zabrała gwałtowna śmierć, nie zostanie poddane oczyszczającemu działaniu ognia nikomu w domu żałoby nie wolno zasnąć, żeby zwabione nieszczęściem złe duchy nie porwały duszy dziewczyny. Rodzina siedziała w jednym pokoju i powtarzała za sennym kapłanem odpowiednie zaklęcia i stosowne modlitwy.

Sygnał był bardzo słaby, ale zdołał jednak uruchomić brzęczyk w gabinecie konsula. Ten zerwał się z kanapy jakby go ktoś wystrzelił z katapulty, nie zdając sobie sprawy z tego, co się właściwie dzieje. Potem rzucił się do drugiego pokoju, gdzie była zainstalowana radiostacja.

Po minucie przybiegła zapobiegliwa i ruchliwa Helena Kazimirowna, która pod nieobecność miejscowych współpracowników pełniła obowiązki radiotelegrafistki. Konsul miał się przy aparaturze, w żaden sposób nie mogąc przełączyć jej na odbiór.

— Niels — powiedziała Helena Kazimirowna, odsuwając męża — to nie jest zajęcie dla mężczyzny.

— A co jest zajęciem dla mężczyzny? — szczerze zdziwił się Olsen, skwapliwie ustępując miejsca żonie.

— Polityka — odparła Helena Kazimirowna. — Mężczyźni są stworzeni do wyższych celów. W polityce można się o wiele lepiej wyżyć niż w łączności lub gospodarstwie domowym.

— Chyba masz rację, koteczku — zgodził się Olsen. Ale to cudowne, że to wszystko się skończyło!

— Cudowne, jeśli nawiążemy łączność z krążownikiem patrolowym albo statkiem Floty Kosmicznej” Gorzej, jeśli słyszymy tych twoich bandytów...

— Ale skąd by oni... — Konsul potarł skroń. Był tak skołowany, że gotów był uwierzyć we wszystko.

— „Vacjus” — rozległ się głos w radiostacji. — Tu statek Floty Kosmicznej „Vacjus”! — Dalej szedł kod identyfikacyjny statku.

Helena Kazimirowna wprawnym ruchem włączyła ekran informatora. Zielone ogniki potwierdziły autentyczność źródła sygnału.

— Teraz, mój kochany, możesz sobie pogadać o polityce. Flota Kosmiczna spieszy nam na pomoc. Lotnictwo cywilne zawsze było operatywniejsze niż cała twoja dyplomacja!

\* \* \*

Im dalej Elsa zagłębiała się w podziemie, tym bardziej oczywisty stawał się upadek cywilizacji, która pozostawiła po sobie groźne arsenały. Kryjąc się coraz dalej, oficerowie i żołnierze mieli nadzieję, że uciekną przed demonem niosącym śmierć, umkną przed zarazą... W czternastym wieku, w latach „morowego powietrza” tak samo starano się odpędzić zagładę przy pomocy uciezek i modlitw... Korytarze były coraz brudniejsze. Zawodziła już widać dyscyplina wojskowa i ludziom coraz częściej opadały ręce... A oto i ostatnia, ustawiona w pośpiechu

barykada, granica, która odcięła uciekających od świata. Broń, której tak pieczołowicie strzegli, nie była już wówczas nikomu potrzebna. Choć nie... Tu są ślady walki — rozwalone drzwi, zryte pociskami ściany... Ktoś próbował dostać się do środka. Może ostatni nie złamany rozpaczą dowódca potrzebował nabożów i broni, więc wysłał po nie dzipa: rozbity samochód sforsował jednak barykadę i spłonął tuż obok serca arsenału.

Elsa odszukała korytarz omijający znane jej już z poprzednich wykopalisk pułapki—zapadnie i ruszyła nim dalej. Zaglądała po drodze do hał, gdzie na stelazach leżały pociski artyleryjskie i granaty, przechodziła obok nisz pełnych długich skrzyń z karabinami i kulomiotami, brnęła przez rozsypane wszędzie jak ziarno w elewatorze sterty pocisków pistoletowych. Wiele przedmiotów rozpoznawała przez analogię, inne zupełnie z niczym się jej nie kojarzyły.

Poczuła nienawiść do tych zgromadzonych w niewiarygodnych ilościach narzędzi śmierci. Na planecie zebrano tyle broni, że chyba każdego jej mieszkańca można było unicestwić co najmniej trzykrotnie. Ale uczeni wciąż wynajdowali nowe środki mordy, fabryki wciąż je produkowały, a gołowąse podrostki wciąż miały ochotę je wypróbować. Mądrzy politycy sporządzali bilanse sił w przekonaniu, że tylko spotęgowanie i skomplikowanie owych narzędzi śmierci pozwoli im zachować władzę nad szarymi ludkami, o których najłatwiej jest myśleć w kategoriach pułków, dywizji i armii.

I nagle usłyszała szmer.

Szmer dobiegał gdzieś z przodu.

Poczuła, że ktoś ją śledzi.

Jej zmysły były tak wyczulone, że odczuła wiszące w powietrzu napięcie i zrozumiała, że nie jest to przypadkowe spotkanie. I że gdzieś tu czai się Rozum.

Zamarła.

Ten, kto ją śledził, również zamarł. Potrzebne było jedno drgnienie, szmer, echo, żeby korytarz napęlił się ruchem.

I Elsa gwałtownie zwróciła promień latarki w stronę tego, kto ją śledził.

Latarka oślepiła amlaka. Jej światło odbiło się w głębokich, bezmyślnych oczach.

Słabe ręce uniosły się do oczu, chcąc je zakryć. Amlak pisnął. Nieśmiało i cichutko... Po chwili zrozumiał, że może uciekać. Jego kroki głucho i miękko zatupotały po korytarzu.

Elsa ruszyła ostrożnie za nim niemal wstrzymując oddech.

Są blisko. Patrzą i czekają, co zrobi.

Zwróciła latarkę w stronę głębokiej niszy w ścianie. Wiedziała, że je tam zobaczy, bo wyczuła otaczający je zawsze piżmowy, korzenny zapach.

Tuliły się tam do siebie zbyt zmęczone, żeby uciekać dalej. Kilka lub kilkanaście osobników — zapewne jedna rodzina.

Z przodu stał ten sam samiec, którego Elsa najpierw zauważyła.

Starał się osłonić swoją hordę i szczyrzył się po zwierzęcemu, ale nie wyglądało to groźnie: amlaki mają małe, prawie ludzkie usta i krótkie, równe zęby.

Za jego plecami kryła się reszta — dziesięć, może piętnaście sztuk. Trudno się było w ich liczbie połapać, tak bardzo spletały się ich ręce i nogi. Widok był dziwaczny i raczej przykry. Elsa wnet zrozumiała dlaczego. Amlaki zachowywały się jak zwierzęta, bo w rzeczywistości były zwierzętami, ale wyglądały jak ludzie... Bezwłose, błękitnawe ciała, długie splecione grzywy i ludzkie twarze. Ale oczy puste, wielkie i bezmyślne jak ślepia cieląt.

Samice tuliły do siebie swoje maleństwa, starsze dzieci z przerażeniem wyglądały z płataniny ciał.

— Boże! — nieoczekiwanie dla samej siebie powiedziała Elsa. — Boże, do czegoście sami się doprowadzili!

Odpowiedziało jej szuranie, szelest, piski dzieci.

Samiec usiłował zaryczeć. Zamiast tego rozległ się ochryply jęk, a potem zabrzmiało: am-lak, am-lak...

Niemowlę zapłakało.

Dopiero wtedy Elsa zauważyła, że niektóre amlaki są poranione i krwawią i że najbardziej ucierpiało dziecko, które właśnie się rozplakało. Nie wiedziała, że to Prug je postrzelił. Sądziła, że amlaki padły ofiarą napaści wilków. Albo że pobity się między sobą.

— I wy też lubicie się bić? — zapytała zdziwiona. — Co za historia... Obniżyła światło latarki, żeby nie oślepiac amlaków, zrobiła krok do przodu, jakby chciała powstrzymać atak samca i przykucnęła rozkładając ręce.

— Widzicie — powiedziała cicho i serdecznie. — W rękach mam tylko światło i chcę wam pomóc... Nie wam, głuptasy, tylko temu maleństwu, które umrze, jeśli mu nie pomogę. Zrozumcie, ono umiera...

Szmer ucichł. Amlaki uważnie jej słuchały.

Przemawiając łagodnie dalej, Elsa wyjęła z kieszeni pakiet pierwszej pomocy, otworzyła go i wydobyla plaster nasycony środkiem dezynfekcyjnym.

— Najważniejsze, żebyście mi nie przeszkadzali — powiedziała na koniec.

Stała w odległości dziesięciu kroków od nich i teraz musiała zbliżyć się w taki sposób, żeby amlaków nie wystraszyć.

Jeszcze przez jakiś czas mówiła, starając się wyrazić głosem pewność, że ma prawo podejść do nich i pomóc. Podniosła się i — mówiąc dalej — powoli ruszyła do przodu.

To był moment krytyczny. Elsa wiedziała, że musi być przygotowana na rozpaczliwy atak, ale nie mogła o tym myśleć: amlaki są bardzo wrażliwe na emocje i gdyby wyczuły strach, bez wątpienia by ją zaatakowały. Należało myśleć tylko o tym, że musi im pomóc.

Mężczyzna zrobił niezgrabny krok w jej stronę — przepuścił.

Pochyliła się nad niemowłkiem i spostrzegła, że i matka dziecka jest ranna. Maleństwo i matka patrzyły na nią jednakowo błagalnym wzrokiem. Tak patrzą tylko bardzo słabe zwierzątka.

Może to i dobrze, że matka jest ranna. Sama będzie się mogła przekonać, że zabiegi Elsy przynoszą ulgę. Elsa uniosła rozpylacz anestetyjny i lekka chmurka emulsji otoczyła rozcięty policzek kobiety. Ta odskoczyła, zasłaniając sobą dzieci. Mężczyzna groźnie zbliżył się do Elsy, ale emulsja już podziałała.

Kobieta zamarła, lekko uniosła swobodną rękę i dotknęła nią policzka. Powoli, tępo docierało do niej, co się dzieje. Widocznie jednak amlaki nie całkiem jeszcze były zwierzętami.

Kobieta nagle podsunęła płaczące niemowlę Elsie.

...Elsa opatrywała już trzeciego pacjenta, kiedy w korytarzu rozległy się kroki.

Ten odgłos usłyszały również amlaki i wystraszone znowu zbiły się w ciasny kłęb.

Elsa rozpoznała kroki Timothy'ego i nawet wyczuła, jak bardzo jest zmęczony i zdenerwowany.

— Tim — powiedziała cicho wiedząc, jak daleko niesie głos w podziemiach. — Nie spiesz się. Wystraszysz mi ich. Podchodź powoli i zatrzymaj się w odległości dziesięciu kroków. Rozumiesz.

— Rozumiem — odparł równie cicho Timothy Brown.

\* \* \*

Njels Olsen, dowiedziawszy się, że „Vacjus” zbliża się już do granic systemu, zdecydował się obudzić WaraJu, gdyż był przekonany, iż ta wiadomość przyniesie mu ogromną ulgę.

Telefon długo buczał przerywanym sygnałem. Konsul chciał już odłożyć słuchawkę na widełki,

kiedy w końcu odezwał się ktoś senny i gotujący się ze wściekłości. Ten ktoś powiedział, że pan dowódca Straży Miejskiej spoczywa w objęciach Boga Snu.

— Bardzo proszę, w drodze absolutnego wyjątku, aby pan zechciał dowódcę straży obudzić. Proszę mu powiedzieć, że ośmiela się go niepokoić konsul Centr—um Galaktycznego.

— Niezmiernie żałuję — zabrzmiało w odpowiedzi — ale pan dowódca Straży Miejskiej polecił, żeby nie budzono go nawet w wypadku trzęsienia ziemi.

— Proszę mu więc przekazać, gdy tylko się obudzi, że konsul Centrum Galaktycznego zawiadamia, iż nawiązał łączność ze statkiem „Vacjus” zbliżającym się do granic systemu.

Nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę.

Wrócił do pokoju łączności, gdzie Helena Kazimirowna rozmawiała z radiotelegrafistą statku, żeby nie zejść z częstotliwości. Jasne, że lepiej zrobiłoby to odpowiednie urządzenie automatyczne, ale gdybyście spróbowali coś takiego powiedzieć prawdziwemu łącznościowcowi, sponiewieralibyście jego wrażliwą duszę. Ludzie, których praca nasycona jest wszelkiego rodzaju automatyką lubią podkreślać jej zawodność, chociaż bez owej niepewnej automatyki nigdy by się na taką pracę nie zgodzili.

— I co pan zdecydował, panie konsulu? — na linii był kapitan „Vacjusa”.

— Próbowałem połączyć się z dowódcą miejscowej policji — odparł Olsen — ale dowódca śpi. Tu nie wypada nikogo budzić. Już i tak pogwałciłem etykietę.

— Etykieta! — pogarda dla czegoś takiego i skrajna rzeczowość Krióńczyków były znane w całej Galaktyce i stanowiły dla nich powód do dumy. — Niech pan zerwie z łóżka kogo trzeba. Tu chodzi o życie lub śmierć ludzi.

— Naturalnie zgadzam się z panem, że to konieczne. Ale działam w określonych warunkach...

— Dokąd poleciał „Szkwał”?

— Najprawdopodobniej na Ar—A, planetę naszego systemu. Powinna być w atlasie. Ale to tylko przypuszczenie.

— Nie można go sprawdzić?

— Jutro szef straży będzie przesłuchiwał podejrzanych. — Czyli łączność nawiążemy jutro. Czas?

— Południe czasu miejscowego pana urzędnika?

— Urzędnika mnie każda pora. Lecę na pomoc statkowi, któremu przydarzyło się nieszczęście. Nawet jeśli położę się spać, to może mnie pan spokojnie obudzić.

— Doceniam pana dowcip — chmurnie powiedziała Helena Kazimirowna, chociaż dobry radiotelegrafista nie powinien wtrącać się do rozmowy zwierzchnika. Ale Helena Kazimirowna dbała o reputację łatwowernego, czasem nawet naiwnego Olsena i nie znosiła, kiedy ktoś usiłował mu dokuczać.

Wychodząc z pokoju łączności Olsen odezwał się do żony:

— Kiciuniu, jadę do kosmonautów. Na pewno bardzo się denerwują. Był podniecony i pełen żądzy czynu.

— Możesz do nich zadzwonić. Jest późna noc.

— Na pewno z radością się obudzą, a na telefon mogą nie zareagować!

— Na ulicach o tej porze nie jest najbezpieczniej — zauważyła Helena Kazimirowna.

— Ale to przecież tuż tuż, dosłownie dwa kroki — upierał się konsul. — To przynajmniej załóż kurtkę! Wieje od gór. Żona premiera mówiła mi, że jak dmie taki wiatr, to zdarzają się tu całe epidemie przeziębień.

— Bajki, kiciuniu... — powiedział Olsen, ale kurtkę włożył, żeby nie denerwować Heleny Kazimirowny.

Wyszedł na ulicę. Kosmonautów ulokował w normalnym dyniastym domu, który konsul

nabył specjalnie na takie okazje, żeby nie mordować gości wytwornym, ale okropnie niewygodnym mieszkaniem w hotelu. Dom stał w tym samym kwartale, w odległości najwyżej dwustu metrów od biura konsularnego.

Ulica była zupełnie pusta. Gdzieś daleko słychać było jadący wóz i odległy dźwięk dzwonka, którym stróż odstraszał złodziei od wielkiego sklepu na sąsiedniej ulicy.

Olsen postanowił nie brać samochodu, patrząc uważnie pod nogi, żeby nie wpaść w kałużę pomyj, które czasem jeszcze wylewano na ulicę, choć groziła za to wysoka grzywna.

Oto i dom dla przyjezdnych. Nad wejściem gwiazdka — symbol Centrum Galaktycznego.

Olsen uniósł głowę. W jednym z trójkątnych okien płonęło światło.

Popchnął drzwi. Wynajęty przez konsulat strażnik spał snem sprawiedliwego, siedząc na podłodze czule wtulony w ścianę.

Wszedł po kręconych schodach na piętro. Z okrągłego westybulu prowadziły drzwi do pokojów, w których mieszkali kosmonauci.

Olsen zatrzymał się, a potem zapytał półgłosem:

— Przepraszaj, czy tu może ktoś jeszcze nie śpi?

Prawie równocześnie otworzyły się drzwi dwóch pokojów, jakby ich mieszkańcy niecierpliwie czekali na wizytę konsula.

— Co jest? — zapytał miody kosmonauta ubrany tak, jakby się jeszcze nie kładł do łóżka. — Coś nowego?

— Statek „Vacjus” nawiązał z nami łączność — oświadczył Olsen z ulgą. Dobrze zrobił, że tu przyszedł. Czekano na niego.

— „Vacjus”? Aha, załoga jest z Kriony — powiedział Salandri, który właśnie wyszedł z trzecich drzwi.

— Nic więcej nie wiem — mówił dalej Olsen. — Słowo honoru.

— Czemu tak stoimy? — spytał pierwszy inżynier. — Chodźmy do pokoju.

Olsen poszedł za nim. Okazało się, że w pokoju siedzi już pięciu ludzi. Nie bacząc na zmęczenie i na to, że cały dzień ciężko harowali na kosmodromie starając się uruchomić radiostację, załoga porwanego statku jakoś nie miała ochoty na sen.

— Czy wiadomo już, gdzie jest „Szkwał”? — zapytał drugi oficer.

— Dowiemy się jutro. WaraJu zacznie przesłuchania podejrzanych. To człowiek niegłupi i cieszący się zaufaniem rządu.

Jego słowom zawtórował tępy odgłos uderzenia, a potem głuchy huk. Dom zadrżał w posadach, szklanki na stole zadźwięczały.

Olsen przeżył już trzęsienie ziemi i wiedział, że miejscowe domy są do takich wstrząsów znakomicie przystosowane. Kiedyś w dolinie na południe od miasta widział, jak niektóre domy—dynie waliły się na bok, ale żaden z nich się nie rozpadł.

Salandri podszedł do okna.

— To całkiem blisko — powiedział. Wychylił się z okna, chcąc zobaczyć miejsce, z którego dobiegł huk. Potem odwrócił się i oświadczył: —To całkiem blisko. Widzę pożar. Popatrzcie.

Olsen podbiegł do okna.

Palił się jego dom.

Dom konsulatu wyglądał dziwnie, zupełnie jak jajko, z którego wykluwa się pisklę przebijając górną część skorupki. Tyle że zamiast pisklęcia z szerokiego pęknięcia wydobywał się dym i tryskające ku niebu języki płomieni.

\* \* \*

Helenie Kazimirownie na szczęście prawie nic się nie stało. Kiedy mąż wyszedł, ogarnął ją niepokój. Niels jest sam na pustej, ciemnej ulicy... Przy całym swym roztargnieniu... Wyobraziła sobie jak błądzi, miota się po mieście, jak napadają go zbójcy... Narzuciła płaszcz, wybiegła z domu i popędziła w stronę domu dla przyjezdnych. Tylko zapytam strażnika czy tędy przechodził, tłumaczyła się sama przed sobą i natychmiast wracam do domu. To, że ona sama znalazła się na nocnej ulicy wcale jej nie przerażało. Przez wiele lat wspólnego życia przywykła do tego, że jej nic się nie może przydarzyć, bo wszystkie przykre niespodzianki spadały wyłącznie na jej Nielsa.

Była już jakieś pięćdziesiąt metrów od konsulatu, kiedy nastąpiła eksplozja.

Fala podmuchu cisnęła ją na jezdnię, a że upadek był niespodziewany i bolesny, Helenie Kazimirownie wydało się, że napadli ją bandyci i obalili uderzeniem w głowę, chyba podobnie jak tego nieszczęsnego archeologa... Upadłszy zasłoniła więc głowę rękami, chroniąc ją przed następnym ciosem.

„Nic się jednak nie stało. Grzmot ucichł, ustępując miejsca narastającemu trzaskowi brzmiącemu tak, jakby ktoś za nią łamał patyczki, tysiące, setki tysięcy drobniutkich patyczków.

Helena Kazimirowna usiadła i obejrzała się.

Płonął jej dom.

Jego górna część znikła, a z dziury waliły kłęby dymu podświetlone złocistymi płomieniami.

— Mój Boże — powiedziała na głos. — Co za szczęście, że Niels poszedł do kosmonautów.

Wstała rozcierając ręką stłuczone kolano. Okna w sąsiednich domach otwierały się, ukazując zaspane twarze mieszkańców. Dom palił się jak pochodnia, bo stara drewniana konstrukcja dyni zdążyła wyschnąć na pieprz. Kawałki tynku odpadały od ścian i ze stukotem spadały na bruk.

Helena Kazimirowna nie wróciła do domu, tylko pospieszyła dalej, bo cóż mogła sama zrobić na pogorzeliisku?

Po kilku krokach natknęła się na męża i kosmonautów, którzy biegli jej na spotkanie.

— Lena! — krzyczał z daleka Olsen. — Zdażyłaś! Dziękuję... Płakał i tulił ją do siebie, a kosmonauci popędzili dalej, chcąc gasić pożar. To jednak było niemożliwe i nawet strażacy, których wóz przyjechał nadspodziewanie szybko, niczego nie mogli zrobić. Czekali, aż dom się dopali, żeby zalać wodą tłące się jeszcze kawałki drewna.

Na miejsce pożaru przybyli też szybko różnej rangi urzędnicy. Wydarzenie było na tyle niezwykle, że usprawiedliwiało pogwałcenie etykiety nakazującej spędzać noc w zaciszu domowym. Nawet Jego Potężność Głównodowodzący Wojskami raczył się zjawić w otoczeniu oficerów. Był przerażony i wściekły. W ostatnich dniach stracił twarz, bowiem statek porwano z pomocą jego wozu bojowego, który wsiąkł razem z załogą jakby się pod ziemię zapadł. Rozkazał wprawdzie aresztować wszystkich dowódców wojskowego parku maszynowego, co naturalnie nic nie pomogło, chociaż podczas tortur (był to normalny na Pe-U sposób prowadzenia przesłuchań) oficerowie przyznali się absolutnie do wszystkiego.

WaraJu, mimo nocnej pory i tempie w jakim znalazł się na miejscu wydarzenia, ubrany był w nieskazitelny mundur. Widać zdawał sobie sprawę z tego, że napotka tam ważne osobistości. Wraz z nim przybyli ochroniarze, jakieś pięćdziesiąt sztuk, którym kazał otoczyć cały kwartał i nikogo nie dopuszczać do zgliszcz domu. Jego eksperci zaczęli już grzebać w rozżarzonych resztkach, ponieważ dowódca Straży Miejskiej był przekonany, iż wybuch i pożar nie mógł być dziełem przypadku. Obwiniął o wszystko zwolenników Pruga Brendyjskiego, którzy nie życzyli sobie funkcjonowania łączności z „Vacjusem”. Przepraszał też konsula gorąco, że nie zareagował na jego telefon i powiedział, że surowo ukarze swojego sekretarza. To jednak niczego nie zmieniało i Olsen nie omieszkiał mu tego powiedzieć.

Z domu właściwie nic nie pozostało. Olsen bardzo żałował utraty kolekcji etnograficznej, którą zbierał przez wiele lat, a najbardziej nie mógł przeboleć zniszczenia swoich rękopisów. Tego już

się nie uda odtworzyć. A w dodatku zagłada tego, co przez tyle lat wypracował obrażała zdrowy rozsądek, gdyż sprawcy wybuchu i pożaru najmniej myśleli o sprawach tak oderwanych jak dobre samopoczucie konsula czy też jego rękopisy.

Helena Kazimirowna zachowywała się jak królowa i patrząc na wyraz jej twarzy możnaby przysiąc, że cała ta krzątanina wokół pożaru zupełnie jej nie interesuje. Szczególnie znudzona była wówczas, gdy dwukrotnie musiała odpowiadać na te same pytania. Najpierw męczył ją WaraJu, którego interesowało czy nikt nie wdarł się do domu: przecież bombę trzeba było jakoś wnieść do środka i ukryć. Potem o to samo pytał wspaniale przyodziany generał ze świty Jego Potężności. Stosunki między Jego Potężnością a dowódcą Straży Miejskiej były ostatnio napięte, co nie może dziwić, skoro w ciągu trzech ostatnich dni wydarzyły się dwa poważne incydenty. Właściwie trzy, jeśli dołączyć do tego zniknięcie archeologa. I nic. Przestępcy czuli się w mieście jak u Pana Boga za piecem, jakby otaczał ich opieką ktoś z bardzo wysokich sfer. Jego Potężność sądził, że górale mają swojego człowieka w straży, zaś WaraJu obarczał odpowiedzialnością za wszystko Jego Potężność i podległą mu armię.

W końcu obie ekipy doszły do zgodnego wniosku, że bomba została podłożona pod dom albo na jego parterze, gdzie wejść mógł właściwie każdy — konsul i Helena Kazimirowna zostawali na noc sami w niestrzeżonym budynku. Konsul wychodząc do kosmonautów mógł przy tym nie zamknąć drzwi, bo jego roztargnienie było przysłowiowe. Między jego wyjściem a chwilą, kiedy Helena Kazimirowna wybiegła na ulicę minęło piętnaście minut, a więc dość czasu na to, żeby podpalić dom.

— Niepokoi mnie co innego — powiedział WaraJu pochylając nad konsulem swój długi nos i patrząc mu zgodnie z wymogami etykiety w sam środek piersi. — To, że tak precyzyjnie wybrano czas zamachu. Dokładnie w momencie nawiązania łączności ze statkiem. Komu, poza moim sekretarzem, pan o tym mówił?

— Nikomu.

— Ale przecież kosmonauci wiedzieli, prawda? A sekretarza kazałem zatrzymać i natychmiast przesłuchać. No więc?...

— To wykluczone — oświadczył Olsen. — Między momentem, kiedy im to powiedziałem, a wybuchem pożaru minęło najwyżej pięć minut...

— Pozostaje zatem centrala telefoniczna — powiedział w zadumie WaraJu. — Jestem zmuszony teraz pana opuścić...

Odwrócił się i nie pożegnawszy Jego Potężności pospieszył do swojego samochodu.

Świtało. Tłuste pląty sadzy poruszonej przez gorliwych ekspertów WaraJu leniwie krążyły w powietrzu. Wystraszeni sąsiedzi, którzy w mocno niekompletnych strojach stali cicho rozmawiając za ogrodzeniem posesji, teraz powoli zaczęli rozchodzić się do domów. Wozy straży pożarnej, ozdobione żółtymi smokami, zwijały węże i szykowały się do opuszczenia pogorzelska. Jego Potężność raz jeszcze wyraził Olsenowi i jego małżonce swoje najwyższe współczucie i oświadczył, że dziś jeszcze premier dowie się o tym godnym pożalowania wydarzeniu i rzecz jasna zrefunduje wszelkie poniesione przez szanownego pana konsula straty. Konsul uprzejmie podziękował za te słowa — choć jego strat już nikt nie mógł wyrównać.

\* \* \*

Stary wojownik KraJu, rozkazem Pruga pozostawiony w martwym mieście, spędził niewygodną, zimną i mroczną noc. Urządził się na pierwszym piętrze domu, z którego pozostał róg dziesięciometrowym zębem zwisający nad placykiem. Widział stamtąd czarną plamę wejścia do podziemi. Było daleko, ale nie udało mu się bliżej znaleźć odpowiedniej kryjówki.



Było mu zimno, a w dodatku dołem kilka razy przeciągnęły stada wilków. To „były silne, dzikie zwierzęta i KraJu nie chciał, żeby go zauważyły.

Kiedy rano zobaczył, że archeologowie wyłonili się z podziemi, natychmiast zameldował o tym na statek. DrokU powiedział, że wojownicy już wyruszyli.

\* \* \*

Archeolodzy spędzili noc w towarzystwie amlaków. O świcie ich nowi znajomi opuścili tunel.

— Ludzkość nie jest samotna — powiedział Lwin, patrząc jak amlaki, ostrożnie się rozglądając, wyslizgują się z podziemi i kierują się ku ruinom. — Mnożą się nam kuzyni.

Focjusz van Kuun popatrzył w niebo w nadziei, że dostrzeże tam gwiazdeczkę spieszącego na pomoc statku, ale nic nie zobaczył. Zerknął na niemowlaka z zabandażowaną i zaklejoną plastrem rączką, wyciągnął do niego dłoń, poruszył palcami i powiedział „Hu, hu!” w przekonaniu, że każde niemowlę będzie uszczęśliwione kiedy on, Focjusz van Kuun, powie do niego „Hu, hu!”. Ale dzieciak rozpaczliwie się rozwrzeszczał, zaś jego matka zaczęła coś z niepokojem mamrotać.

Wyszli na otwartą przestrzeń. Amlaki zaczęły natarczywie wyjaśniać Brownowi, którego uznają za wodza plemienia, że już najwyższy czas, aby mogły zająć się swoimi sprawami.

— Uważaj na niego — powiedziała Elsa do matki niemowlęcia. — Byłoby najlepiej, gdybyś jutro z nim do mnie przyszła.

Zaczęła pokazywać, że niemowlę należy przynosić na zmianę opatrunku. Matka oczywiście nic z tego nie zrozumiała i pociągnęła dwójkę swoich dzieci do kępy drzew rosnących na wzgórzu pośrodku miasta. Reszta hordy nie oglądając się pospieszyła za nią.

— Powinniśmy się nimi opiekować — powiedział van Kuun. — To nasz obowiązek.

— Focjusz, odłóżmy samarytańskie uczynki do bardziej sprzyjających czasów — poradził Brown poważnie. — Bierz skrzynki z nabojami.

Ładowali do łażika broń znalezioną i wypróbowaną w podziemiach. Broń była w znakomitym stanie, co było o tyle zrozumiałe, że ci, którzy ją tam ukryli zabezpieczyli ją przed zniszczeniem niezwykle starannie.

Fakt zaopatrzenia się przez archeologów w broń nie oznaczał naturalnie, że zamierzali wymordować wojowników Pruga. Nie, mieli zupełnie odmienny plan. Zamierzali po prostu dotrzeć do grawilotu zanim bandyci wyruszą na poszukiwanie arsenałów i narobić takiego rabanu, żeby nie mieli odwagi wysunąć nosa na zewnątrz.

Nie wiedzieli, jak długo ma to oblężenie potrwać, ale spodziewali się zatrzymać wrogów do czasu nadejścia pomocy. Powinna to być kwestia godzin, a w najgorszym wypadku dni.

Ulokowali się w łażiku akurat wtedy, kiedy wóz WosenJu ruszał już w kierunku podziemi. I gdyby zatrzymali się jeszcze bodaj na dziesięć minut, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót.

Gdyby ktoś spojrział na miasto z lotu ptaka, zobaczyłby, jak jeden z łażików powoli przedziera się w kierunku podziemi, zaś drugi pełźnie na jego spotkanie.

\* \* \*

Kiedy na Ar–A dopiero zaczynało świtać, w stolicy Pe–U panował już jasny dzień.

Śmiertelnie zmęczony Olsen pojechał z kosmonautami do Szkoły Wiedzy, gdzie w Instytucie Elektroniki obiecano przygotować im detale i narzędzia, przy pomocy których będą mogli naprawić urządzenia łącznościowe.

— No dobrze — mówił Olsen, spierając się sam ze sobą. — Załóżmy, iż wiedzieli, że w

konsulacie jest radiostacja i Prug, nieprawdopodobnie przezorny, rozkazał ją zniszczyć... Czy to możliwe?

— Możliwe — potwierdził Salandri. — Zastanawiające jest jednak co innego: dlaczego nie wysadzili konsulatu w powietrze od razu? Skąd wiedzieli, kiedy zostanie nawiązana łączność z Kosmosem? Ten pański WaraJu ma rację, że śladów trzeba szukać w centrali telefonicznej. Czasu mieli niewiele, ale dość, żeby zorganizować ten zamach. To przecież nieduże miasto.

Szkoła Wiedzy mieściła się w dyni dwukrotnie większej od normalnego domu mieszkalnego. Obok niej rozciągały się betonowe cielska laboratoriów.

Profesorowie Szkoły Wiedzy w błękitnych togach z zębatymi znakami Wyższego Wtajemniczenia na piersiach czekali już na nich w cieniu dyni. Mówiąc prawdę, ciało profesorskie nie było teraz nikomu do niczego potrzebne, ale fakt, że Flota Kosmiczna zwróciła się do Szkoły Wiedzy z prośbą o pomoc miał znaczenie symboliczne. Szkoła Wiedzy była jednym z najpewniejszych sojuszników Centrum Galaktycznego na Pe-U. Nie stanowiąc klanu uważała się za klan nowego typu nie oparty na więziach krwi, lecz na fanatycznym przywiązaniu do Nauki. Dlatego też dla Szkoły Wiedzy zniknięcie archeologa, jej uczonego gościa, stanowiło głęboką obrazę. Podobną obrazą był też dla niej zamach na osobę i wyniki prac naukowych Olsena.

— Co tu się dzieje? — zapytał jeden z pilotów. — Nie mamy czasu na uroczyste zebrania.

— Nie mamy — zgodził się konsul, który lepiej od wszystkich rozumiał, o co tu właściwie chodzi. — Ale jeśli okażemy nieco cierpliwości, to dostaniemy wszystko, co nam jest potrzebne.

Władca Szkoły Wiedzy, mąż o siwych wąsach sięgających niemal do ziemi, stary przyjaciel Olsena, przywitał go z otwartymi ramionami. Szlochał i nie ukrywał łez. Był prawdziwym mężczyzną, a tylko kobiety ukrywają swoje wzruszenia. Olsenowi również zwilgotniały oczy. Jak potem wyjaśnił kosmonautom, płakał jedynie ze względów etykietalnych, ale tak naprawdę to poczuł głęboką ulgę mogąc wypłakać się na piersi człowieka, który rozumiał bezmiar jego nieszczęścia i podzielał jego rozpacz.

Potem procesja przypominająca do złudzenia pogrzeb bez nieboszczyka udała się do Laboratorium.

Kosmonauci bardzo się zdziwili na widok skarbów leżących tam beżużytecznie w oczekiwaniu na przyszłe odkrycia przyszłych miejscowych Newtonów. Nawet Olsen nie miał pojęcia, jakie cuda zgromadzili uczeni mężowie w magazynach Szkoły. I kiedy otoczony jęczącymi z rozpacz profesorami opowiadał o skali swojego nieszczęścia, nieszczęścia zarówno osobistego, jak i niosącego niepowetowane straty dla miejscowej filologii i etnografii, kosmonauci jak dzieci w sklepie z zabawkami buszowali z wciąż rosnącym optymizmem w gościnnie otwartym magazynie.

Kiedy po jakichś trzech godzinach przeciążony samochód Olsena w towarzystwie wozu należącego do Szkoły jechał w kierunku kosmodromu, drugi oficer, Pisarenko, powiedział triumfalnie:

— Zrobi się, co? Z tego majdanu można zbudować parę radiostacji!

\* \* \*

Inbuke, kapitan „Vacjusa”, wychudł przez ostatnie dni jeszcze bardziej.

Łączność z Pe-U ustala i wszelkie próby jej ponownego nawiązania okazały się nieskuteczne. W tej sytuacji zebrał na mostku wszystkich swoich pilotów, mechaników i nawigatorów.

— Konsul Centrum Galaktycznego na Pe-U, z którym rozmawiałem podejrzewa, że statek „Szkwał” został uprowadzony przez porywaczy na planetę Ar-A w tym samym systemie — powiedział. — Nie ma co do tego całkowitej pewności, a łączność po rozmowie z konsulem została w sposób niewytłumaczalny zerwana.

Oficerowie siedzieli nieruchomo na niskich fotelach. Nie bacząc na to, że Kriończycy lubią powtarzać, iż mają w pogardzie wszelką etykietę, w życiu kierują się sztywnymi zasadami postępowania, zasadami, których już po prostu nie dostrzegają, a nawet negują ich istnienie. Dlatego też żaden z oficerów (z wyjątkiem drugiego nawigatora) nie śmiał otworzyć ust, dopóki kapitan mu na to nie pozwolił.

Siedzieli więc nieruchomo jak posągi, ubrani w jednakowe szare mundury z emblematami Floty Kosmicznej wyhaftowanymi przez ich żony, tkwili pod portretami najślynniejszych kapitanów ze swojej planety, wszystkimi równie szczupłymi, poważnymi a nawet chmurnymi.

— Mamy w tej sytuacji dwa wyjścia: zmienić kurs i skierować się na Ar–A lub kontynuować lot ku planecie Pe–U. Sądzę, że w istniejących okolicznościach właściwsze jest utrzymanie dotychczasowego kursu i dalsze próby nawiązania łączności z Pe–U. Urowadzenie statku na Ar–A jest tylko nie potwierdzoną hipotezą, podczas gdy zamknięcie konsulatu świadczy o tym, że na samej Pe–U dzieje się coś niedobrego, że naszym towarzyszom grozi tam jakieś niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że umotywowałem swoją decyzję dostatecznie. Jeśli ktoś jest innego zdania, a mam nadzieję, że taki ktoś się znajdzie, proszę go o wyrażenie swojej opinii z całą otwartością i pryncypialnością, którymi zawsze się chlubiśmy. Decyzja jest o tyle poważna, że być może nam, cywilnym kosmonautom przyjdzie... walczyć.

Kapitan zamilkł i milczał dokładnie trzy minuty. Reszta obecnych też milczała przez trzy minuty, ponieważ oczywiście nikomu nawet nie przyszło do głowy sprzeciwić się kapitanowi. Wszyscy byli szczerymi demokratami, wszyscy w głębokiej pogardzie mieli etykietę i jakiegokolwiek konwenanse, dlatego też bez żadnej etykiety i konwenansów zgadzali się zawsze ze swoim kapitanem. Gdyby było inaczej, już dawno by go usunęli ze stanowiska.

Po trzech minutach zebrani równocześnie wstali, bez słowa skłonili się kapitanowi, pochylili głowy przed portretami wielkich dowódców i opuścili mostek.

\* \* \*

Andrew obudził się, zerwał z łóżka, ochlapał twarz w maleńkiej umywalce zainstalowanej w kącie kabiny i poczuł, że jest potwornie głodny.

W tej chwili z dziką rozkoszą narozrabiałby jak pijany zając, ale doskonale wiedział, że tej rozróbki nikt na statku nawet nie zauważy.

Ta cała historia mocno go już zdegustowała.

Wszystko mogło sprawiać wrażenie dziecinnej zabawy w złodziei i policjantów, gdyby przy tym nie ginęli ludzie. Prugowi jego postępowanie wydaje się zupełnie normalne i honorowe. Wcale nie uważa się za zbrodniarza czy mordercę... Kiedy zastanawiamy się nad początkami cywilizacji, musimy dostrzegać nie tylko działanie praw ekonomicznych czy społecznych, lecz także psychikę każdego pojedynczego człowieka. Każdy człowiek z epoki kamiennej pozostawał dzieckiem, choćby nawet dożył stu lat, a jego reakcje też były reakcjami dziecka... Prug też gotów jest poświęcić życie, żeby spełniło się jego dziecinne marzenie o królewskiej koronie. A co zamierza potem? Umrzeć na tronie? Czyż byłby to zgon wygodniejszy niż śmierć w miękkim fotelu i bez ciężaru korony na głowie.

„Nietrudno jest — pomyślał Andrew — wytłumaczyć każdego prymitywnego złoczyńcę... Nie, nie wytłumaczyć, tylko wyjaśnić mechanizm jego postępowania. Usprawiedliwić czy nie, to już nie nasza sprawa. Naszą sprawą jest zrozumieć mechanizm, a zrozumiałwszy — zlikwidować zagrożenie”.

To jednak było tylko jałowe teoretyzowanie, gdyż po raz drugi w życiu — za pierwszym było to wydarzenie, które wyłączyło Andrew z zespołu pilotów — znalazł się w sytuacji, wobec której był

całkowicie bezradny.

Właśnie to sobie uświadomił, gdy szczerknął zamek w drzwiach i do kabiny wszedł jak do siebie DrokU. Spokojnie i pewnie.

— Muszę z panem porozmawiać — powiedział w lincosie.

— Skąd pan zna język galaktyczny? — zdumiał się Andrew.

— Nauczyłem się.

— Był pan w Centrum?

— Na stażu, na kursie zarządzania — odparł DrokU. — Ale mówiąc szczerze dawno się lincosem nie posługiwałem. Cztery lata spędziłem w górach, a przez ostatni rok siedziałem z Prugiem w stolicy. Zdziczałem.

— Dziwny z pana człowiek. Kim pan jest?

— Powinien mi pan zaufać. Musiałem się maskować, dopóki nie przekonałem się, że można na panu polegać. Moja sytuacja jest o wiele niebezpieczniejsza niż pańska. Jeżeli ktoś dowie się o naszej rozmowie, Prug natychmiast mnie zabije. To mogę panu zagwarantować.

— A więc kim pan jest?

— Jestem zastępcą szanownego WaraJu, dowódcy Straży Miejskiej. Moje prawdziwe nazwisko nic panu nie powie, proszę więc nadal zwracać się do mnie DrokU...

Zamilkł, a potem ciągnął z uśmiechem:

— Czemu mnie pan nie pyta, co mnie łączy z Prugiem? — W jego gestach i mimice kryła się pewna nonszalancja wynikająca z nadmiaru siły, z umiejętności błyskawicznego reagowania, ze zdolnością do stawania się niebezpieczną górą mięśni. — Wiem, że ma pan ochotę się tego dowiedzieć, odpowiadam więc. Prug nas od dawna interesował. Jest najbardziej malowniczą, zdolną i energiczną postacią gór. Postanowiliśmy wprowadzić naszego człowieka do jego otoczenia, żeby mieć nad nim kontrolę. Ja właśnie jestem tym człowiekiem.

— I chce pan powiedzieć, że nie zauważyliście przygotowań Pruga do porwania statku?

— Nie jesteśmy wszechwiedzący. Tym razem okazał się sprytniejszy. Ale jego triumf nie będzie długi. Sam pan wie o tym lepiej ode mnie.

— Trudno mi w to uwierzyć — powiedział Andrew.

DrokU wstał.

— Nie wiem, czy na wiele zdołam się panu przydać. Ja też chcę żyć. Ale sądzę, że do jutra coś wymyślimy. Najważniejsze, żeby nie zdążyli dotrzeć do arsenału. Jak pan sądzi, kiedy przybędzie na pomoc statek Floty Kosmicznej?

— Proszę mi zadać jakieś łatwiejsze pytanie — uśmiechnął się Andrew.

— Do widzenia. Myślę, że teraz będę potrzebny Prugowi.

— Chwileczkę — powiedział Andrew. — Jeżeli rzeczywiście jest pan tym, za kogo się pan podaje, to czemu pan Pruga nie unieszkodliwi?

— Nie mogę go zabić. Nie wolno mi.

— Nie mówię o zabijaniu. Są przecież inne sposoby. Co pan zamierza zrobić?

— Wysłuchać pańskich rad, DreJu. I nie spieszyć się. Sądzę, że teraz przede wszystkim trzeba pilnować, żeby nie zabili kogoś z archeologów. A jeśli idzie o arsenały, to niech z nich biorą wszystko, na co mają ochotę. I tak nie zdołają niczego wykorzystać. — I DrokU znów się uśmiechnął. Jak przystoi prawdziwemu góralowi miał wspaniałe zęby.

— Są jakieś nowe wiadomości?

— Niewiele. Wyśledzili archeologów, którzy dali się podejść jak kurczęta. Prug zostawił w mieście myśliwego i archeologów wskazali mu mimo woli wejście do podziemi. Teraz WosenJu pojechał tam, żeby zasłużyć sobie na sławę. I na życie.

— Na życie?!

— Jasna sprawa. Potrzebny był Prugowi jedynie na Pe-U, a teraz... Teraz zginie bez śladu. Jest obcy. I może się wygadać, żeby ratować własną skórę.

„Wcale mi go nie żal — pomyślał Andrew. Powinienem być humanitarny, kochać ludzi, bo w myśl wielkiej mądrości Galaktyki życie ludzkie jest wartością najwyższą i nienaruszalną. Aleja chcę, żeby WosenJu zginął”.

— Nie żałuje go pan — zauważył DrokU. — Pan uważa, że to on zabił pańską kobietę.

— A to nie on?

— Nie było mnie przy tym. Być może zrobił to inny człowiek Pruga. Idę, kolego. Prug już się pewnie obudził i źle się czuje. Nawdychał się za dużo kadzidlanego dymu. Nerwy odmawiają mu posłuszeństwa. Zamknę drzwi, bo ktoś mógł zauważyć, że tu wszedłem.

Zwinnie wstał z fotela.

— Momencik — powiedział Andrew. — Nie wiem, czy Prug rzeczywiście chce nas zgładzić, ale wszyscy wasi jeńcy są w kiepskim stanie. Sądzę po sobie.

— A co się stało?

— Wczoraj nikt nie pomyślał, żeby nas nakarmić, a i dziś wygląda na to, że sytuacja się nie zmieni.

— A niech to! — wykrzyknął DrokU. Był szczerze zdziwiony. Zupełnie zapomniał o tym, że ludzie z gwiazd mają zgubny nałóg jedzenia. Przynajmniej od czasu do czasu...

— Idziemy! — zdecydował. — Pan przodem.

Wyszli na korytarz i szybko dotarli do kambuza. W kambuzie było pusto.

— Niech pan bierze, co panu potrzebne — powiedział DrokU. — I proszę jak najszybciej wracać do swojej kabiny. Jeśli pana złapią, będę miał nieprzyjemności. A ja już nie mam czasu.

Szybko odszedł.

Andrew zaczekał, aż kroki nieoczekiwanego sojusznika ucichną, potem ostrożnie zgromadził swoją zdobycz w jednym miejscu. Śmierć głodowa już mu nie groziła.

Teraz musiał dostać się do biblioteki. Miał nadzieję, że tamte regiony statku nadmiernie nie interesowały dzielnych chłopców Pruga.

Do biblioteki prowadziło wejście z korytarza, ale były tam jeszcze jedne drzwi łączące ją z mesą. Nigdy ich nie używano i jak zauważył Andrew teraz były zastawione fotelem Pruga.

Droga do biblioteki minęła bez żadnych niespodzianek.

Andrew na palcach przeszedł przez pomieszczenie zastawione regałami i przycisnął ucho do drzwi.

Pojawienie się sojusznika było zbyt nieoczekiwane, aby nie wzbudzać podejrzeń, więc Andrew bardzo chciał się dowiedzieć, o czym DrokU będzie rozmawiał z Prugiem. Bardzo też pragnął mu zaufać, bo człowiek zawsze pragnie komuś ufać... Ale łatwowierność z kolei mogła zbyt wiele kosztować.

Zdażył do biblioteki na czas.

DrokU rozmawiał z Delfinem Brendyjskim i była to rozmowa co najmniej dziwna.

\* \* \*

Wyładowując części, narzędzia i aparaturę z samochodu i przenosząc ją do wnętrza uprzątniętej już dyspozytorni, kosmonauci szaleli jak małe chłopaczki. Olsen na ten widok pomyślał sobie, że przecież rzeczywiście są okropnie młodzi, dwa razy młodsi od niego. Teraz, w przerwie między lotami powinni sobie poganiać za piłką. Był pewien, że naprawią radiostację i że na najbliższy czas to zadanie przesłoni im wszelkie inne problemy. Problemy, które samemu Olsenowi spędzały sen z powiek.

Wozem należącym do Szkoły Wiedzy przyjechali miejscowi technicy i konsul przez całe czas musiał służyć im za tłumacza, ponieważ ich pomoc okazała się bardzo kosmonautom przydatna.

Kosmonauci wykorzystali rozbitą korpus radiostacji oraz ocalałe detale i zaczęli montowanie nowego urządzenia. Twierdzili, że radiostacja będzie pracować nie gorzej niż spalony nadajnik z domu Olsena.

Na kosmodromie od czasu do czasu zjawiali się goście.

Najpierw przyjechał Najmądrzejszy, zwierzchnik Szkoły Wiedzy. Chciał sprawdzić, jak posuwają się prace i czy przydają się jego technicy, a przy tym miał ochotę raz jeszcze wyrazić swoje współczucie Olseniowi. Nie zdążył jeszcze odjechać, kiedy na kosmodromie pojawiła się kuchnia polowa, najprawdziwsza w świecie kuchnia polowa podobna do starożytnego karawanu przystrojonego obficie kwiatkami. Rytuał wydawania posiłków był w miejscowej armii niezmiernie skomplikowany i kwiaty zdobiące kuchnię polową były tego rytuału nieodłączną częścią. Kucharze, którzy przybyli karawanem, byli nader zde gustowani faktem, że kosmonauci pospiesznie spałaszowali najwytworniejsze potrawy z kuchni oficerskiej, ani myśląc o przestrzeganiu bodaj elementarnej etykiety. Olsen starał się to nadrobić, zwił się za wszystkich jak w ukropie, ale oczywiście nie był w stanie uratować sytuacji: w pamięci kucharzy armii Jego Potężności załoga „Szkwału” zapisała się jako ludzie skandalicznie źle wychowani.

Potem pofatygował się na kosmodrom również Jego Potężność we własnej osobie. Przyjechał wozem pancernym, skłonił się łaskawie wszystkim i obszedł dokoła na w półrozwaloną wieżyczkę dyspozytorni. Potem równie nieoczekiwanie jak się pojawił opuścił kosmodrom, pozostawiając na nim pięciu uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Żołnierze ustawili się na obwodzie placu, na którym odbywał się montaż radiostacji i zamarli w bezruchu. Olsen popatrywał na nich z niejaką obawą, którą pogłębiło jeszcze przybycie WaraJu.

— A to po co? — zapytał WaraJu konsula. — Nie podoba mi się to... Powiedzieć dlaczego?

Podobny był do ptaka, który zauważył lisa skradającego się do jego gniazda i zamierza zapobiec knowaniom ryżego złodziejaszka.

— Dlaczego? — zapytał Olsen.

— Dlatego, że Prug miał wóz bojowy, a wszystkie istniejące u nas wozy bojowe są na stanie armii. Chciałbym złapać i przesłuchać tego, kto dostarczył Prugowi ten wóz.

— Znalazł pan coś w centrali telefonicznej?

— Aresztowałem obsługę. Całą nocną zmianę — powiedział po prostu WaraJu. — Teraz rozmawiają z nimi moi ludzie. Myślę, że niedługo się wszystkiego dowiemy.

— A jak inni podejrzani? Czy wiadomo już, dokąd uprowadzono statek?

— Najprawdopodobniej na Ar-A... Choć nie są wykluczone inne możliwości.

— Na przykład?

WaraJu wzruszył ramionami.

— Czy jest jakaś nadzieja na uruchomienie radiostacji? — zapytał, patrząc na krzątających się kosmonautów, których sylwetki migały w szczelinach pierwszego piętra dyspozytorni.

— Chłopcy obiecują zrobić to bardzo szybko — powiedział Olsen. — W Szkole Wiedzy dostali wszystkie potrzebne części.

— Mieli tam coś takiego?

— Zamierzali zbudować własny ośrodek łączności galaktycznej, tylko się tymi swoimi zamiarami zbyt nie afiszowali.

— A ja o niczym nie wiedziałem — rozłożył ręce WaraJu. — To znaczy, że źle pracuję i trzeba mnie wypędzić.

— Powinien pan się cieszyć. Przecież zawsze stał pan po stronie nowego — uspokajał go Olsen.

— Ale nowe też trzeba śledzić. Bardziej jeszcze niż stare.

— Na razie nieprzyjemności mamy właśnie przez stare.

— Jutro będą też i przez nowe — powiedział z przekonaniem WaraJu. — To nowe przychodzi zbyt szybko. Niech pan popatrzy na nich — wskazał stojących nieruchomo żołnierzy. — Mają nową broń, a nasze Potężności są bardzo skore do wypróbowania broni, którą nie tu wynaleziono. Do czego użyją jej jutro? Może już dziś spożytkowują ją nie tak, jak należy. Dlaczego w chwili porwania statku był tu wóz bojowy? Komu arsenały są najbardziej potrzebne? Jego Potężności. Każda organizacja to żywe ciało, które pragnie zająć jak najwięcej miejsca dla siebie.

— Czyżby armia miała rywali?

— Choćby mnie — odparł WaraJu. — Troszczyć się o bezpieczeństwo państwa. I jeśli zagrożenie wyjdzie z szeregów armii, będę walczył z armią.

— Więc i pan potrzebuje nowej broni!

— Wystarczy mi ta którą już mam — powiedział WaraJu. Zobaczmy, co tam u naszych dzielnych kosmonautów.

Wspięli się na górę. Kosmonauci przywitali ich wesoło:

— Patrzcie — powiedział Salandri. — Powinno się udać.

Wnętrze dyspozytorski wyglądało jak pobożowisko, a nadajnik przypominał kłębowisko drutów i luźnych detali. Aż dziw brał, że kosmonauci i miejscowi technicy się w tym całym bałaganie orientowali.

— I to będzie działać? — zapytał z niedowierzaniem WaraJu.

— Proszę przyjechać za dwie godziny! — powiedział z przekonaniem Salandri.

\* \* \*

Każdy chłopiec z dobrej rodziny w wieku piętnastu lat przechodzi obrzęd inicjacji. Nie ma prawa do miana szlachetnego mężczyzny, jeśli nie pozna na pamięć świętych tekstów, które w dawnych, bardzo dawnych czasach przywieźli z Ar-A giganci i pozostawili przodkom mieszkańców Pe-U. Na Ziemi opowieści o przybyszach z Kosmosu znalazły się w świecie legend, będąc po prostu wyrazem ludzkich marzeń o istnieniu braci w rozumie czy tajemniczej Siły Sprawczej, natomiast na Pe-U giganci stanowili jeszcze część historii. I znajomość ich języka, który przeszedł już do sfery rytualnej, nie stała się jeszcze czysto obrzędowa. Właśnie w owych tekstach, nad którymi do dziś łamią sobie głowy mędrzy ze Szkoły Wiedzy i którym konsul Olsen poświęcił nader obszerny, niestety zniszczony w czasie pożaru artykuł, zachowały się w zaszyfrowanej formie wiadomości, jakie potem legły u podstaw miejscowej cywilizacji.

WosenJu znał język gigantów.

I nie dziwiło go to, że napisy w podziemiach były dla niego zrozumiałe. Bardziej był zaskoczony faktem, że nie wszystkie z nich potrafił odcyfrować.

Spieszył się. Szedł kilka kroków przed pozostałymi i promień jego latarki miotał się po ścianach, zamierając na żółtych i białych napisach, oświetlając wnęki i zakręty, zaglądając do sal i szybko obmacując ich ściany jasnymi kręgami. Wojownikom, którzy postępowali za nim wydawało się, że sługa ich wspaniałego pana tańczy tu swój czarodziejski taniec przyzywający duchy żyjące pod ziemią i bardzo chcieli się stamtąd wydostać, ale wiedzieli, że z tych ciemnic mają zabrać broń. I wielką władzę.

„Ściśle tajne” — głosił napis nad wrotami zamykającymi korytarz.

Wrota nie były zaryglowane. Zaraz za nimi, jakby spiesząc do wyjścia, leżał szkielet człowieka spowity w szczątki odzieży. Szkielet rozsypał się, kiedy do wnętrza wdarł się powiew powietrza spowodowany otwarciem przez WosenJu wrót magazynu.

Wojownicy odskoczyli, bo w niepewnym świetle latarek wydało się im, że szkielet rzuca się na

nich.

Tu, w najściśle strzeżonym pomieszczeniu arsenału ukryte były bomby.

\* \* \*

Andrew podслуchiwał rozmowę DrokU z Prugiem Brendyjskim.

Ton tej rozmowy przeczył wszelkim zasadom hierarchii służbowej.

Nadęty jak senna ropucha Prug siedział w swoim fotelu. Wydawało się, że ma głęboko w nosie wszystko, co się wokół niego dzieje.

DrokU miarowo krążył po mesie, pokonując skomplikowaną, wciąż tę samą trasę — wokół stolika szachowego do fortepianu, dookoła fortepianu, wzdłuż rzędu foteli za tronem, wokół tronu — i nie zatrzymując się ani na chwilę mówił:

— Zapominasz, że bez naszej pomocy nie zrobiłbyś najmniejszego ruchu. Jesteś tylko żalonym, ściganym pretendentem do nieważnego tronu. Gdyby nie my, już dawno dopadliby cię mordercy. Istniejesz tylko dlatego, że jesteś nam potrzebny. Ten układ jest korzystny przede wszystkim dla ciebie.

— Beze mnie też byście niczego nie dokonali.

— Nie wiadomo. W najgorszym razie znaleźlibyśmy sobie jakiegoś innego żadnego sławy i władzy wodza.

— Nie ma takiego poza mną.

— Tak sądzisz?

— A czego wy chcecie? Tej samej władzy i sławy.

— Mylisz się. Nam potrzebna jest inna władza i inna sława. Prawdziwa władza bez hałasu bębnow. Bębny, trony i korony pozostawimy tobie. Ciesz się nimi. Niechaj dzicy lirnicy opiewają twoje bohaterskie czyny w swoich pieśniach... Ale dość tego gadania. Będę rozmawiał z panem WaraJu. Powiem mu, że znaleźliśmy arsenał. Czasu nam ledwie wystarczy. Musisz teraz być zawsze przytomny, zawsze silny i gotowy do boju. Nie myśl, że sprawa jest prosta i już wygrana.

„WaraJu — powiedział do siebie Andrew. — Szanowana postać, dowódca Straży Miejskiej cieszący się zaufaniem rządu... Jak to historia lubi się powtarzać! Zawsze znajdzie się jakiś pierwszoplanowy aktor, który głośno krzyczy i wymachuje szabelką... A za jego plecami stoją ci, którzy nie lubią pchać się na scenę...”

DrokU wyszedł z mesy. Prug Brendyjski zamierzał wyjść za nim, ale zatrzymał się i zamyślił, stukając palcami w wieko fortepianu.

\* \* \*

— Jak do tego mogło dojść? Jeszcze rozumiem, że w jakąś awanturę pakuje się górskie książętko, dziki człowiek. Ale ten cały WaraJu to przecież człowiek odpowiedzialny, który w dodatku ma wszystko, czego do życia potrzeba — dziwił się doktor, do którego Andrew przyszedł po wymknięciu się z biblioteki.

— W hierarchii społecznej stoi dość nisko — wyjaśnił mu Bruce. — Stanowisko też ma raczej niewysokie i w dodatku wywodzi się z rodu, który wcale nie należy do najlepszych domów stolicy. Wybił się dzięki swoim osobistym zdolnościom i sprytowi. Pięćdziesiąt lat temu nawet nie mógłby marzyć o takiej władzy, jaką dziś ma. Ale taka władza mu nie wystarcza, bo zrozumiał, że to jeszcze nie jest granica jego możliwości. Niegłupio to wymyślił, żeby załatwić całą sprawę rękami górskiego księcia. Górskiego, ale pozbawionego oparcia w swoim klanie.



— Na co liczy?

— Trudno dokładnie powiedzieć, ale spróbujmy pospekulować... Zjawia się statek. Nasz statek uzbrojony dość silnie, aby zniszczyć całą stolicę. Już dawno zrozumiałem, że plany Pruga dotyczą nie tylko jego górskiego księstwa, którego chyba w ogóle nie ma na mapie. A do rozegrania drugiego aktu dramatu potrzebny im jest swój człowiek w stolicy. W przeciwnym wypadku, nawet poradziwszy sobie z rządem. Prug i tak utraci całą przewagę, jaką osiągnie, kiedy tylko stanie na Pe-U. Będą tam na niego czekać. Nie będzie przecież ciągnął ze sobą bomby. W najlepszym razie sam się może na niej wysadzić w powietrze. Ale kiedy ma na miejscu człowieka czy organizację, która wykorzystując zamieszanie i panikę potrafi przejąć władzę, to co innego. Poza tym nie jest wykluczone, że WaraJu do końca będzie działał jako surowy przeciwnik anarchii i bezprawia, i spróbuje zagarnąć władzę nie jako sojusznik Pruga, lecz jako jedyna siła zdolna mu się przeciwstawić... Może nie mam racji, bo przecież nie wiem, jak dalece Prug jest WaraJu powolny, do jakiego momentu jest mu się skłonny podporządkować.

DrokU wszedł do kabiny łączności.

\* \* \*

Nie był nowicjuszem i dokładnie wiedział, co należy zrobić.

Zamknął i zaryglował za sobą drzwi, usiadł w fotelu radiotelegrafisty, na drugi fotel rzucił toporek, z którym jak na górala przystało nigdy się nie rozstawał, po czym włączył aparaturę i sprawdził ją. Wsunął kartę z programem szyfrującym. Kiedy nadajnik się dostrajał do zadanej częstotliwości uruchomił odbiornik i niemal natychmiast usłyszał wywołanie „Vacjusa”. Wywołanie było automatyczne — ciche brzęczał kod „Szkwału”. Nie wyłączając głośnika wezwał Pe-U.

— Zaczynam nadawanie — powiedział. — To ty, WaraJu?

— Spóźniłeś się o trzy minuty! — warknął WaraJu. — Co się tam u was dzieje?

— Dobre wiadomości. Znaleźli.

— Kiedy możecie startować?

— Jak tylko wrócą.

— Spieszcie się.

— U was też coś się zmieniło?

— Naprawiają radiostację. Zbliży się statek Floty Kosmicznej „Vacjus”. Jak na razie nie wiemy, gdzie jesteście, ale armia już wie. Jeżeli naprawią łączność, przechwycą was. Ile zajmie droga powrotna?

— Dwanaście godzin.

— Wojsko przysłało żołnierzy do ochrony radiostacji.

— Coś podejrzewają?

— Zawsze mnie podejrzewali. Wyśledzili mojego człowieka, który zorganizował porwanie wozu bojowego. Oczywiście przyznał się.

— Nie można go sprzątnąć?

— Pilnują go, ale spróbuję.

— Startujemy, gdy tylko łazik znajdzie się na pokładzie. Musisz coś zrobić, żeby Flota Kosmiczna nie zdążyła nas przechwycić. Inaczej wszystko pójdzie na marne.

— Wiem o tym lepiej od ciebie — powiedział WaraJu. Statek jest uzbrojony?

— To przecież lotnictwo cywilne. Co najwyżej załoga ma pistolet)

— W najgorszym razie będziemy się bić — powiedział DrokU. Może już pora, żebyś zaczął działać?

— Jeżeli jesteś przekonany, że wystartujecie w najbliższym czasie, to zaryzykuję. Wiesz, jakie to niebezpieczne. Teraz wszystko zależy od ciebie, DrokU.

— I od Pruga.

— Dlatego powierzyłem to zadanie tobie. Poza tym wszystko w porządku?

— Powiedziałem im, że jestem twoim agentem. I ich sojusznikiem

— Uwierzyli?

— A ty nie uwierzyłbyś temu, kto daje ci szansę przeżycia? Boją się śmierci.

— Wielu umarło?

— Niektórzy umarli...

— Czekam na ciebie, DrokU.

— Będę się spieszył.

\* \* \*

Kapitan „Vacjusa” był w kabinie radiowej.

Jako fatalista wierzył, że powinno mu się udać. Wiedział, że w Kosmosie nikt dobrowolnie nie zrezygnuje z łączności i jeśli już ktoś zdecydował się na porwanie statku, to musiał przewidzieć możliwość łączności z bazą i prędzej czy później z tej możliwości skorzysta.

Czas płynął.

„Vacjus” szedł na Pe-U i z każdą sekundą oddalał się od Ar-A.

Kapitan Inbuke uparcie czekał i czuwał i kiedy odezwał się nadajnik „Szkwału” jego rozmowa z WaraJu została namierzona.

— Korespondent statku znajduje się na planecie Pe-U — poinformował kapitana radiooficer.

— Gdzie teraz znajduje się „Szkwał”? — zapytał kapitan.

Po chwili komputer podał koordynaty punktu na powierzchni Ar-A. Kapitan wezwał niezwłocznie nawigatora wachtowego i ogłosił przez interkom, że „Vacjus” zmienia kurs. Kapitan był fatalistą i ten fakt napawał go niejaką dumą.

Był przy tym zadowolony, że nie dał się zwieść logice.

Niestety, komputer pokładowy „Vacjusa” nie miał przystawki translacyjnej, więc treść przechwyconej rozmowy pozostała dla Kriończyków tajemnicą. Kapitan bardzo tego żałował, bo zdawał sobie sprawę z tego, że ta rozmowa oznaczała jakąś decyzję przeciwnika.

\* \* \*

Załoga „Szkwału” pospiesznie zjadła obiad i wróciła do rozgrzebanej radiostacji.

W mieście dobiegała już końca druga część dnia, było ciepło i wszędzie unosił się kurz. Żołnierze strzegący radiostacji wyglądali jak zardzewiałe słupy.

Olsen tkwił przy telefonie polowym. Dwa razy dzwoniło z kwatery Jego Potężności, potem odezwał się Przemądry ze Szkoły Wiedzy. Trzy razy telefonował WaraJu. Wszystkich interesowało jedno: kiedy radiostacja zacznie działać.

Wieści o wydarzeniach na kosmodromie dotarły już do najdalszych miast planety i wywołały tam różne reakcje. Niektórzy obawiali się zemsty Centrum Galaktycznego lub tego, że ludzie z Centrum opuszczą Pe-U. Byli i tacy, którzy radzi byli z sukcesu Pruga Brendyjskiego. Nie było wprawdzie na ten temat żadnej oficjalnej informacji, ale panowało powszechne przeświadczenie, że Prug udał się na Ar-A, do ojczyzny gigantów. Bo dokąd właściwie, jeśli nie tam, mógł wielki wódz polecieć?

Olsen każdemu telefonującemu cierpliwie tłumaczył, że prace przy radiostacji zbliżają się do końca, że to już kwestia nawet nie godzin, tylko kwadransów. Potem wspiął się na pierwsze piętro dyspozytorni, gdzie rozbite okna przesłonięto prowizorycznie płacami plastiku. Było duszno, ale te osłony były konieczne, żeby wiatr nie zasypał wszystkiego zwałami kurzu.

Kosmonauci padali ze zmęczenia — nie spali przez całą noc, pochłonięci gorączkową pracą. Doskonale jednak rozumieli, że najgorzej ma prawo czuć się Olsen, uspokajali go więc i zapewniali, że do zrobienia zostało już bardzo niewiele.

\* \* \*

Oficer, który jeszcze trzy dni temu dowodził szwadronem wozów bojowych, zniknął zaraz po porwaniu „Szkwału”. Nie na długo, bo ostatniej nocy został zatrzymany w dolinie nad jeziorem. Rano rozmawiał z nim sam Jego Potężność. Obiecał życie jemu i jego klanowi w zamian za prawdę. Inaczej zginie cały klan. Jego Potężność nie żartował.

Oficer poprosił o wodę. Był śmiertelnie zmęczony i chciał spać. Obiecał, że powie wszystko, aby tylko jego klan ocalał.

Jego Potężność opuścił celę, rozkazawszy swoim podkomendnym kontynuować przesłuchanie. Jemu wystarczyło imię, które wypowiedział zdradziecki oficer.

WaraJu.

Teraz potrzebne były dowody. Oficera, kiedy tylko wyśpiewa wszystkie szczegóły spisku, należy przewieźć do Pałacu Rządu.

Żołnierz przyniósł wodę i postawił kubek na stole.

Oficer łąpczywie wypił i natychmiast zwałił się martwy.

Jego Potężność jeszcze nie zdążył opuścić koszar, w których odbywało się przesłuchanie.

Zatrzymano żołnierza, który przyniósł wodę. Powiedział, że dostał ją od dyżurnego siedzącego w korytarzu.

Dyżurny nie żył. Wiedząc, czym ta sprawa dla niego się skończy, wsypał resztę trucizny do drugiego kubka z wodą i wypił.

\* \* \*

Olsen wciąż jeszcze siedział przy telefonie. Mimo, że ze wszystkich sił starał się zwalczyć senność, to jednak zdrzemnął się wtulony w niski fotel. I przyśnił mu się radosny sen — znękany mózg chciał się pocieszyć bodaj we śnie. Przyśniło mu się mianowicie, że strażacy rozgrzebali zgliszczą domu i odnaleźli wszystkie jego rękopisy, całe i nawet nie pomięte.

— Olsen! — zawołał Salandri odchylając róg plastikowej zasłony. — Może już pan do nas przyjść. Za kilka minut wypróbujemy naszego potwora.

— Lecę! — poderwał się Olsen. Zadzwoił telefon.

— Mówi WaraJu. Co nowego?

— Radosne wiadomości. Mamy łączność. Trudno w to uwierzyć, lecz chłopcy mówią, że za parę minut wszystko zacznie działać.

— Gratuluję — powiedział WaraJu. — Niestety, nie mogę przyjechać, jestem straszliwie zajęty. Pojawiły się nowe okoliczności... Ale chyba poradzicie sobie beze mnie?

— Oczywiście, że sobie doskonale poradzimy. Zrobimy wszystko jak należy.

WaraJu nie dzwonił z miasta. Jego samochód z telefonem stał w suchym lasku o dwa kilometry od kosmodromu. Drzewa szeleściły cienkimi igiełkami i wydawało się, że to setki maleńkich

werbli ogłaszają początek bitwy.

WaraJu pozwolił sobie na minutę odprężenia. Myślał.

Wyliczenie czasu powinno być absolutnie dokładne.

Im później rozpocznie ryzykowną akcję, tym mniej czasu zostanie do pojawienia się „Szkwału”. A on musi doczekać przylotu „Szkwału”...

WaraJu bardzo chciał żyć, ale równie silnie chciał zwyciężyć. Był hazardzistą. Hazardzistą o zimnej krwi i stalowych nerwach. Zwyciężał we wszystkich grach i wszystkich zakładach. Tak było zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa. Nigdy nie był lubiany, nawet w szkole, bo przecież nie lubi się ludzi, którzy biorą górę w każdym sporze a uchylają się przed walką wręcz woląc, żeby bili się za nich inni. Nie lubiano go także później w Ochronie, gdzie akurat odbywała się kolejna wielka reorganizacja. Przyszedł tam wprost ze szkoły. Przyszedł jako zwykły szeregowiec i okazało się, że jest bardzo zdolny.

Służba Ochrony, którą przeciwstawiono oddziałom klanowym, niezdiscyplinowanym, niepewnym i warcholskim, miała za zadanie przejąć funkcje Straży Miejskiej zdominowanej przez kupców. Dlatego solidnie ją zreorganizowano. I dlatego potrzebowała na gwałt fachowców WaraJu był bardzo zdolnym młodym człowiekiem i miał skłonność do myślenia racjonalnego. Nic więc dziwnego, że kiedy wysyłano stażystów do Centrum Galaktycznego, to poza czterema arystokratycznymi oficerami Ochrony znalazł się wśród nich również WaraJu.

Kiedy po trzech latach wrócił — zmieniony, poważny i solidny mianowano go zastępcą jednego ze stażowych kolegów. Kolega był krewnym samego premiera. Nie lubił WaraJu, ale musiał oddać sprawiedliwość jego zdolnościom i użyteczności. Stopniowo w oddziale straży przyzwyczajono zwracać się do WaraJu ze wszystkimi sprawami i problemami. Jego szef kupił sobie większy dom i zaczął wydawać wytworne przyjęcia. A kiedy szybko przeniesiono go na wyższe stanowisko, czego naturalnie należało oczekiwać, to liczni kandydaci na stanowisko dowódcy tak się między sobą gryźli, że władzom nie pozostawało nic innego, jak tylko obsadzić wakujące miejsce WaraJu.

Około czterdziestki był już dowódcą Straży Miejskiej. Ale to było już szczytem jego możliwości awansu, nie bacząc na zdolności i zasługi. Nie należał przecież do elity rodowej. Odpowiednich przodków mógł sobie wprawdzie kupić, ale i tak ludzie, od których zależały jego losy doskonale znali jego pochodzenie, a poza tym go nie lubili. Zresztą WaraJu nie robił nic, aby go lubiano.

Drogę do prawdziwej władzy wskazał mu DrokU, jedyny naprawdę bliski mu człowiek. Łączył ich wzajemny szacunek i wzajemna obawa. Poznali się i zbliżyli w Centrum Galaktycznym — dwóch młodych ludzi z prowincjonalnej, zacofanej planety.

To właśnie DrokU zwrócił uwagę WaraJu na to, iż na Ar–A przyleciała ekspedycja archeologiczna. Wydawać by się mogło, że jest to sprawa jak najdalsza od zainteresowań dwóch oficerów policji. Jakaś tam ekspedycja archeologiczna na sąsiedniej planecie!...

Ale dla wszystkich mieszkańców Pe–U planeta Ar–A nie była zwyczajnym ciałem niebieskim, nie była tylko rozświetlającym nocne niebo księżycem. Życie jej mieszkańców wywarło przemożny wpływ na życie Pe–U, zagłada jej cywilizacji dokonała się całkiem niedawno, a ślady pożarów i kratery po wybuchach na jej powierzchni były widoczne jeszcze gołym okiem. Potęga i mądrość gigantów była więc czymś dla każdego oczywistym.

Trzeba jednak było mieć pełną fantazji i awanturniczych pomysłów głowę DrokU, aby obecność archeologów na Ar–A wykorzystać dla siebie. Dwa czynniki — istnienie ambitnego, gotowego na wszystko dla zdobycia władzy księcia i wykopaliska na Ar–A połączył sobie w jedną całość jeszcze przed przybyciem Focjusza van Kuuna, bo wiadomości o odkryciach archeologicznych na planecie gigantów znacznie jego przylot wyprzedziły.

DrokU porozumiał się z dowódcą Straży Miejskiej i zaczął działać. Najpierw posiał w duszy

Pruga Brendyjskiego ideę zawładnięcia arsenałami Ar–A, które w przeciwnym razie trafią do Centrum Galaktycznego. Następnie skaptował dla swojego planu ambitnego i niezadowolonego z życia WosenJu.

Przylot van Kuuna przyspieszył bieg wydarzeń. Archeolog przywiózł schematy wykopalisk, był źródłem dokładnych informacji.

To jednak nie wystarczało. Potrzebny był statek kosmiczny. Okazał się nim „Szkwał”.

Dalej wszystko było proste.

Van Kuuna wyśledzili i porwali ludzie Pruga.

Potem do gry włączył się WaraJu. Miał za zadanie unieszkodliwić Andrew Bruce’a oraz kapitana grawilotu i przekonać wszystkich, że archeolog został przez rabusiów utopiony w jeziorze.

Do Andrew strzelał agent WaraJu. Tylko jego agenci posługiwali się strzałkami z wyciętą cechą. Tajna policja nowego typu nie miała zwyczaju przestrzegać staroświeckich zasad honorowych...

Siedząc przez minutę w pełnym bezruchu WaraJu przebiegł w myślach cały łańcuszek wydarzeń. I spróbował zajrzeć w przyszłość.

Jeżeli „Szkwał” startuje teraz z Ar–A, to jutro rano będzie na miejscu. „Vacjus” wyląduje na kosmodromie dopiero w południe. Spóźni się. Ale jeśli zmieni kurs na Ar–A, to dotrze tam za parę godzin. Los tak rozstawił tego dnia planety na orbitach. Dobry rozkład dla wygrywającego, fatalny — gdy się przegrywa.

A więc ryzykujemy!

— Ryzykujemy — powiedział WaraJu i nacisnął guzik na tablicy rozdzielczej swego samochodu.

— Gotowi? — zapytał.

— Gotowi — odpowiedziano.

— Jedziemy — rozkazał WaraJu kierowcy.

Ruszyli w stronę Wzgórz Cudu Doskonałego, skąd widać było kosmodrom.

\* \* \*

— On tu zaraz przyjdzie — powiedział doktor.

— Też tak sędzę — zgodził się Andrew. — Denerwuje się, czeka na powrót łązika. Nie ma pojęcia, czym się to skończy. Jeżeli wpadną, to powinien zatroszczyć się o własną skórę. Pomoże nam albo...

— Co?

Andrew uśmiechnął się:

— Albo pomoże pozornie, skłaniając do zdecydowanych działań. Jak przyjaciel i sojusznik.

— Nie rozumiem.

— Czego możemy się po nim spodziewać?

— Podłości! — wykrzyknął doktor.

— Nie ma pan racji, łaskawco. Ufnie czekamy na jego pomoc. Nie podejrzewamy nawet, jaką rolę odgrywa w całej tej historii i wijemy się w bólach niepewności... Miotamy się bezsilnie, nie wiedząc jak uratować porwany statek, jak ocalić życie. DrokU tego właśnie się po nas spodziewa, na to liczy.

— Ale paskudnie się przeliczy! Doktor aż się obliznął na myśl o zaskoczeniu DrokU. — Jeżeli pan pozwoli, sam mu to powiem.

— Nie pozwolę — zareplikował Andrew spokojnie.

— Nie powie mu pan?

— Wiedza to najcenniejszy skarb we wszechświecie. A znajomość utajnionych przez wroga informacji, to najcenniejsze dobro wojny, drogi doktorze. Im mniej wie on, a im więcej wiemy my, tym lepsza jest nasza sytuacja.

— Nie zgadzam się z panem! — zirytował się lekarz. — Uważam, że zabawa w chowanego z tymi typami jest poniżej naszej godności. To przecież mordercy. Nasza ludzka godność wymaga, abyśmy byli zupełnie szczerzy, bo w przeciwnym razie stoczymy się do ich poziomu i przestaniemy być sobą.

— Proszę mi wybaczyć, ale ja jestem na służbie — powiedział twardo Andrew. — Muszę strzec majątku Floty Kosmicznej i życia ludzi. Jeżeli w tym celu los zmusi mnie do przejściowego sojuszu z diabłem, to niestety wejdę w ten układ. W przeciwieństwie do pana nie mam kwalifikacji na bohatera bez zmyślenia.

Doktor spurpurowiał. Nikt nie lubi, kiedy się z niego śmieją.

— Nie przepadam za cynizmem — powiedział.

— De gustibus... — uśmiechnął się Andrew. — Zaapeluję więc do pańskiego rozsądku. Być może sojusz z DrokU, który uważa pan za haniebną, pozwoli mi odzyskać częściową swobodę ruchów na statku. To dla mnie bardzo ważne. Nie mam wcale ochoty siedzieć w kajucie jak przysłowiowy indyk, który myślał o niedzieli...

Zauważywszy, że lekarz ponownie spurpurowiał z obrazy, dorzucił szybko:

— Proszę się nie gniewać, nie pana miałem na myśli. Chcę jeszcze coś dodać. Tylko do pana wiadomości. Zamierzałem ożenić się z dziewczyną urodzoną na Pe-U. Nazywała się PetriA. W dniu porwania statku zabili ją. Właśnie ci ludzie.

— Kto? — zapytał doktor.

— Wziąłem na siebie śmiertelną zemstę w imieniu jej rodziny. Jest tu taki prymitywny, barbarzyński zwyczaj”

— Kto ją zabił? Prug?

— Nie, on był wtedy u siebie... Zresztą to teraz nieważne.

Wszedł DrokU. Uśmiechał się jasnym, chłopięcym uśmiechem.

— Przyjaciele — powiedział, grając przekonująco rolę sekretnego sojusznika — sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna.

\* \* \*

Włóczędzy leżeli na skraju płyty lądowiska. Niektórzy leżeli tam od dawna, a wciąż przybywali nowi. Kiedy podnieśli się i ruszyli do przodu, to wydawało się, że od ściany żółtego kurzu odrywają się hordy dzikich, przeraźliwie wrzeszczących posągów.

W tym tłumie rzeczywiście większość stanowili prawdziwi włóczędzy, grabarze, złodzieje i żebracy kupieni za darmową popijawę i parę nędznych groszy. Ale organizowali ten tłum, prowadzili go i zaopatrzyli w materiały wybuchowe agenci straży. Oczywiście oni też byli ubrani jak trzeba — w koszuliny włóczęgów obszyte muszlami, w śmieciarskie chałaty upstrzone pestkami, w kurtki grabarzy i w różnokolorowe wdzianka rabusiów inskrustowane żyłkami i kawałkami szkła, które błyszczały w promieniach zachodzącego słońca.

Żołnierze umęczeni stanieniem na upale, otepiali ze znużenia pogubili się i zbyt późno otworzyli ogień. Jeden z nich upadł celnie trafiony strzałką, pozostali runęli w stronę dyspozytorni.

Ze wzgórze, na którym stał WaraJu, sytuacja nie była zbyt dobrze widoczna. Wiał wiatr i kurz wzniecony setkami bosych nóg zasłaniał pole widzenia.

Olsen widział wszystko o wiele lepiej.

Po nocnym pożarze był przekonany, że ktoś na pewno będzie starał się zniszczyć również nową radiostację. Co więcej, był przekonany, że za tym zamachem będzie stał jeden z tych ludzi, którzy tak natarczywie teraz do niego wydzwaniali.

Wiatr oderwał plastikową zasłonę i przez wybite okno widać było dokładnie zbliżające się do dyspozytorskiej postaci. Żołnierze, ostrzeliwując się, właśnie do niej podbiegali.

— Włączaj! — wrzasnął Salandri do radioofficera, który coś tam jeszcze poprawiał w nadajniku.

— Dwie minutki! — odkrzyknął radiooficer. — Jean, pomóż mi! Nawigator rzucił się do niego.

Olsen obejrzał się i zobaczył, że dwóch żołnierzy przyklękło przed wejściem do kabiny łączności i wycelowało w tłum. Może i kogoś trafili, ale szalejąca tłuszcza na to nie zareagowała.

Jeden z kosmonautów odrzucił zasłonę z drugiej strony.

— Są już blisko! — krzyknął.

— Na górę! — rozkazał żołnierzom Olsen. — Idźcie na górę.

Żołnierze skwapliwie usłuchali. Wbiegli po schodach. Jeden z nich upadł. Potem podniósł się i zaczął wpełzać wyżej. Olsen chciał mu się rzucić na pomoc, ale Salandri go powstrzymał.

— Nie zdąży pan!

Miał rację, tłum był tuż tuż... Pochłonał rannego. Pozostali żołnierze pędzili po schodach.

Salandri krzyknął do radioofficera, który jeszcze nie uruchomił nadajnika:

— Przekaż łączność konsulowi. Będę na schodach!

Za nim pobiegło jeszcze trzech kosmonautów. Czwarty pozostał na miejscu, pomagając w nawiązaniu łączności.

Ryk tłumu przybliżał się i był tak głośny, że trudno było rozmawiać.

Olsen raz jeszcze wyrzwał przez okno i nie zdążył odskoczyć kiedy koło ucha gwizdnęła mu kula. Strzelał ktoś z tylnych szeregów, ale chybił. Olsena trafił za to w skroń kamień ciśnięty przez ryżego złodziejaska w szarej koszuli obwieszonej żyłkami. Konsul chwyciwszy się za głowę osunął się na ziemię. Nikt tego nie zauważył.

W powszechnym zamieszaniu i zgiełku każdy starał się zajmować swoimi sprawami, jeśli „zajmowaniem się własnymi sprawami” można nazwać to, że Salandri chwyciwszy broń zabitego na schodach żołnierza strzelał do tłumu wraz z ocalałymi wojskowymi, starając się celować w nogi nacierających. Żołnierze strzelali żeby zabić. Walczyli o życie. Doskonale wiedzieli, że jeśli się poddadzą, to tłum rozerwie ich na strzępy.

Harmider narastał. Napastnicy, wznosząc tumany kurzu, podniecali się gromami rzuconymi na tchórzliwych szczurów. Musieli jednak nieco powstrzymać swój impet, bo żołnierze przyszli już nieco do siebie i ich strzały nabrały jeszcze większej celności. W dodatku na wąskich schodach nie można było atakować hurmem.

WaraJu widział ze wzgórza, jak pierścień ludzi zacieśnia się wokół dyspozytorskiej, a potem zalewa ją. Uspokoił się. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. A plan przewidywał nie tylko zniszczenie środków łączności, lecz także przekonanie wszystkich, że napad był dziełem klanów górskich wspomaganych przez różne elementy przestępcze. Niech nawet podejrzewają, że to on stał za tym napadem, ale nie mogą mieć żadnych dowodów. Państwo to zbyt skomplikowana machina, żeby byle podejrzenie mogło ją wprawić w ruch.

WaraJu czekał na wybuch. Nie denerwował się. Jeśli wybuch nawet nie nastąpi, to i tak dzika banda włóczęgów rozniesie aparaturę na kawałki. Nie wydawał rozkazu zabicia kosmonautów. Nie kazał też ich oszczędzać. Ich los był mu po prostu obojętny.

— Jest łączność! — wrzasnął Jean, odrywając się od nadajnika. Chciał, żeby Olsen jak najszybciej połączył się z „Vacjusem”. Był bardzo młody. Ominęło go pierwsze starcie i lękał się, że walka zakończy się bez niego.

Nagle zauważył, że malutki, krągły konsul, którego dom spłonął tej nocy, leży skulony na

podłódze i przyciska ręce do głowy. Spomiędzy palców sączyła mu się krew.

— Utrzymaj fale! — krzyknął do drugiego radioofficera i rzucił się na pomoc Olsenowi. Usiłował oderwać mu ręce od głowy, ale konsul stawiał opór.

— Żyje pan? Niechże pan odpowiada! Żyje pan?

— Powiedz mu... — Olsenowi wydawało się, że krzyczy, ale jego głos był ledwie słyszalny. — Powiedz mu... planeta Ar-A... „Szkwał” na Ar-A. Zrozumie...

Jean pojął, o co konsulowi chodzi. Z powrotem rzucił się ku nadajnikowi.

— Pracuje! — krzyknął drugi radiooficer.

Jean chwycił mikrofon.

— „Vacjus”! Jak mnie słyszysz? Potwierdź łączność!

Usłyszał szum walki pod samymi drzwiami i kątem oka dojrzał głowy swoich kolegów już na wysokości progu. Nie miał czasu czekać na potwierdzenie. Ryknął w mikrofon, ryknął tak, jakby od siły jego głosu zależało, czy tamci go rozumieją:

— „Szkwał” jest na planecie Ar-A! „Szkwał” jest na planecie Ar-A!... I powtarzał to zdanie tak długo, aż powaliła go strzałka z dmuchawki...

\* \* \*

Kapitan „Vacjusa” przeczytał krótką depezę nadaną z Pe-U.

— To wszystko? — zapytał radioofficera.

— Nic więcej nie przekazano.

— Dziękuję. Idziemy prawidłowo. Proszę wezwać do mnie inżynierów. Chcę zwiększyć prędkość.

To było niemożliwe, bo statek i tak szedł już pełną mocą silników. Dalsze przyspieszanie mogło się skończyć katastrofą lub degradacją kapitana za pogwałcenie przepisów bezpieczeństwa.

W godzinę później prędkość wzrosła o tysiąc kilometrów na sekundę.

\* \* \*

— Mam bardzo mało czasu — powiedział DrokU. — Wrócił łazik z bronią. Może mnie to kosztować głowę, ale pomogę wam wszystkim uciec ze statku.

— Po co? — zapytał Andrew uśmiechając się tak przyjaźnie jak przed chwilą DrokU. Wywołał tym wielkie oburzenie doktora, który nie chcąc się zdradzić wyrazem twarzy przeszedł do przedziału wewnętrznego, udając że sprawdza czujniki wanny anabiotycznej, w której leżał Jakubauskas.

— Bo jestem przekonany, że Prug przed startem wszystkich was wymorduje.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Dobrze go znam. — Twarz DrokU spoważniała. — Ma na sumieniu wiele trupów i jeżeli go nie powstrzymamy, tragedia może przybrać przerażające rozmiary.

— Jak mamy go powstrzymać? Uciekając ze statku?

— Ani wy, ani ja nie dysponujemy odpowiednimi środkami. Nic nie zdziałamy przeciwko dwóm dziesiątkom oddanych Prugowi myśliwych. Nie mamy żadnych szans. Tutaj. Ale Pruga oczekują na Pe-U, do której zbliża się teraz „Vacjus”. Straż i wojsko postawione w stan pogotowia. Brendyjczyk zostanie unieszkodliwiony natychmiast po wylądowaniu na planecie.

— Skąd pan to wie?

— Słyszałem rozmowy „Vacjusa” z Pe-U.



To było kłamstwo i DrokU czujnie wpatrzył się w Andrewa, aby sprawdzić czy on to kłamstwo przełknie. Andrew udał, że nic go w tej informacji nie dziwiło. Było mało prawdopodobne, żeby Prug chciał stracić cennych zakładników, ale z kolei DrokU nie chciał mieć na statku świadków. Nie miał odwagi ich zabić, a w dodatku wyprowadzając jeńców ze „Szkwału” zabezpieczał się na wypadek niepowodzenia akcji. On przecież nikogo nie zabijał. On tylko ratował.

— Bzdury! — odezwał się zza przepierzenia doktor. — Bruce może sobie iść, ale ja zostaję. Mam tu chorego. Jestem członkiem załogi i moje miejsce jest na pokładzie.

— Kiedy pana zabiją — zauważył DrokU — choremu i tak będzie wszystko jedno. Wątpię, czy pozostawią go przy życiu.

— Ja swoje powiedziałem! — warknął lekarz i szybko wszedł do izolatki.

DrokU rozłożył ręce.

— Zrobiłem, co mogłem — powiedział ze smutkiem w głosie — Pan też zostaje?

— Każdy na swój sposób rozumie słowo „obowiązek” odparł Andrew. — Pójdę do swojej kajuty.

Wyszedł razem z DrokU.

DrokU był tak zaprzątnięty własnymi myślami, że nawet nie sprawdził, dokąd naprawdę kieruje się Bruce.

Przy drzwiach swojej kabiny Andrew zatrzymał się. Począł, aż DrokU się oddali, a potem ruszył za nim. Uległ nierozsądnej, ale przecież zrozumiałej ciekawości. Chciał przyjrzeć się łupowi Pruga.

\* \* \*

WaraJu zauważył wielką chmurę kurzu. Do kosmodromu zbliżał się szwadron wozów bojowych.

Ledwie rzucił okiem w tę stronę. Większość jego najemników wdarła się już do wieży dyspozytorskiej i wyglądało na to, że walka tam dobiega końca. Wozy bojowe nie zdążą przeszkodzić włóczęgom w wykonaniu zadania, którego się skwapliwie i z przyjemnością podjęli. Bandziory na pewno zetrą radiostację na proch.

Nie ma tu nic więcej do roboty, a im dalej znajdzie się od kosmodromu, kiedy opanują go żołnierze, tym dla niego lepiej. Tym bardziej, że WaraJu formalnie gra teraz w piłkę na terenie posiadłości pewnego bogatego i ogólnie poważanego kupca, człowieka poza wszelkimi podejrzeniami. Jego sobowtór ubrany w mundur dowódcy Straży Miejskiej dobrany był tak doskonale, że był niemal nie do odróżnienia od oryginału.

Rozkazał kierowcy jechać do miasta.

Samochód nie zdążył jeszcze ruszyć, kiedy WaraJu obejrzał się na jakiś dziwny dźwięk. Obejrzał się i zamarł. Tego nie oczekiwał. Nad wieżą nadlatywały trzy helikoptery wojskowe. Nie spodziewał się, że ruszą je z bazy odległej od miasta o trzysta kilometrów... Jeśli Jego Potężność rozkazał przerzucić śmigłowce już rano, to znaczy, że wiedział o planowanym napadzie na dyspozytornię.

Samochód zjechał już ze wzgórza i WaraJu nie widział, jak komandosi zeskakiwali na dach wieży kontrolnej i obstawiali wyjścia z niej.

Polecił jechać do swojej kwatery. W tej sytuacji jego naiwne alibi nie mogło już pomóc.

\* \* \*

Komandosi wdarli się do dyspozytorni akurat w momencie kiedy tłum napastników zdołał już pokonać ostatnich jej obrońców i rzucił się do niszczenia radiostacji. Prawdopodobnie właśnie to uratowało żywych jeszcze kosmonautów i żołnierzy przed niechybną śmiercią. Komandosi opanowali dyspozytornię i wyparli z niej włóczęgów i agentów WaraJu.

Olsen, wciśnięty w kąt i usiłujący otrzeć z oczu zalewającą je krew, potraktował zjawienie się komandosów jak dalszy ciąg koszmaru. Komandosi ubrani byli w jaskrawopomarańczowe kamizele, krótkie błękitne spódniczki i białe buty z cholewami. Na kamizelach nosili złociste półpancerze, a na głowach spiczaste hełmy z niewielkimi przyłbicami, osłaniającymi jedynie czoło i oczy. I kiedy podobni czartom, rycerzom i błaznom naraz ruszyli do akcji, Olsen zapomniał o nożu, którym chciał go przebić jakiś szczególnie zacięty rabuś i wrzasnął:

— „Niech żyje Klan Rosen, obrońca uciśnionych!”

Był to dokładny cytat ze starożytnej byliny zatytułowanej „RosenJu i demony chciwości”.

Institucja jeńców wojennych na planecie Pe-U nie istniała. Wiedzieli o tym doskonale włóczędzy, którzy mieli nad komandosami przewagę liczebną. Walczyli więc rozpaczliwie, chcąc przed śmiercią zlikwidować jak największą liczbę wrogów. Więcej instynktu samozachowawczego wykazali agenci WaraJu, którzy korzystając z zamieszania starali się prysnąć. Nie bardzo im się to udawało, bo po wydostaniu się z dyspozytorni dostawali się pod ogień wozów bojowych.

Radiostacja znów była zniszczona. Jean nie żył.

Dwóch kosmonautów było rannych, w tym Salandri ciężko.

Rana Olsena okazała się właściwie powierzchownym draśnięciem, więc Helena Kazimirowna sama, nie dowierzając miejscowym lekarzom, obmyła ją i opatrzyła.

\* \* \*

Andrew zatrzymał się przy wrotach przedziału magazynowego, gdzie wojownicy Pruga rozładowywali łązik. Prawie się przy tym nie krył. Nie musiał, bo wszyscy byli zajęci czym innym. Nastąpiła przecież wielka chwila. Broń gigantów, przy pomocy której można było zdobyć władzę i sławę została nie tylko odnaleziona, ale również zdobyta.

Prug Brendyjski przybył tuż przed zjawieniem się Andrew i stanął przy otwartym luku ładunkowym.

Wojownicy wnosili właśnie do wewnątrz pierwszą bombę — krótki pękaty cylinder umieszczony na niskim wózku. Wnosili swój skarb ostrożnie i tak dumnie, że Andrew uśmiechnął się do siebie widząc, jak gładko dokonuje się naturalny podział na komenderujących i wykonujących komendy. Ci, którzy pozostali na statku i nie brali udziału w wyprawie do arsenału zostali jakby odsunięci na drugi plan. Nie dopuszczono ich nawet do rozładunku jako niegodnych, zupełnie jakby wyprawa po broń naznaczyła jej uczestników tajemniczym stygmatem wyższego wtajemniczenia. Nawet WosenJu, który zawsze w obecności Pruga zachowywał się jak trusia, teraz wydawał gromkie rozkazy popędzając wojowników.

Andrew patrzył zafascynowany, jak z łązika wyłaniają się kolejno śmiertcionośne trofea.

Dwie bomby.

Wielka rura, być może działo bezodrzutowe.

Kilkanaście skrzynek amunicji.

Pistolety, karabiny.

Dwa pudła dziwnych w kształcie pocisków. Chyba pocisków.

I jeszcze cała masa różnych innych rzeczy o złowieszczym wyglądzie narzędzi mordu.

Ich zdobywcy stali szerokim kręgiem, podziwiając skarby, które dadzą im władzę nad planetą.

Górale sprawiali wrażenie stada małąp, które ograbiły bibliotekę.

Andrew cichutko się wycofał, a kiedy wszyscy zajęci byli przygotowaniami do startu, uszkodził zamek w swojej kabynie. Miał nadzieję, że w panującym zamieszaniu nikt o nim nie będzie pamiętał, ale nie chciał ryzykować.

\* \* \*

O jakieś pół kilometra od wejścia do podziemi łazik archeologów wpadł w wyrwę. Wyrwa była płytka, nikt poza Focjuszem nie ucierpiał, ale wóz zaklinował się i stracili ponad godzinę zanim wyprowadzili go na równą drogę.

Dlatego też, kiedy zbliżyli się do statku, ten nagle zaczął rosnać im w oczach jak wyrastający z ziemi gigantyczny grzyb.

Wznosił się coraz szybciej.

Leciał.

— Co teraz zrobimy? — zapytał bezradnie Focjusz van Kuun. Chcieliśmy przecież ich zatrzymać...

— Najpierw — powiedział rozsądnie Lwin — musimy doprowadzić do porządku naszą bazę. A to nie będzie łatwe.

Stali patrząc w niebo. Statek był piękny. Stanowił ucieleśnienie ludzkiego talentu i rozumu, ale wleciał po to, żeby zabijać. Gdzieś daleko zawyły wilki. Wychodziły na nocne polowanie.

\* \* \*

Kapitan „Vacjusa” był przewidujący, rozkazał więc otworzyć lazaret i przydzielić lekarzowi dwóch pomocników, przygotować w kambuzie dietetyczny posiłek dla dwunastu osób, na tyle bowiem oceniał liczebność załogi „Szkwału”, a ponadto, jako że był człowiekiem nie tylko przewidującym, lecz także przezornym kazał opróżnić dwie duże kabiny i zaopatrzyć je w zewnętrzne rygle, aby móc je wykorzystać jako tymczasowy areszt dla bandytów, którzy porwali statek.

Zebrał wreszcie swoich oficerów, żeby pouczyć ich co mają robić, jeśli bandyci będą stawiać opór.

Cywilne załogi latające Floty Kosmicznej to ludek wędrowny, którego praca związana jest nie tylko z długimi rozłąkami z domem, lecz także z ciągłymi zagrożeniami, jakich zwykły pasażer w ogóle nie jest świadom. Jednak lecąc w Kosmos każdy członek tego bractwa doskonale wiedział, że jego statek jest nie większy od ziarnka maku zatopionego w oceanie...

Właśnie to czysto fizyczne oderwanie od całej ludzkości rodzi wśród kosmonautów poczucie szczególnej więzi. Wątpliwe, czy znalazłaby się w Galaktyce inna kategoria ludzi, która równie bacznie obserwowałaby każdego członka swej grupy. Grupy zresztą niezbyt licznej, bo Flota Kosmiczna dysponuje zaledwie ponad stu jednostkami. Prawie wszyscy kosmonauci się znają albo o sobie słyszeli, mają wyznaczone miejsca spotkań, własny folklor, no i rzecz jasna własne plotki. Nowicjuszowi bardzo trudno jest wejść do tego hermetycznego światka i zanim zostanie uznany za swojego, musi najpierw zrobić wiele rejsów po międzygwiazdnych trasach.

Ale jeżeli któremukolwiek z galaktycznych pilotów czy mechaników przydarzy się jakieś nieszczęście, natychmiast spieszą mu na pomoc jego towarzysze — wszyscy, którzy tylko mogą się na coś przydać. Przydają się zresztą rzadko, bo katastrofy w Kosmosie trwają ułamki sekund i nikt nie wychodzi z nich żywy. Ale zdarzają się wyjątki.

Kiedy przed czterema laty takie nieszczęście przytrafiło się statkowi kapitana Andrew Bruce'a, to Andrew ocalał tylko dlatego, że „Wostok” pod dowództwem Witasu Jakubauskasa po odebraniu sygnału alarmowego dotarł na miejsce katastrofy o dwie godziny wcześniej niż wyliczył to komputer. Dwadzieścia minut później nie mógłby już w niczym pomóc.

Nic więc dziwnego, że w momencie, kiedy „Vacjus” zbliżał się do punktu rendez-vous ze „Szkwałem” mostek dosłownie trząsł się od pytań, rad i propozycji pomocy. Tym bardziej, że na „Szkwałe” znajdowało się dwóch kapitanów doskonale znanych wszystkim obecnym — Bruce i Jakubauskas.

\* \* \*

DrokU siedział w fotelu pilota.

WosenJu obok.

Milczeli. Potem WosenJu odezwał się nieśmiało:

— Czy mogę zadać panu jedno pytanie?

— Tak.

— Jeśli przylecimy i wszystko będzie jak trzeba, to w jaki sposób zrzucimy bombę?

— Otworzymy luk i wyrzucimy — odpowiedział szybko DrokU.

— A jeśli nie wybuchnie?

— Najważniejsze, żeby wszyscy wiedzieli, że mamy bomby.

— A jeśli nie wybuchnie?

— To zrzucimy drugą.

Znowu zamilkli.

\* \* \*

Nagle powróciła rozpacz — PetriA leży na kanapie i jej palce dotykają podłogi... Miał to przed oczami tak wyraźnie, że aż się zwinął z bólu i ze wstydu przed PetriA — że mógł o niej zapomnieć.

Na statku jest jej morderca. I nie jest ważne, który z nich zabił ją naprawdę. Dla nich morderstwo to drobny epizod, o którym już jutro się zapomina, bo nie warto o takim głupstwie pamiętać, chyba że groziło czyjaś krwawą zemstą. Zamordowali nie tylko PetriA. Z ich ręki zginęli też inni ludzie, którzy zawinili jedynie tym, że niechcący przeszkadzali mordercom w realizacji ich planów...

Władza w ich pojęciu, to zabijanie ludzi po to, żeby móc bezkarnie zabijać dalej. Władza dla samej władzy. Bo przecież żaden z nich nie zje na raz trzech obiadów i nie włoży na grzbiet trzech płaszczy jak Prug. Prug to zresztą tylko marionetka w rękach spokojnego, przyjaźnie uśmiechniętego DrokU...

Nieoczekiwanie zadźwięczał brzęczyk interkomu. Na ekranie ukazała się twarz DrokU.

— Jeśli to pana interesuje — powiedział — to w zasięgu widzenia mamy statek Floty Kosmicznej. Katalog Somowa podaje, że jest to jednostka o nazwie „Vacjus”.

— A więc koniec?

— Proszę spokojnie czekać. Zawiadomię pana o rozwoju wypadków.

\* \* \*

Prug przyszedł na mostek w trzy minuty później. Wyglądał marnie, widocznie źle znosił

przeciążenia, a może zaszкодziła mu wczorajsza eskapada?

Długo wpatrywał się w ekran. Wreszcie zapytał:

— Co to za jednostka? Krążownik patrolowy?

— Nie — odpowiedział DrokU. — To statek Floty Kosmicznej „Vacjus”. Zwykły transportowiec o niewielkiej szybkości.

— Możemy mu uciec?

— Tak Jeśli zaraz zmienimy kurs, dotrzemy na Pe-U przed nim. Komputer już ten kurs oblicza, ale na razie z tym zaczekamy...

— Są nieuzbrojeni — zachichotał Prug. — Pchają się nam prosto w ręce.

— Tak — powiedział DrokU.

— Durnie! Nie wiedzą, z kim mają do czynienia!

— Durnie — zgodził się z nim DrokU i przebiegł palcami po klawiaturze pulpitu sterowniczego. — Zmniejszamy szybkość — poinformował Delfina Brendyjskiego. — Nadajemy sygnał S.O.S. Dobrze, że przygotowaliśmy się na taką ewentualność.

— W korytarzach statku będziemy silniejsi, a poza tym pamiętaj, że Prug Brendyjski nigdy jeszcze przed nimi nie uciekał. WosenJu, zostaniesz tutaj, podtrzymuj łączność i obserwuj, jak będą się zbliżali. Kiedy tylko od statku odłączy się kuter, natychmiast mnie o tym zawiadom. Będę organizował powitanie... DrokU pójdzie ze mną. Kiedy wszystko będzie gotowe, wrócę.

Prug był wspaniały. Jego ręka uniosła się w dumnym geście, złoty szamerunek na bogatym płaszczu lśnił w świetle lamp. Policzki pokryły się rumieńcem. Odmłodził. Był teraz wojownikiem, podstępny i śmiały. I ruszał do boju.

Popchnął DrokU na korytarz.

— A! — przypomniał sobie nagle Prug. — A gdzie DreJu?

— W kabinie. Sprawdziłem.

— Poślij wojownika, żeby go przyprowadził tutaj, kiedy statek będzie już zupełnie blisko. Jeżeli ci na „Vacjusie” będą mieli wątpliwości, zmusimy DreJu, żeby wezwał ich na pomoc.

\* \* \*

Andrew zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami wiodącymi do magazynu skafandrów.

Wszedł do środka i znieruchomiał. Przez dłuższą chwilę przyglądał się skafandrom próbując przekonać samego siebie, że to tylko najzwyklejsze w świecie skafandry i nic poza tym, że nie są to straszliwe, mordercze narzędzia tortur, których nigdy w życiu nie potrafi dotknąć.

A tam, na zewnątrz, „Vacjus” zmniejsza już prędkość i jego kapitan rozkazuje przygotować do startu kuter planetarny.

A kosmonauci — wśród nich może być jakiś znajomy — przygotowują się do przejścia na „Szkwał”. Na pewno będą bardzo ostrożni, ale przecież żaden z nich nie zetknął się nigdy z prymitywnymi góralami i nie spotkał na swej drodze studwudziestokilogramowego Pruga Brendyjskiego, okrutnika szczycącego się kałdunem dobrze wypasionego wieprza.

Andrew wybrał sobie skafander i automatycznie sprawdził, czy jest w porządku. Znów zaczął sam siebie przekonywać. Tym razem udawał, że zamierza włożyć skafander tylko na chwilę, tylko na wszelki wypadek i że zaraz go zdejmie.

Skafander otworzył się, wpuszczając go do środka.

Andrew poczuł się jak gąsienica w kokonie. Teraz może zrobić krok.

Nie mógł się zmusić do zrobienia tego kroku, wiedział bowiem, że po pierwszym muszą nastąpić również dalsze. Nie ma innego wyjścia.

Wydało mu się, że słyszy jakiś hałas. Może ktoś zauważył jego obecność w tym miejscu?

Czasu na zastanowienie się nie było.

W końcu setki i tysiące kosmonautów wychodziły w otwarty Kosmos...

Andrew opuścił przyłbicę hełmu, skontrolował dopływ powietrza i już bez wahania szybko wspiął się po trapie umocowanym do ściany. Otworzył właz nad głową i znalazł się w ciasnej przestrzeni między powłokami kadłuba statku. Tam zgodnie z instrukcją nie wolno było wchodzić bez skafandra. Gdyby ktoś tę instrukcję zlekceważył, aparatura kontrolna natychmiast wszczęłaby alarm.

Dopóki szedł przygarbiony między powłokami, mógł sam siebie łudzić, że wcale nie ma zamiaru wychodzić na zewnątrz.

Do czasu. Dopóki nie doszedł do luku zewnętrznego.

Luk wyjściowy krył się za niewielką śluzą. Można go było używać tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy potrzebny był remont zewnętrzny.

Wcisnął się do śluzy. Jak doskonale ją znał! Śniła mu się niemal co noc już cztery lata.

Zamknął za sobą klapę wewnętrzną i zeszytywniał. Zrozumiał, że za nic na świecie nie otworzy zewnętrznego włazu...

\* \* \*

Cztery lata i cztery miesiące temu, Andrew Bruce, jeden z najmłodszych, ale już najpopularniejszych kapitanów Floty Kosmicznej krążył na swoim „Orionie” wokół planетки o dziwnym przezwisku Rondel. Ktoś ją kiedyś tak ochrzcił i nazwa się przyjęła. Rondel był zbiorowiskiem wulkanów — prychających, warczących, plujących strugami ognia. Na stacji orbitalnej pracowali wulkanolodzy, którzy od czasu do czasu lądowali na planecie, żeby prowadzić tam bezpośrednie obserwacje i pomiary.

Orbita była wyliczona dokładnie i nic się nie mogło zdarzyć. Ale się zdarzyło. Wyrzut gazów wulkanicznych spowodowany wybuchem o mocy trzykrotnie wyższej niż najbardziej pesymistyczni teoretycy mogli się spodziewać dosięgnął stacji, uszkodził jej silniki i wyrządził wiele innych szkód. Kilku znajdujących się akurat na planecie ludzi zginęło... W sumie nieszczęście.

„Orion” zmienił kurs, żeby ewakuować wulkanologów ze stacji. Akcja ratownicza przebiegała ciężko, ale zakończyła się pomyślnie. Tyle tylko, że „Orion” uszkodził sobie anteny zewnętrzne.

W czasie lotu powrotnego trzeba więc było naprawić anteny i podłatać również uszkodzony pancierz. Nie należało to do obowiązków dowódcy, ale że załoga była nieliczna i miała wiele zajęć z wulkanologami, wśród których byli ranni i poparzeni, za remont wziął się sam kapitan.

Właściwie nie sam, bo pomagał mu mechanik Bracke. Byli już na zewnątrz około godziny, kiedy mechanik zaczął nadawać sygnał alarmowy. Sygnał był słaby i nie od razu go usłyszano na mostku. Bracke zauważył, że lina asekuracyjna kapitana z niewiadomych przyczyn pękła i Bruce odleciał w próżnię.

Gdyby Bracke był uważniejszy, nic złego by się nie stało. Człowiek zamieniłby się w sputnika statku i spokojnie wokół niego krążył. Zanimby zdążył naprawdę się przestraszyć, już by go ściągnięto do Środka.

Tym razem jednak stało się tak, że wewnętrzne naprężenie pękającej liny podziało jak katapulta i nadało Andrew prędkość własną względem statku. Bracke zajęty własną robotą nie zauważył nawet, w jakim kierunku kapitan odleciał.

Statek wytracił szybkość i zaczął manewrować w poszukiwaniu kapitana, ale człowiek jest przecież taki mały, że już po paru tysiącach kilometrów staje się niewykrywalny dla najczulszych przyrządów.

Andrew leciał w próżnię. Pędził w nicość i wiele razy umierał przebywając niewiarygodną liczbę kilometrów i upiornych światów.

Sześć statków Floty Kosmicznej i krążownik patrolowy — na szczęście wypadek wydarzył się na uczęszczanej trasie — szukały go przez sześćdziesiąt trzy godziny. Znalazł go Witas Jakubauskas.

Znalazł dzięki szczęśliwemu trafowi i umiejętności posługiwania się komputerem.

Kiedy Andrew znalazł się na pokładzie jego statku, był nieprzytomny. Przyszedł do siebie dopiero po wielu dniach, już w bazie, i długo nie mógł uwierzyć, że żyje. Przecież tak wiele razy umierał...

Po jego fizycznym wyzdrowieniu lekarze stwierdzili, iż uraz psychiczny jest tak głęboki, iż Bruce już nigdy nie będzie mógł wyjść w otwarty Kosmos. Nawet na Ziemi unikał opuszczania wieczorem domu, żeby przypadkiem nie zobaczyć gwiazd.

Człowiek z takim urazem nie ma prawa dowodzić statkiem i odpowiadać za życie innych ludzi.

Bruce'owi zaproponowano pracę na Ziemi.

On jednak wolał wyjechać, bo nie miał ochoty spotykać w Centrum dawnych kolegów, uważał bowiem, że sam jest winien własnej chorobie i bardzo się tego wstydził.

Właśnie dlatego włożywszy skafander — bo przecież nie mógł go nie włożyć! — stał nieruchomo w służbie, czując całą swoją istotą, że nie potrafi wyjść na zewnątrz.

Potem pomyślał: „Jeśli teraz tam wyjdę, jeśli znajdę się tam, gdzie jest tylko czarna pustka i gwiazdy, to umrę ze strachu. Z hańbiącego, lepkiego strachu, którego nie zna żaden człowiek w Galaktyce, bo żaden człowiek nie umierał, tak jak ja... Ale jeśli nie wyjdę, zginą przeze mnie, umrą inni ludzie. A to jest gorsze niż własna śmierć.

Dlatego nie mam innej drogi.”

Policzył w myślach do pięćdziesięciu i otworzył luk zmartwiałą ręką, jakby naciskał spust pistoletu przystawionego do skroni.

Potem mocno uchwycił się klamer wspawanych w pancerz statku i do pasa wysunął na zewnątrz. Nie patrzył w górę ani na boki. Uparcie nie odrywał wzroku od obłych, wielorybich boków statku.

Miał przed sobą długą drogę.

Najpierw musi dostać się po klamrach do anteny zewnętrznej, kontrolującej podejścia do statku i przestrzeń wokół głównego luku, a potem dotrzeć do samego luku, gdzie już klamer nie było.

Andrew — zadziałał głęboko zakorzeniony w mózgu automatyzm — zatrzasnął na pierwszej klamrze karabinek liny asekuracyjnej i popełzył przed siebie. Tuż przed oczami miał metalowe cielsko statku.

Nikt go nie zauważył, bowiem przygotowujący zasadzkę Prug nie wrócił jeszcze na mostek, DrokU był z nim, a WosenJu nie włączył podglądu zewnętrznego. Patrzył tylko na ekran główny, na którym powoli rósł „Vacjus”. Jeszcze przed powrotem Pruga zauważył, jak otwiera się luk desantowy, ukazując dziób kutra planetarnego. Do statku było jeszcze ponad trzysta kilometrów, ale na ekranie wyglądało to tak, jakby wszystko działo się tuż obok „Szkwału”.

Właśnie dlatego Andrew, przez nikogo nie zauważony, dotarł do anteny bliskiego zasięgu, niewielkiej wypukłości na kadłubie statku, osłoniętej ceramiczną kopułką. Odkręcił osłonę i młotkiem przytroczone do jego remontowego skafandra jednym silnym uderzeniem rozbił aparaturę antenową.

Akurat w tym momencie wszedł na mostek DrokU, który rugnął zagapionego w ekran główny WosenJu i włączył podgląd zewnętrzny.

Na ekranie na moment zapłonęły gwiazdy, a potem wszystko zgasło.

— Tego jeszcze brakowało! — warknął DrokU.

Nacisnął parę razy klawisz, a potem zapytał komputer o przyczynę awarii. Komputer odpowiedział, że antena bliskiego zasięgu uległa zniszczeniu.

Ale wówczas Andrew już przy antenie nie było.

Tam, gdzie teraz pełzł, nie było już klamer i rozumiał, że w każdej chwili może oderwać się od statku. Zwłaszcza wówczas, kiedy tamci zdecydują się na jakiś manewr. W pół drogi do luku zamarł, serce tłukło mu się z szybkością dwustu uderzeń na minutę. Nic dziwnego, wiedział przecież, że jest największym tchórzem we wszechświecie.

Za karę zmusił się do podniesienia głowy.

I ku swemu niebotycznemu zdumieniu ujrzał pływający niedaleko, majestatyczny i potężny, błyskający światłami reflektorów statek Floty Kosmicznej „Vacjus”.

Oświetlony promieniami reflektorów do luku powoli zbliżał się kuter planetarny. Był już w odległości dosłownie kilkudziesięciu metrów od „Szkwału” i Andrew pospieszył ku niemu, żeby uprzedzić jego załogę, co jej grozi.

Gwałtowny ruch oderwał go od pancerza i rzucił do góry.

I wszystko zaczęło się od początku... Śmierć... Sześćdziesiąt trzy godziny umierania...

W tym momencie zauważono go z kutra i kapitan „Vacjusa”, nie wiedząc jeszcze co oznacza pojawienie się człowieka w otwartym kosmosie, rozkazał dwu swoim podkomendnym, aby ściągnęli go na kuter.

Coś szarpnęło Andrew.

Oprzytomniał i zrozumiał nawet, że to lina asekuracyjna.

Otwarty luk kutra był tuż tuż. Wylatywali z niego ludzie we wzmocnionych skafandrach z silnikami odrzutowymi. Dwaj zbliżali się do niego.

Nawigator „Vacjusa” poznał go od razu.

I nawet się nie zdziwił, zapomniał bowiem w tym całym zamieszaniu, dlaczego Bruce przestał latać.

Andrew też go poznał. Włączył mikrofon:

— Nie spieszcie się z wchodzeniem do środka. Zasadzka.

Mówił zupełnie spokojnym głosem, jakby codziennie witał gości w otwartym Kosmosie.

Kapitan „Vacjusa”. obserwujący sytuację z kutra, również poznał Andrew:

— Andrew Bruce? Skąd się tu wzięłeś?

— Przygotowali zasadzkę — powtórzył Andrew.

Mimo woli trzymał się kurczowo rękawa skafandra nawigatora „Vacjusa”. Znowu zaczął się bać. Nie powinien patrzeć na gwiazdy tylko w dół, na twardą i pewną powierzchnię statku.

— Jaką zasadzkę?

— Teraz nas nie widzą, bo rozbiłem antenę bliskiego zasięgu. Ale czekają. Zaraz za służą. Chcą was pojedynczo wymordować. Mają blastery i topory.

— A gdzie reszta naszych? Gdzie pozostali? — pytał dalej kapitan. — Nie ma rannych?

— Jest tu jeszcze doktor Gheza i Witas Jakubauskas. Witas jest bardzo ciężko ranny.

— A inni?

— Pozostali na Pe-U. Visconti nie żyje.

— Zabili go? — Andrew nie rozpoznał głosu mówiącego. Pytał ktoś z załogi kutra. Wszyscy przysłuchiwali się rozmowie.

— Was też chcą zabić. Nie macie pojęcia, co to za istoty. To zupełnie inny świat.

— Nie ma więc co tracić czasu. Cumujemy.

— Nie rozumie pan, co mówię?!

— Andrew — powiedział kapitan. — Moi desantowcy ubrani są w krzemowe skafandry pancerne. My też mamy trochę wyobraźni... Próbowałeś przestrzelić taki skafander z blastera.



Albo przerąbać go toporem?

— A jakąś broń macie?

— Z bronią też wszystko jest w porządku — uspokoił go kapitan. — Mieliśmy na pokładzie grupę myśliwych. Turyści. Zarekwirowaliśmy im pistolety i strzelby anestezyjne. Smoka zwalają z nóg. Przejdź na nasz pokład, Andrew. Zapraszamy w gości!

Andrew wszedł do kutra.

Nawigator z „Vacjusa”, jego stary znajomy, mocno chwycił go pod ramię. Drugi kosmonauta odpiął linę asekuracyjną i ani się Bruce obejrzał, już był w środku. Dopiero potem, rekonstruując w pamięci wydarzenia tej godziny zdał sobie sprawę z tego, że wszyscy pamiętali o jego chorobie. I nawigator, i kapitan, który stanął na krawędzi luku, żeby go podtrzymać.

A kiedy luk był już zamknięty i Andrew przywitał się z desantem, wszyscy zajęli miejsca w fotelach — jednakowi, jak odlewy tego samego posągu. Kapitan wskazał Bruce’owi pusty fotel obok siebie.

Po chwili kuter znów ruszył i dotknąwszy powłoki „Szkwału” dał sygnał cumowania.

Otworzą? Czy będą się bali?

Pokrywa luku odsunęła się w bok i chwytaki magnetyczne wciągnęły kuter do wnętrza statku. Śluza była pusta.

— Przygotować się! — rozkazał kapitan obserwując przyrządy kontrolne śluzy. Do jej wnętrza napływało powietrze. Ciśnienie równoważyło się.

We wnęce stał kuter „Szkwału”.

— Gdzie oni są? — zapytał kapitan.

— Myślę, że czekają w korytarzu za wrotami. Chcą się pewnie spotkać z nami w wąskim przejściu.

Odryglowano luk kutra i kapitan pierwszy zeskoczył na dno śluzy.

— Przywitajcie gości! — powiedział.

Za nim kolejno wyskakiwali na lekko uginającą się posadzkę pozostali uczestnicy desantu.

Kapitan pierwszy ruszył ku wewnętrznym wrotom, które gościnnie się przed nim otworzyły.

Przekroczył je, trzymając w rękę pistolet anestezyjny.

I natychmiast w jego skafander uderzyło co najmniej pięć zatrutych strzałek, które łamały się, pozostawiając na powłoce ciemne plamy jadu. Błysnął promień blastera.

Kapitan szedł dalej. Teraz już widział wojowników.

Wydmuchnąwszy strzały i wyładowawszy blastery schwycili za topory bojowe i rykiem się na niego rzucili. Prug sadził na czele, wymachując swoim największym i najślawniejszym na planecie toporem noszącym miano Łamignata.

Kosmonauci wystrzelili z pistoletów, pierwsi wojownicy osunęli się uśpieni na ziemię, ale pozostali dopadli desantowców i zaczęli walić toporami po hełmach i modyfikowanym krzemie skafandrów, nie robiąc im naturalnie najmniejszej szkody.

Zamieszanie, kłębówisko ciał, ryk, wrzaski i łomoty zapełniły wąski korytarzyk.

Anestezatory działały bezbłędnie. Liczba przytomnych wojowników wciąż się zmniejszała, a ludzie w skafandrach powoli wpychali ich rzadziejący tłumek do mesy.

Prug rozpaczliwie wymachiwał toporem. Udało mu się — czy to masą ciała, czy też ciosami swego Łamignata — zwalić z nóg dwóch czy trzech desantowców, ale już i w jego cielsko wbiły się igły ze środkiem usypiającym. Mimo to próbował walczyć dalej i wydawało mu się, że desant ustępuje pod jego naporem.

Jeszcze raz zamachnął się toporem i nagle całym ciężarem ciała runął na podłogę.

Pozostali wojownicy jeszcze próbowali stawiać opór, ale w korytarzu było już na tyle luźno, że Andrew zdołał przebić się przez walczących i rzucił się w głąb statku.

Jeden z wojowników, tak samo jak inni pomalowany w barwy wojenne, pędził przed nim. Najwidoczniej upadek Pruga odebrał mu chęć do walki.

Plecy wojownika wydały się Andrew znajome.

Nie ścigał go, tylko jak najszybciej chciał dotrzeć do przedziału medycznego.

Uciekający odwrócił głowę i Andrew poznał go. To był WosenJu.

On również rozpoznał swojego rzekomego prześladowcę.

Za nimi cichły powoli odgłosy walki.

WosenJu nagle stracił siły. Przypadł do ściany i patrzył jak Andrew zbliża się do niego. Wcisnął się w ścianę, unosząc w górę topór. Wyglądał jak zapędzony w kąt chłopaczek, do którego zbliża się znany w szkole siłacz.

Bruce zatrzymał się o krok od niego.

WosenJu uderzył go w pierś toporem. Topór ześlizgnął się po plastiku skafandra.

— Chciałem cię zapytać, WosenJu — powiedział Andrew — dlaczego zabiłeś PetriA?

WosenJu zaczął pełznąć po ścianie, jakby się chciał w nią wtopić, zniknąć w jej głębi.

— Przysięgam na niebo! — jęknął. — Przysięgam na życie matki, przysięgam na najstraszliwsze męki w Czarnym Królestwie, że to nie ja zabiłem PetriA! Omal nie zabiłem go, kiedy zobaczyłem, co zrobił...

— Kto to zrobił?

WosenJu upadł na podłogę u stóp Andrewa.

— DrokU. To on. Przyszliśmy po ubranie, chcieliśmy zabrać też informatora. A ona akurat weszła i zobaczyła nas. I usłyszała, co mówimy. Powiedziałem do DrokU: przyszła PetriA, przywitaj się, ona pracuje u nas. Bałem się, że ją zabije... A on się roześmiał i powiedział”

Rozdwojony kindżał świsnął w powietrzu i wbił się w szyję WosenJu.

Za plecami Andrewa stał DrokU.

Podszedł blisko i uśmiechał się.

Uśmiechał się swoim promiennym, chłopięcym uśmiechem.

— Więc zwyciężyliśmy — powiedział. — WosenJu również otrzymał to, na co zasłużył.

— Dlaczego go zabiłeś? Czego się boisz, DrokU? — zapytał Andrew.

— Mój przyjacielu z gwiazd — powiedział DrokU. — Mówiłeś wiele o zemście, ale wy już tak jesteście skonstruowani psychicznie, że nie potraficie uzewnętrznić naturalnych uczuć miłości czy nienawiści. Wszystko to zostało zdławione przez wychowanie. Do końca życia męczyłbyś się nienawiścią do WosenJu, ale zabić go własnymi rękami nie potrafiłbyś. Nie potrafiłbyś dokonać wielkiej męskiej sprawy zemsty. Dlatego ktoś musiał ci pomóc.

— Powinienem cię zatrzymać — powiedział Andrew.

— Mnie? Po tym wszystkim, co zrobiłem?

— Zrobiłeś o wiele więcej niż powiedziałeś, DrokU. To ty stałeś za plecami Pruga i kierowałeś nim. Już dawno o tym wiedziałem, o tobie i twoim szefie, WaraJu.

DrokU wcale się nie zdziwił.

— To logiczne — powiedział. — Powinieneś się domyślić. Albo WosenJu się wygadał. Albo podsłuchałeś...

Mówiąc to, DrokU wolno przesuwiał się wzdłuż ściany, starając się wyminąć Andrew.

— Zabij mnie — powiedział, patrząc mu prosto w oczy. Uważasz, że ten ślimak WosenJu nie był niczemu winien?... — Ruch wzdłuż ściany trwał. Jeszcze odrobinę i będzie można uciec...

Ciekawe, dokąd on zamierza uciekać? Ten korytarz prowadzi do przedziału magazynowego, a stamtąd można dotrzeć i do hangaru, i do komory, w której umieścili te swoje idiotyczne bomby, te śmiercionośne zabytki... Można ukryć się w magazynie wśród broni i zabarykadowawszy się tam szantażować zwycięzców, żeby kupić sobie życie. Można wyprowadzić kuter planetarny i

spróbować uciec na Pe-U... Diabli wiedzą, co kłębi się w tej głowie...

— Nawet jeśli zabiłem — mówił DrokU — jeśli nawet to byłem ja, to kim ty jesteś, żeby uzurpować sobie prawo wymierzania sprawiedliwości? Teraz mnie wypuścisz i pobiegiesz do swoich. Wolisz, żeby to oni zdecydowali o moim losie... A czy ty wiesz, przybyszu z gwiazd, że nasza gra się jeszcze nie skończyła? „Szkwał” leci na Pe-U, a tam czeka WaraJu. To on, a nie ty będzie rządził planetą.

Skoczył w głąb korytarza.

Był o wiele lżejszy od Andrewa, nie miał na sobie skafandra i mógł liczyć na powodzenie swej ucieczki.

Ale Andrew był na to przygotowany.

Skoczył za DrokU, schwycił go w locie za nogi i powalił na ziemie. Siła bezwładności rzuciła ich obu na podłogę. Parę metrów przejechali wzdłuż korytarza na brzuchach.

DrokU rozpaczliwie walczył, ale nie miał żadnych szans. Skafandra przecież uszkodzić nie mógł.

Wykręciwszy mu ręce za plecy i postawiwszy siłą na nogi, Andrew, udając że nie słyszy steku przekleństw, którymi DrokU go obrzucał, powiedział:

— Idziemy! Ty przodem.

— Dokąd? — DrokU próbował odwrócić głowę, ale Andrew trzepnął go w kark ciężką rękawicą.

— No! — warknął.

Jego głos przefiltrowany przez mikrofon hełmu brzmiał głucho i groźnie.

DrokU niechętnie ruszył.

— Słuchaj — powiedział. — Co ty chcesz zrobić?

Andrew nie odpowiedział.

Przeszli kawałek korytarza.

Zza zakrętu wyszedł kapitan „Vacjusa” w towarzystwie lekarza pokładowego „Szkwału”.

— Andrew, tak się cieszę, że pan żyje! — wykrzyknął doktor.

— On nie ma prawa tak mnie traktować! Znam prawa Galaktyki! Życie i wolność każdego człowieka są nienaruszalne! — awanturował się DrokU.

— Proszę nie zwracać na niego uwagi — zwrócił się doktor do kapitana Inbuke.

— Jestem przedstawicielem rozwijającej się cywilizacji i domagam się respektowania zasady nieingerencji. Jestem pod ochroną prawa o nieingerencji!

— Nie słucham go — oznajmił Andrew kapitan. — Jestem jednak ciekaw, co zamierzasz z nim zrobić?

— Otworzę luk zewnętrzny i wyrzucę go w próżnię — odparł Andrew.

— To chyba rzeczywiście dobry pomysł — zgodził się kapitan. — Zresztą lepiej ode mnie się na tym znasz. W skafandrze czy bez skafandra?

— Bez skafandra — odparł Andrew

— Wpadnij potem do mesy — uśmiechnął się kapitan — Chodźmy, doktorze. Musi pan obejrzeć rannych.

— Stójcie! — wrzasnął DrokU, zwiijając się w żelaznym uchwycie Andrew. — Zaklinam was w imię humanitaryzmu! To WaraJu rozkazał mi zabić tę dziewczynę! Ale odmówiłem! Nie posłuchałem dowódcy, który chciał, żeby podejrzenie padło na Pruga... Przysięgam!...

Głos jego cichł i załamywał się.

Kapitan z doktorem nie oglądając się zniknęli w jakichś drzwiach.

— Najpierw — powiedział Andrew — pójdziesz ze mną do kabiny łączności. I porozmawiasz z WaraJu.

— Oczywiście — odparł skwapliwie DrokU. — Natychmiast! Powiem wszystko, czego zażadasz.

— Powiesz mi prawdę.

W kabinie łączności Andrew puścił rękę DrokU, który od razu zaczął ją sobie rozmasowywać drugą dłonią.

Andrew stał za jego plecami. Wyciągnął z kołczanu DrokU zatrute strzałki. Cechy były na nich wycięte.

— Wezwij WaraJu — rozkazał. — I pamiętaj, że mam w rękę twoje własne strzały. Takie same jak ta, jaką zabiłeś PetriA i chciałeś mnie zabić. W każdej chwili mogą cię nią drasnąć w szyję.

— Zgadzam się na wszystko! Rozumiesz, na wszystko!... Nie będę niczego próbował...

Nacisnął odpowiednie klawisze.

Niemal natychmiast rozległ się głos WaraJu.

— Co u was? — zapytał. — Czekam! Kiedy będziecie? Zdobyliście drugi statek?

— Za moimi plecami — powiedział DrokU — stoi DreJu, agent z gwiazd. Rozkazał mi nawiązać łączność z tobą, panie.

Nastąpiła długa, bardzo długa pauza.

— Rozumiem — powiedział wreszcie WaraJu. — Nigdy ci nie wierzyłem, DrokU. Wiedziałem, że przy pierwszym zagrożeniu przejdiesz na stronę silniejszego.

— Walczyliśmy — jęknął DrokU. — Ale tamci mieli skafandry. DreJu ich ostrzegł.

— Idioci — powiedział WaraJu zmęczonym głosem. — Nie potrafiliście upilnować jednego człowieka...

— Wyszedł w otwarty Kosmos...

— Kłamstwo! Jak zwykle łiesz, DrokU. Sprawdzalem w informatorach Centrum Galaktycznego. DreJu został skreślony z listy personelu latającego, gdyż jest chory. Nie może wyjść w Kosmos.

— Ale wyszedł — odpowiedział DrokU.

— No dobra, nie będę tracił czasu na? głupstwa. Co z Prugiem?

DrokU odwrócił się do Andrew.

— Prug jest w naszych rękach — powiedział Andrew. — Przywieziemy go na Pe-U. Z pewnością ma wiele interesujących rzeczy do powiedzenia.

— Na pewno je opowie — zgodził się WaraJu. — Chcesz mnie o coś zapytać, agencie z gwiazd?

— Kto zabił PetriA?

— DrokU.

— Na twój rozkaz! — krzyknął DrokU. — Ja nie chciałem.

— Nawet o tym nie wiedziałem — mówił dalej WaraJu. — Powiedział mi o tym dopiero później. Czy to zresztą ważne?

Andrew nie odpowiedział.

— Przerwywam łączność — oznajmił WaraJu. — Moja kwatera jest otoczona. Myślałem, że utrzymam się do świtu, ale teraz nie mam po co walczyć. Spotkamy się, DreJu, na polach obfitości!

Pola obfitości oznaczały tamten świat. WaraJu wyłączył się.

— Ma rację — powiedział DrokU. — Pozwól mi to zrobić samemu, jak on...

Andrew poczuł, że jest śmiertelnie zmęczony.

Wyprowadził DrokU z kabiny łączności i otworzył przed nim drzwi do podręcznego magazynku.

DrokU posłusznie tam wszedł.

Andrew rzucił na stolik zatrutą strzałkę. Bez znaku.

Postąpił dziwacznie i wbrew zasadom. Człowiek wieku galaktycznego nigdy nie odbiera życia innemu człowiekowi ani mu też śmierci nie ułatwia. Nawet najgorszemu z ludzi.

Zamknął drzwi i poszedł do mesy.

Leżało tam na kanapie potężne cielsko Pruga. Delfin Brendyjski spał jak dziecko ugodzony ładunkiem oszałamiającym.

Doktor właśnie go badał.

Na odgłos kroków uniósł głowę i przypomniał sobie, w jakich okolicznościach widział ostatnio Andrew.

— A gdzie ten typ, DrokU? Mam nadzieję, że nie spełnił pan swojej groźby?

— Prawie spełniłem — odparł Andrew.

\* \* \*

Na kosmodromie Pe-U oczekiwała ich załoga „Szkwału”, Olsen, Jego Potężność i cała masa innych dostojników.

Olsen od razu powiedział im, że WaraJu popełnił samobójstwo w swojej kwaterze.

Wozy bojowe podjechały do samej pochylni „Szkwału”.

Prug Brendyjski pierwszy podszedł do wozu i żołnierze pomogli mu wdrapać się do środka. Był okropnie słaby i wyglądał, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze.

Potem do karetki medycznej przeniesiono Witasa Jakubauskasa. Doktor Gheza i Helena Kazimirowna pojechali z nim do szpitala, gdzie czekali już lekarze i sprzęt przywieziony z Centrum Medycznego.

Wraz z wojownikami wyprowadzono również DrokU.

Kiedy po wylądowaniu otwarto magazynek podręczny, DrokU spał. Obok niego leżała połamana na kawałki strzałka.

Andrew wraz z Olsenem pojechał do domu dla przyjezdnych Nie chciał wracać do siebie, gdzie wszystko przypominało o PetriA.

Nocą naszła go ochota sprawdzenia siebie.

Po raz pierwszy od wielu lat wyszedł po zachodzie słońca na dwór i popatrzył w rozgwieżdżone niebo. Niebo było głębokie, przyzywało go. Wcale się go nie bał. Wiedział już, że wróci w Kosmos.

A rano dowiedział się od Nielsa Olsena, że DrokU został zamordowany w więzieniu. Zabójcę ujęto. Okazało się, że należy do klanu Kam Petri. Andrew nigdy w życiu go nie widział i nie miał pojęcia, że PetriA miała takiego kuzyna.